

PIĘKNY DODATEK Z CYKLU
BOHATEROWIE NIEPODLEGŁEJ



ARKADIUSZ MULARCZYK: PRACA NAD RAPORTEM O STRATACH WOJENNYCH NA UKOŃCZENIU. TO BĘDZIE PRZEŁOMOWY MATERIAŁ

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 48 (313) 2018
26 listopada–2 grudnia
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)



UJAWNIAMY

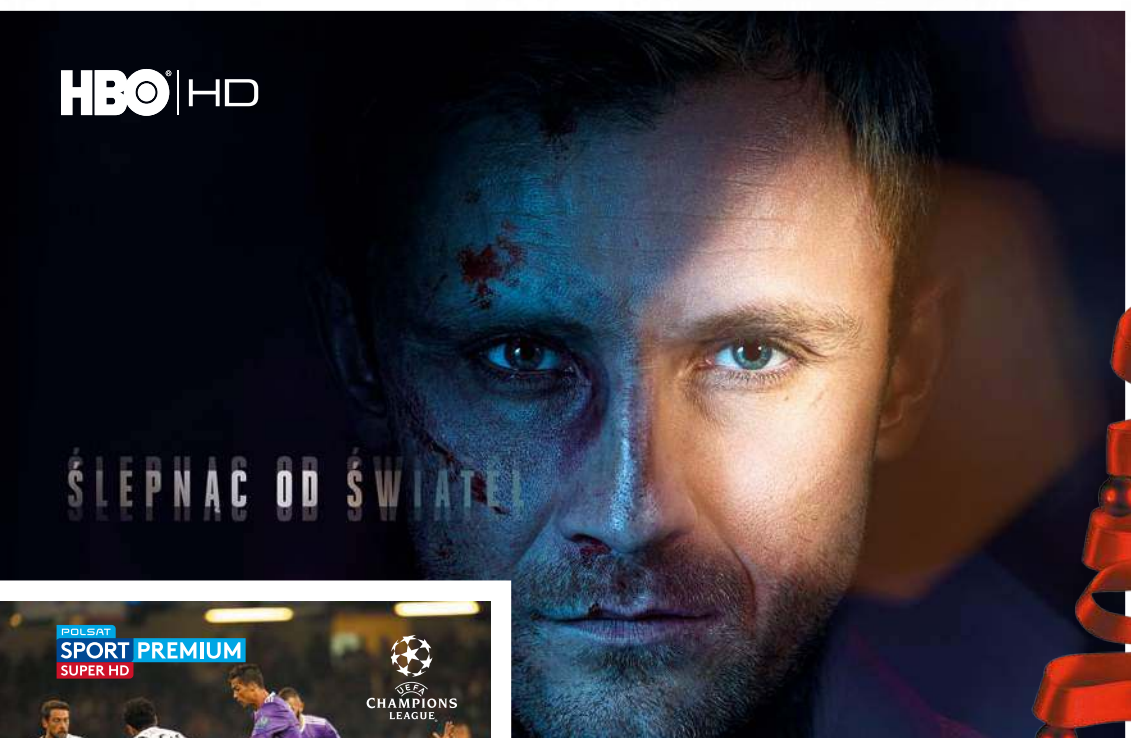
MÓWIĄ OFIARY BANKIERA CZARNECKIEGO

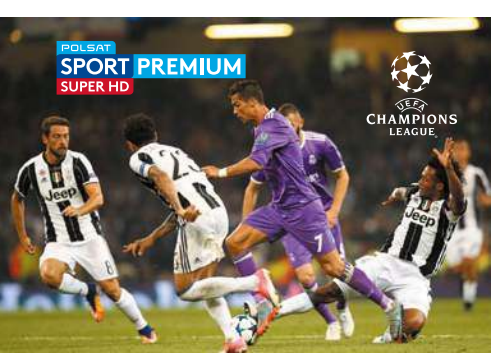
WCIĄGNIĘTO ICH W PUŁAPKI, STRACILI OSZCZĘDNOŚCI ŻYCIA, CHCĄ SPRAWIEDLIWOŚCI. WSTRZĄSAJĄCE RELACJE!

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
48
9 772544 269809

CYFROWY POLSAT

Świąteczne promocje!
Telewizja na start
6 miesięcy bez opłat!











Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat" nie dotyczy sprzętu. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. „Ślepnąc od świateł" © HBO Europe s.r.o. 2018. „Legion samobójców" © 2016 Warner Bros. Entertainment Inc. and RatPac Entertainment, LLC. „Lego Ninjago" I LEGO the LEGO logo and the Minifigure are trademarks of the LEGO Group © 2011. Wszystkie prawa do powyższych tytułów zastrzeżone.

eprasa.pl c32ec8e9ed

Ukraina silniejsza, niż myślimy

Pięć lat temu proeuropejsko nastawiona część Ukraińców poczuła się straszliwie oszukana. Rząd ogłosił, że układ stowarzyszeniowy z Unią nie zostanie podpisany. Wywołało to szok i Euromajdan, walki uliczne, ucieczkę Wiktora Janukowycza, prezydenturę Petra Poroszenki.

Cena za kolejną próbę wyrwania się z błota postkomunizmu, mafijnej oligarchizacji i rosnącej zależności od Rosji okazała się okrutnie bolesna, ale nie ma tu poczucia, że za duża. „Gdyby nie ten bunt, bylibyśmy już nieformalną częścią Federacji Rosyjskiej" – taka odpowiedź pada często.

Ukraińcy są dumni ze swojej armii, zbudowanej od nowa, sprawdzonej w boju. Uważają ją za zdolną do przeciwstawienia się ewentualnej kolejnej rosyjskiej agresji.

Także w innych obszarach nasz sąsiad wydaje się wychodzić z najgorszego kryzysu, jest wzrost gospodarczy, trwa walka z korupcją, choć opory są straszne, a skorumpowany system sądownictwa torpeduje wysiłki biura antykorupcyjnego.

Społeczeństwo ma poczucie, że ostatnie lata wykorzystano zbyt słabo na reformy. Tym bardziej że gotowość do znoszenia trudów w imię lepszej przyszłości była ogromna.

W sumie obraz Ukrainy widziany od wewnątrz jest bardziej optymistyczny, niż się to prezentuje w mediach. Przy wszystkich słabościach, przy wojnie i emigracji, sprawy idą do przodu. Mowy nie ma o, jak to czasami suflują wrogowie Ukrainy, upadłym państwie.

Michał Karnowski

Samorozwiążmy państwo?

Ostatnie paroksyzmy polskiej polityki przyniosły jako efekt uboczny pogłębienie naporu, skierowanego na dalsze ograniczenie polskiej suwerenności.

Gdy formacja rządząca zdecydowała się wycofać ze związanego z wiekiem emerytalnym sędziów Sądu Najwyższego konfliktu z Unią i przyjąć odpowiednią nowelizację prawa, polska opozycja zakrzyknęła gromko: nie! Żadna nowelizacja nie jest potrzebna, decyzja europejskiego Trybunału ma być stosowana bezpośrednio. Innymi słowy: kiedy do obywateli polskich dotrze (po prostu przez media...?) informacja o decyzji TSUE, mają sami z siebie uznać za nieważne polskie prawo i sami z siebie usłuchać Luksemburga.

Oznaczałoby to krok w stronę de facto likwidacji szczebla pośredniego, jakim jest polski rząd. Nawet taki, który zachowywałby się wobec Unii bardzo lojalnie.

A gdy wybuchła afera KNF, w „GW" można było się zapoznać ze specyficzną propozycją. Oto – pisał komentator – ewentualne przejęcie zagrożonego banku byłoby istotnie zgodne z prawem europejskim. Ale my obecnemu polskiemu rządowi nie ufamy, niechże więc on ochotniczo poprosi instytucje unijne o wydelegowanie obserwatorów, pod których nadzorem przeprowadzi ewentualnie tę operację. Choć żadne prawo ani traktat go do tego nie zobowiązuje. Ale niech sam poprosi o objęcie tego obszaru polskiej rzeczywistości protektoratem unijnych elit.

Niech stworzy precedens. Później będzie się go rozszerzać.

Trudno nazwać to wszystko inaczej niż próbą doprowadzenia do stopniowego samorozwiązania państwowości.

Piotr Skwieciński



3/118/F

epiasa.pl c32ec8e9ed

SIECI spis treści



34 ***Z Moniką Jaruzelską rozmawia Piotr Skwieciński***



38 **Imigracja ryzyka** ***Konrad Kołodziejski***



59–74 **Dodatek historyczny** ***Bohaterowie Niepodległej (cz. XI)***

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **DNI KONIA**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński

14 **UWAGA! ANTYNARODOWCY!**
Jan Pietrzak

16 **KTO ROBI KARIERĘ NA ANTYSEMITYZMIE**
Bronisław Wildstein

18 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

19 **PROJEKT INNOWACJA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

20 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

21 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

22 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

24 **OPLECENI PAJĘCZYNĄ CZARNECKIEGO**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

34 **Z MONIKĄ JARUZELSKĄ**
rozmawia Piotr Skwieciński

38 **IMIGRACJA RYZYKA**
Konrad Kołodziejski

42 **Z ARKADIUSZEM MULARCZYKIEM**
rozmawia Jacek Karnowski

50 **SKROBANIE SCHETYNY**
Stanisław Janecki

54 **DOTKNĄĆ NIEPODLEGŁOŚCI**
Dorota Łosiewicz

56 **SPECUSTAWA DLA PAŁACU SASKIEGO**
Marcin Fijołek

NIEPODLEGŁOŚĆ

75 **OD HAMLETA DO MARSZAŁKA**
Grzegorz Górny

SIECI KULTURY

81 **LADY GAGA, CZYLI ZWYCZAJNA DZIEWCZYNA**
Jolanta Gajda-Zadworna

83 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

84 **ZANUSSI POKAZUJE DIABŁA**
Łukasz Adamski

86 **RECENZJE**
Przemysław Skrzydelski, Adam Ciesielski

88 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

90 **POLECA**
Łukasz Adamski

OPINIE

92 **Z JANUSZEM KOWALSKIM**
rozmawia Tomasz Plaskota

ŚWIAT

96 **POLITYCZNA OPERETKA NAD WEŁTAWĄ**
Jan Rokita

GOSPODARKA

100 **Z PIOTREM WOŹNIAKIEM**
rozmawiają Jacek Karnowski i Maciej Wośko

110 **POLSKA ŻYWNOŚĆ ATUTEM GLOBALNYCH MAREK**
Kajetan Kutnowski, Piotr Filipczyk

KUCHNIA

118 **MOJE SMAKI: LUCYNA ĆWIERCZAKIEWICZOWA**
Jolanta Gajda-Zadworna

119 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

120 **ŚWINIE WRÓCIŁY DO RURY**
Piotr Skwieciński

121 **JAK ZWYCIĘŻAĆ MAMY**
Maciej Pawlicki

122 **UTRZYMAĆ WŁASNĄ CYWILIZACJĘ**
Wojciech Reszczyński

123 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

124 **COŚ WIĘCEJ NIŻ SOCJAL**
Aleksander Nalaskowski

125 **EUROKROKODYL**
Wiktor Świetlik

126 **EDWARDA KUSZTALA „PRZYWRÓCIĆ PAMIĘĆ”**
Jan Pospieszalski

127 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

128 **NAGŁY SKOK ENTROPII**
Ryszard Makowski

129 **PO TAMTEJ, PO JAKIEJ JESZCZE WOJNIE…**
Leszek Długosz

130 **SZYDERSTWO HISTORII**
Katarzyna Zybertowicz

36/0218/F

eprasa.pl c32ec8e9ed

GRUPA CEDROB®

Największy polski producent mięsa

Lider w produkcji drobiu i trzody chlewnej oraz uznany producent wędlin.







100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości

www.grupacedrob.pl

eprasa.pl c32ec8e9ed



Sygnalista nadaje

Według mediów III RP ***Roman Giertych*** ma zostać ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym w rządzie PO. „Odciąć piłą mechaniczną wszystkich ludzi Zbigniewa Ziobry od prokuratury i posprzątać ten bajzel będzie mógł zrobić tylko ktoś, kto ma jaja i pozycję. Jeńców na wojnie z PiS brać nie będzie" – twierdzi informator jednego z portali. Tu pełna zgoda: litości nie okażą. Nie to, co PiS, które płazem puściło, bez żadnego dochodzenia, nawet doniesienia o tworzeniu „grupy hakowej" przez mecenasa. I to nie gołosłowne, bo poparte opublikowanym nagraniem.

Ale czy ambicje Romana Giertycha kończą się na stanowisku ministra? Na mieście coraz głośniej słychać, że mierzy znacznie wyżej. Wyżej nawet niż w premierostwo, czyli w prezydenturę. Niemożliwe? A czy ktoś w 2005 r. wyobrażał sobie, że dekadę później założyciel Ligi Polskich Rodzin będzie głównym prawnikiem platformerskiej wierchuszki? I nie jest to zła pozycja wyjściowa, z wielu różnych powodów.

Mecenas walczy dziś w imieniu Leszka Czarneckiego, biznesmena, który ostatnią kombinacją operacyjną potwierdził swoje rzeczywiście duże kwalifikacje służbowe. Ponoć budżet wojenny tej sprawy to 12 mln zł. Planowano większy numer: Tusk nieprzypadkowo straszył „bolszewikami", HGW nieprzypadkowo prowokowała narodowców zakazem Marszu Niepodległości. Na to miała nałożyć się „afera 40 mln". Plan popsuli Polacy, bo pięknie świętowali i społeczny proch okazał się mokry.

Nie ma mediów bez pieniędzy, bo media to droga sprawa. To wiemy, a jednak obraz szkicowany przez jednego z posłów PiS z południa Polski w związku z wyborami samorządowymi przeraża. „Jeśli nie zapłacisz, to na twoją konferencję prasową przyjadą tylko publiczna telewizja i publiczne radio. Jeśli chcesz mieć dziennikarzy lokalnych tygodników czy portali, musisz wykładać żywą gotówkę. Bez pieniędzy przemilczą twoją kampanię, nie będzie o niej nic, co najwyżej jakiś atak". Nie dajmy się nabrać: demokracja lokalna jest dużo gorsza niż centralna.

Owe 40 mln „łapówki" zostało oczywiście w sposób sztuczny doklejone do sprawy. Wątek korupcji był niezbędny, by spróbować powtórzyć manewr z afery Rywina, a więc podpalić cały obóz rządzący i zmusić go do gwałtownej paniki oraz rejterady. Temu też służyły te wszystkie rady wzywające PiS do gwałtownego i głębokiego cięcia w szeregach. Kaczyński słusznie wziął głęboki oddech i poza Chrzanowskim nie oddał ani guzika. Po paru dniach sprawa prawie zdechła.

Sprawę afery KNF próbowano też rozgrywać wewnątrz Zjednoczonej Prawicy. Zdaniem niektórych zaczynało już pachnieć AWS. ***Prezes Kaczyński*** zorganizował więc tzw. konfrontacje, na których najważniejsi zawodnicy przedstawili swoje racje, a raczej wzajemne pretensje. Surowo nakazano zawieszenie broni, ale nie tylko. Strony mają także zaprzestać opłacania wrażych mediów, które na tym wszystkim naprawdę dobrze zarabiają.

Wszystko wraca. Do Platformy wróciła właśnie tzw. polityka transferów. Pamiętamy, jak Tusk w apogeum swojej potęgi wybierał sobie rodzynki z lewa i prawa, poniżając liderów mniejszych partii. A że w centralnej PO rodzynków niewiele, to wyjęto radnego Wojciecha Kałużę, którego sejmikowy głos dał PiS władzę na Śląsku. Operacja była i tajna, i niebezpieczna. Tak niebezpieczna, że na finiszu – z obawy przed demokratami z PO i Nowoczesnej – Kałuża nocował poza domem. Słusznie.

„To był normalny gość, jechał po PiS-ie, nigdy nie słyszałam, żeby powiedział o tej partii coś dobrego" – tak

eprasa.pl c32ec8e9ed

opisuje Kałużę Monika Rosa, szefowa śląskich struktur Nowoczesnej. Ciekawa definicja normalności. Ale czy będąc w partii, której obecna szefowa ma ksywę „Stachu", można widzieć świat takim, jakim jest? Dorobek Nowoczesnej jest dramatyczny: klęska polityczna, konto na dużym minusie, prywatne dramaty sporej gromadki. Jaki diabeł was podkusił, chłopcy i dziewczęta? Wracajcie do swoich korpo, polityka to wyższa szkoła jazdy, tu nie wystarczy być robocopem.



Ale polityka tak łatwo nie wypuszcza ze swoich szponów. ***Ryszard Petru*** może nie ma wielkich kwalifikacji, ale serce ma waleczne. Jego nowa partia obrała sobie zabawną nazwę Teraz!, co dowodzi, że wciąż nie posiadł cechy u polityków najcenniejszej, a więc cierpliwości. Po pierwsze, wraca zbyt szybko, powinien dłużej odczekać, po drugie – nazwa ugrupowania zdradza frustrację. A to zawsze zły doradca.



Czy po przejęciu władzy na Śląsku PiS przegoni separatystów z RAŚ z tamtejszych instytucji kultury? Teoretycznie powinno, ale pewności mieć nie można. Kto wie, czy nie będą mieli lepiej niż dotychczas. Warszawa pełna jest przecież ludzi PO, którym powodzi się tak znakomicie, że nawet o tym nie marzyli, na pewno nie w roku 2015. A już PR-owcy wszelkiej maści to mają żniwa stulecia. To jest wręcz obrzydliwe.



Rozpoczął się proces wytoczony ***Lechowi Wałęsie*** przez Jarosława Kaczyńskiego za haniebne oskarżenie dotyczące tragedii smoleńskiej. Rzecz charakterystyczna: prawicowcy, których nigdy nie ciągano po sądach, uznali, że pani sędzia Weronika Klawonn była stronnicza, agresywna i jawnie sprzyjała Wałęsie. Ci zaś, którzy niejedną godzinę przesiedzieli na sali sądowej, orzekli, że w sumie nie było najgorzej, a nawet że sympatycznie. Bo tu przynajmniej nikt nie wrzeszczał na pisowca, co wcale nie jest rzadkością.



Wcześniej Wałęsa rzucił w stronę Kaczyńskiego: „Po co ja pana ministrem robiłem?", na co Kaczyński zaripostował: „A po co ja pana prezydentem?". Ta wymiana zdań przejdzie do historii, ale jeszcze ważniejszy był końcowy fragment zeznań, gdy Wałęsa stwierdził: „Nie będę więcej odpowiadał na pytania dotyczące Smoleńska", na co pani sędzia po krótkim namyśle: „Aha, no dobrze...". Zdaniem niektórych Wałęsa nie wygra tego procesu, nawet gdyby sądzili Tuleya, Łączewski i Żurek, ale to chyba przesadny optymizm.



Wałęsa przedstawił też nową teorię w sprawie szafy Kiszczaka: „Karton z papierami był przywieziony do pani Kiszczakowej i postraszono ją, że emeryturę zabiorą. No i ona zgodziła się powiedzieć, że ona znalazła te papiery. Tak oto temat Bolka wyczerpaliśmy" – stwierdził. Potwierdziło się wypowiedziane godzinę wcześniej twierdzenie Kaczyńskiego: „Oceniam jego kwalifikacje intelektualne dosyć surowo. Ale według mojej wiedzy pozwany raczej nie przyjmuje takich ocen do świadomości".



Wicepremier i minister kultury ***Piotr Gliński*** poskarżył się na los swojej formacji: „Język, którym mówi się o PiS, ma wykluczać, unicestwiać, ma nas odczłowieczać, delegitymizować, mamy być tak traktowani jak Żydzi przez Goebbelsa. Ma wzbudzać do nas obrzydzenie". Słuszne słowa, ale we współczesnych warunkach skazane na wyszydzenie i wyjątkowo ostry atak, także ze strony środowisk żydowskich. Co paradoksalnie potwierdziło teorię prof. Glińskiego. W końcu każde słowo ofiar Goebbelsa też pracowało przeciwko nim.

PiS tymczasem ogłosiło odwrót w sprawie Sądu Najwyższego. Gorzka pigułka, a może i piguła. Histeria jest jednak niewskazana, bo tak z 80 proc. reformy jednak udało się przeprowadzić, włącznie z Izbą Dyscyplinarną. Po nowemu działają też KRS oraz TK i jeśli PiS wygra wybory, dokończy zmiany. Jeżeli za tę cenę Unia da nam spokój, to warto ją zapłacić. Problem w tym, że Timmermans i Juncker już raz oszukali Warszawę. Brukselski autorytaryzm nie zna słowa „kompromis".

Wszystko oczywiście z miłości do Polski. Zdaniem ***Róży Thun*** Timmermans jest zakochany w naszym kraju: „Jak on o Polsce mówi, to ma łzy w oczach". O tak, bywa, że ktoś kocha tak mocno, iż życie ukochanej staje się piekłem. Bo nęka, nachodzi, grozi, szantażuje emocjonalnie. W tym wypadku niewykluczone jednak, że to nie łzy, ale jakieś krople na chore oczy. Przecież gołym okiem widać, że Timmermans kocha przede wszystkim swoją karierę.

To wszystko jednak drobnostki w porównaniu z zeznaniem Elżbiety Chojny-Duch przed komisją ds. VAT. Była wiceminister finansów z czasów PO opowiedziała o pracownicy międzynarodowej firmy doradztwa podatkowego Ernst & Young, która miała swój własny gabinet w ministerstwie i która mówiła, jak ma wyglądać polskie prawo. To tak, jakby członek redakcji „Wędkarza Polskiego" doradzał rybom, gdzie mają się schronić przed niebezpieczeństwem. To naprawdę był bantustan. Ciekawe, czy Rostowski w końcu zamilknie, czy nadal będzie udawał państwowca. Raczej to drugie. Tylko ludzie niepodległości znają sens słowa „honor".

Fot. M. Czutko x2, Andrzej Skwarczyński x2, Andrzej W. Ktor, Julita Szewczyk

eprasa.pl c32ec8e9ed

Dni konia



KRZYSZTOF FEUSETTE

Wysokie Sądzie, zacznę od krótkiej prezentacji w stylu dowolnym. A więc przychodzi baba do lekarza i mówi: „Panie doktorze, mój mąż twierdzi, że jest koniem. Zgodziłam się, żeby podkuł sobie buty, ale on wczoraj zaczął jeść siano!". „Niestety – odpowiada lekarz – leczenie może być bardzo kosztowne...". „Nie ma problemu, mąż wygrał ostatnio trzy gonitwy". Koń by się uśmiał, prawda? He, he.

Jak już Wysoki Sąd zapewne zauważył, moja linia obrony będzie zabawna i medialnie nośna. Dźwigam bowiem na grzbiecie ciężar, którego byle osioł nie dałby rady nawet na muła zarzucić. Wiem, że skojarzenia z „Naszą szkapą" Marii Konopnickiej nasuwają się same, ale muszę stanowczo nadmienić, iż stosunki moje obecne z redaktor Olejnik, która 12 lat temu odpytywała mnie z tej lektury jeszcze jako ministra edukacji, są dziś naprawdę udane, by nie rzec – cudowne. Wiadomo, baba z wozu, koniom lżej. Zaryzykuję nawet stwierdzenie, że od pewnego czasu jestem już z tej samej politycznej stajni, co pani redaktor, i mniemam, nie bez podstaw, iż będzie to dla Wysokiego Sądu wystarczający powód, by uznać moje racje. Nie tylko żywnościowe. Powiem po prostu jak krowie na rowie: Wysoki Sąd może i jest wysoki, ale ja jestem wyższy. Nie po to więc pędziłem tutaj, co koń wyskoczy, by kogoś przed czymś bronić. Moi klienci są niewinni z natury rzeczy.

Tak było w przypadku rodziny Bąków, Józefa i jego ojca, który, chcę wierzyć, tylko czasowo zamienił białego konia na hulajnogę rasy nieznanej. A przecież – jak spadać, to tylko z wysokiego! Zresztą Wysoki Sąd sam wie doskonale, że łaska państwa Bąków na pstrym koniu jeździ, a pańskie oko konia tuczy. Jak w przypadku biznesmena Czarneckiego, który potrafił nie tylko nagrać szefa KNF, lecz i stwierdzić dwa miesiące potem, a sześć przed publikacją, że „nie ma żadnych informacji, które mogłyby rzutować na kondycję jego banków, bo gdyby miał takowe i je zataił, to złamałby prawo". Końskie zdrowie trzeba mieć w tej pracy. Na marginesie: jakże się ta fortuna kołem toczy, skoro jeszcze niedawno dżokeje z Czerskiej kazali mi się chować do wora, który trafi do jeziora, a dziś uważają już, że można ze mną konie kraść.

Nie tylko jednak fortuna, lecz i historia, zatoczyła piękne koło. Cesarz Kaligula zrobił konia senatorem, mnie zaś pan Grabiec, rzecznik Platformy Obywatelskiej, namaścił na ministra sprawiedliwości oraz prokuratora generalnego w przyszłym rządzie. Słowo się rzekło, kobyłka u płotu – że tak powiem. I to jest płot naprawdę wysoki, bo będziemy za niego wyrzucać każdego, kto nie z nami. Mogę więc na tę kuszącą propozycję odpowiedzieć tylko tyle, co ten koń z dowcipu, który zwyciężył w zawodach z klapkami na oczach, a zapytany, skąd w nim tyle odwagi, odrzekł: „Nie widzę przeszkód". Ja zresztą już dawno wołałem na manifie z koniarzami, prrr..., kodziarzami – że „kto nie skacze, ten za PiS-em, hop, hop, hop".

Przypomnę zatem raz jeszcze – darowanemu koniowi z zęby się nie zagląda, a ja swoje zjadłem na polityce, jak mało kto. Można by nawet rzec: konia kują, a Grabiec nogę podstawia. Ale to swój chłopak jest. W Legionowie taki charakter pokazał, że wio, koniku, albo i jeszcze lepiej. A jak tę szablę dawał za końskie zaloty panu prezydentowi od seksu, to tylko palce lizać. À propos lizania, ja z panem Bąkiem o stanowiskach nie rozmawiałem. Ja nawet jeszcze nie wiem, na którego konia w tych wyborach postawić. Niby znam te wszystkie komendy dla rozluźnienia siodła, ale wiadomo, jak jest: żołnierze jedzą salami – sala pierwsza, sala druga... A ja się na salami przerobić nie dam. Skończyły się czasy, gdy dla konia był tylko suchy chleb.

Na koń, Wysoki Sądzie... a nie, przepraszam – drukarka mi przekłamała. Na koniec, Wysoki Sądzie, chciałem napomknąć o tragedii w Janowie Podlaskim i o tym, jak nam ceny spadły na aukcji. Ja osobiście za Arabami nie przepadam, chociaż przyjmować trzeba, skoro każą, ale żeby konie w konia robić? I znowu dowcip mi się przypomina, bo ja jestem z natury wesołek, na rodeo się raczej nadaję, już bardziej na rewię z pomponami. Idzie zajączek przez las, z podbitym okiem i spotyka niedźwiedzia. Miś pyta, co się stało, zając odpowiada, że w knajpie go pobili. Niedźwiedź się zdenerwował, bierze zająca i ciągnie pod knajpę, żeby pomścić przyjaciela, gdy nagle przez okno wypada wielbłąd i kuśtykając, ucieka do lasu. Niedźwiedź chwilę myśli i mówi: „Wiesz co, zając, lepiej spadajmy. Zobacz, co z koniem zrobili!".

Co ze mną zrobili, to też jest osobny temat. Nawet pomnik zaczęli niedawno w Warszawie przekręcać, żeby uwiecznić w końcu mój najlepszy numer. Stały sobie spokojnie dwa konie z jeźdźcami na rondzie Jazdy Polskiej, to wzięli i je o 135 stopni obrócili, a przecież mnie się bez problemu udało o całe 180. Jak ja sobie pomyślę, że kiedyś w odzieży wszechpolskiej biegałem, to aż mi szczęka chodzi. Dzisiaj bym tych gości, co po pięć piw naraz zamawiali, rozdeptał chyba. Zresztą koń, jaki jest, każdy widzi: bezstronny i apolityczny. Nie na darmo Ryszard krzyczał niedawno: „Konia! Konia! Królestwo za konia!". Wprawdzie to było tylko w teatrze, a Ryszard był III, nie Petru, ale jakiś znak lepszych czasów to przecież jednak jest.

Dlatego wnoszę z tego miejsca o uniewinnienie wszystkich moich klientów. Mam nadzieję, że w obliczu mojej przyszłej kariery ministerialnej Wysoki Sąd nie będzie tak nierozważny, by chcieć się kopać z koniem.

57/1018/F

eprasa.pl c32ec8e9ed

30.11 KRAKÓW

prof.
RYSZARD LEGUTKO
zaprasza na



IV EUROPEJSKI KONGRES W OBRONIE CHRZEŚCIJAN

Europa: od dyskryminacji do prześladowań?

AULA ZGROMADZENIA
KSIĘŻY MISJONARZY
UL. STRADOMSKA 4
ROZPOCZĘCIE: 9:00

WSTĘP WOLNY

WWW.KONGRESCHRZESCIJAN.PL

ABP MAREK **JĘDRASZEWSKI** | MIN. BEATA **KEMPA** | KS. PROF. WALDEMAR **CISŁO** | KS. PROF. PIOTR **MAZURKIEWICZ** | PROF. CHANTAL **DELSOL**

RED. PAWEŁ **LISICKI** | RED. TOMASZ **TERLIKOWSKI** | KS. RED. HENRYK **ZIELIŃSKI** | RED. DAVID **QUINN** | MEC. HÅKON **BLEKEN**

ELLEN **KRYGER FANTINI** | ANNA MARIA **JALALIFAR** | DR ROGER **KISKA** | DR GUDRUN **KUGLER** | MARCELA **SZYMANSKI**

1918·2018

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy
w roku 100-lecia Odzyskania Niepodległości 1918 – 2018

Organizatorzy:

EKR GRUPA EUROPEJSKICH KONSERWATYSTÓW I REFORMATORÓW

POMOC KOŚCIOŁOWI W POTRZEBIE

eprasa.pl c32ec8e9ed



Nad kim ten sąd?

Transmisja telewizyjna z procesu Jarosław Kaczyński kontra Lech Wałęsa kolejny raz ujawniła katastrofalny stan naszego sądownictwa. Na sali sądowej trudno się było zorientować, kto jest pozwanym, a kto powodem.

Pytanie do Kaczyńskiego: „Dlaczego pan uważa, że ta wypowiedź narusza pana dobra osobiste?", z jednej strony ośmiesza zadającą je sędzię, a z drugiej jest świadectwem swego rodzaju odczłowieczenia niektórych przedstawicieli kasty. Czy można mieć jakiekolwiek wątpliwości, że bezwstydna insynuacja Lecha Wałęsy, jakoby prezes PiS telefoniczną rozmową przyczynił się śmierci własnego brata i 95 osób jest niezwykle dotkliwa dla bezpodstawnie pomówionego? Tej rozmowy nigdy nie opublikowano, nie ma jej zapisu, więc wszelkie dywagacje na jej temat są pozbawione racjonalnych podstaw. W tym przypadku wina Wałęsy nie wymaga żadnych długich działań procesowych. To potwarz z premedytacją i nic więcej. Wałęsa ironizujący, że on zna relacje pomiędzy braćmi Kaczyńskimi i wie, że nie rozmawiali przez telefon „o kotkach", sięga moralnego dna. Przecież mówi to w kontekście jednej z najtragiczniejszych katastrof w naszej historii, oczerniając niewinnego człowieka. Nie było żadnej reakcji sądu na te knajackie brednie.

Przesłuchanie Jarosława Kaczyńskiego było jednym wielkim oskarżeniem jego i jego brata Lecha o wszelkie występki, łącznie z rzekomym spreparowaniem teczki TW „Bolek". A przecież w szafie trzymał ją Kiszczak. Przesłuchanie Lecha Wałęsy to był dalszy ciąg oskarżania braci Kaczyńskich. Wałęsa na sali sądowej swobodnie przypisał sprawstwo katastrofy smoleńskiej Jarosławowi Kaczyńskiemu, a sąd wpisał do protokołu, że prezes PiS ma „tyle ludzi na sumieniu". Pozwany, czyli Wałęsa, był przepytywany w miłej atmosferze pół godziny i ucinał wątki, kiedy chciał, a powód, czyli Kaczyński, był maglowany prawie trzy godziny i zagadywany o wiele okoliczności nie zawsze mających cokolwiek wspólnego z przedmiotem procesu.

Bez dokończenia reformy sądów cały czas będziemy żyć w bananowej republice, gdzie polityczni kacykowie będą się czuć ponad prawem.

Ryszard Makowski



Fot. Krzysztof Mystkowski/AFP/East News

Ukraina

Pięć lat po Majdanie



Fot. Fratria

Mija piąta rocznica wybuchu protestów na Majdanie, które doprowadziły do rewolucji i obalenia Janukowycza. To dobra okazja, by podsumować to, co wydarzyło się od tamtego czasu na Ukrainie.

Przede wszystkim nie okazała się ona, jak wieszczono, państwem sezonowym i upadłym. Zadecydowała o tym świadomość narodowa Ukraińców, która zdołała okrzepnąć przez ostatnie trzy dekady. W efekcie po raz pierwszy od 360 lat udało im się wyrwać z rosyjskiej strefy wpływów. Wykazali przy tym determinację, powstrzymując agresję Kremla. Na początku wojny państwo (na skutek działalności poprzednich ekip) praktycznie pozbawione było siły bojowej. Dziś dysponuje mocną 200-tysięczną armią, ostrzelaną w walce z wrogiem i uzbrojoną ostatnio przez Amerykanów w nowoczesną broń.

Na naszych oczach kształtuje się też nowa tożsamość narodowa Ukraińców, zbudowana na konfrontacji z Moskwą. Jednym z elementów uniezależniania się od Rosji jest także autokefalia, przyznana niedawno ukraińskiej Cerkwi przez patriarchat Konstantynopola.

Mimo zwycięstwa rewolucji w kraju nadal panuje system oligarchiczny, który promuje antyrozwojowe grupy interesów. Mało tego: oligarchowie pomnażają majątek, a rozmiary korupcji wcale się nie zmniejszają. Ma w tym swój udział także Unia Europejska, która z jednej strony domaga się zdecydowanych działań antykorupcyjnych, ale z drugiej sama w praktyce je blokuje. Wiadomo bowiem, że głównym bastionem korupcji na Ukrainie jest sądownictwo, które zostało odziedziczone po minionym systemie bez żadnych zmian i wymaga gruntownej reformy. Jakakolwiek próba uzdrowienia tej sfery przez rządzących spotyka się jednak z protestami UE, która traktuje to jako zamach polityków na niezależność władzy sądowniczej.

Kraj boryka się z kryzysem gospodarczym, czego efektem jest kilkumilionowa emigracja na Zachód. Zniesienie wiz do UE, okrzyknięte w Kijowie jako epokowy sukces, przyspieszyło ten proces.

Z polskiego punktu widzenia istnienie niezależnego od Rosji państwa ukraińskiego jest ważnym elementem naszego bezpieczeństwa. Strategicznie Kijów powinien być więc sojusznikiem Warszawy. Jedynym problemem w relacjach między nami jest polityka historyczna, a zwłaszcza gloryfikacja banderyzmu przez władze ukraińskie. Jest to zresztą dla Kijowa szerszy problem, który może utrudnić mu integrację ze strukturami zachodnioeuropejskimi, ponieważ UE została zbudowana na odrzuceniu i potępieniu ideologii nacjonalistycznej.

Grzegorz Górny

Niemcy

Lewica i granice gościnności

Sahra Wagenknecht, apologetka stalinizmu, reżimów na Kubie i w Wenezueli, szefowa klubu Die Linke w Bundestagu, oraz jej mąż Oskar Lafontaine, niegdyś polityk SPD i zagorzały antyglobalista, założyli wspólnie pozaparlamentarny ruch polityczny Powstań. Program ruchu to typowa dla skrajnej lewicy mieszanka pacyfizmu, rusofilstwa, antyglobalizmu i polityki socjalnej. Ale z pewnym wyjątkiem, który spowodował, że mimo iż Die Linke od dawna wpisuje się w główny nurt za Odrą, a część programu Powstań można także znaleźć u SPD czy Zielonych, nowy ruch został przyjęty krytycznie przez niemieckie media.

A to dlatego, że Wagenknecht otwarcie krytykuje politykę migracyjną kanclerz Angeli Merkel, przypisując jej m.in. współodpowiedzialność za zamach na berlińskim Breitscheidplatz. Według niej otwarte granice służą wyłącznie elitom bogatych krajów przemysłowych, które ściągają sobie w ten sposób tanią siłę roboczą. Uchodźcy stają się konkurencją dla niemieckich pracowników w sektorze niskich płac. Ponadto, jak przekonuje polityk, „istnieją granice gościnności", a te zostały w Niemczech dawno osiągnięte. „Jest to rozgrywanie biednych przeciwko jeszcze biedniejszym. Takie są fakty i nie jest to ani lewicowe, ani prawicowe" – mówiła w jednym z wywiadów.

Chęć współpracy z Powstań pierwsza zgłosiła antyimigrancka Alternatywa dla Niemiec (AfD), a niemieccy eksperci i media uznali, że nowy ruch to kolejna partia populistyczna, tyle że lewicowa. „Lewicowy populizm zaszkodzi temu krajowi tak samo jak prawicowy. Jeżeli ceną za powstanie tego ruchu będzie dalsza erozja partii demokratycznych, to Wagenknecht i spółka nie uczynią kraju ani stabilniejszym, ani bezpieczniejszym" – oceniła choćby „Rhein-Zeitung". Powstań i Wagenknecht mają jednak także zwolenników na lewicy. Jednym z nich jest socjaldemokrata Rudolf Dreßler, który uznał, że to „jedyna szansa SPD na perspektywę władzy", kolejnymi są posłowie do Bundestagu Sevim Dağdelen (Die Linke), Marco Bülow (SPD) i była wiceprzewodnicząca Bundestagu, polityk Zielonych Antje Vollmer.

Czy to wystarczy, by Powstań odniosło sukces? Czas pokaże.

Aleksandra Rybińska

eprasa.pl c32ec8e9ed

USA

Kolumb, kat Palestyńczyków



Columbus Day, obchodzony na pamiątkę przybycia Krzysztofa Kolumba do Ameryki i włączenia zachodniej półkuli w obręb cywilizacji łacińskiej, stał się w ostatnich latach celem coraz silniejszej nagonki organizowanej przez liberalną lewicę. Już samo pojęcie „odkrycia Ameryki" jest dziś odrzucane jako europocentryczne i odzwierciedlające punkt widzenia białego człowieka, a przez to niepoprawne politycznie, podobnie zresztą jak określenie „Indianie", które zostało zastąpione przez „native Americans" (rdzenni Amerykanie). W ocenie lewicy amerykański sen, czyli narodowy etos wyrażający dumę z wolności, równości i demokracji, jest przywilejem wyłącznie potomków białych kolonizatorów, ponieważ został zbudowany na krzywdzie rdzennej ludności i afrykańskich niewolników. Trzeba więc – uważa lewica – zadośćuczynić pokrzywdzonym i przywrócić im należne miejsce w historii Ameryki.

Początkowo polegało to na akcji afirmatywnej, która miała zwiększyć udział „pokrzywdzonych mniejszości" w życiu państwa. Wprowadzono też korekty w programach nauczania i rozmaite programy wyrównujące szanse. Dziś jednak przekształciło się to w niemal otwartą walkę z własną przeszłością i kulturą. Ofiarami tej walki – poza generałami Konfederacji z czasów wojny secesyjnej czy „imperialistycznymi" prezydentami w rodzaju Theodore'a Roosevelta – padł również Krzysztof Kolumb jako ten, który swoim przybyciem sprowadził zło na żyjącą wcześniej rzekomo w harmonii Amerykę. Kolejne stany usuwają pomniki odkrywcy, a dotychczasowy Columbus Day coraz częściej zastępowany jest przez Indigenous People Day (Dzień Rdzennej Ludności).

W tym roku, być może pod wpływem antytrumpowskiej histerii, posunięto się jeszcze dalej. Bohaterami uroczystości z okazji Dnia Rdzennej Ludności na prestiżowym Uniwersytecie Browna w Providence obwołano... Palestyńczyków. Uczelnia uznała, że są oni odpowiednikiem Indian, tyle że prześladowanymi w Izraelu. Wzbudziło to protesty ze strony żydowskich studentów. Jeden z nich w liście próbował wyjaśniać, że akurat na terenie Izraela ludnością jak najbardziej rdzenną są właśnie Żydzi, a Arabowie pojawili się tam znacznie później. Bezskutecznie.

Zachodnia lewica nie postrzega współczesnych Żydów jako narodu ofiar. I coraz głośniej domaga się od Izraela przywdziania worka pokutnego za krzywdy wyrządzone Palestyńczykom. Trudno jednak wyobrazić sobie, że Izrael ulegnie i zacznie burzyć pomniki Herzla i Ben Guriona. Spór będzie więc narastał, a jego konsekwencje mogą być zaskakujące.

Konrad Kołodziejski

Fot. Everett Historical/Shutterstock.com

Rosja

#NasTuNieMa

Czy można wyobrazić sobie coś bardziej zdumiewającego niż wystąpienie do międzynarodowego sądu karnego w Hadze... rosyjskich najemników? I to ich wystąpienie przeciwko... władzom Rosji, które wykorzystują zatrudniające ich prywatne firmy (realizujące przy okazji własne interesy) w rozmaitych bliskowschodnich i afrykańskich konfliktach. A właśnie to się zdarzyło.

Najemnicy odbyli „ogólnorosyjskie zebranie oficerskie" pod hasłem „Prywatne przedsiębiorstwa wojskowe – zagłada armii, #NasTuNieMa". Ostatni człon nazwy to aluzja zarówno do utajniania udziału najemników w rosyjskich akcjach wojskowych za granicą, jak i do będącej główną przyczyną ich inicjatywy postawy państwa rosyjskiego – choć używa ono ich z rozmachem we własnym interesie, to zarazem formalnie nie uznaje ich istnienia. A w ślad za tym nie zapewnia im praw ani przywilejów będących udziałem żołnierzy państwowych sił zbrojnych. Co więcej – jeszcze w lipcu odpowiadając na pismo grupy najemników żądających sformalizowania działalności prywatnych firm wojskowych, ministerstwo obrony określiło działalność tych przedsiębiorstw jako... antykonstytucyjną. Podkreślmy raz jeszcze – czyni to resort, który zarazem na wielką skalę posługuje się tymi firmami, czego trudno nie skojarzyć ze schizofrenią.

A te firmy to nie jest już wyłącznie słynna „kompania Wagnera". Jest ich już kilkanaście, prowadzą działalność od Syrii, przez Libię, oba Sudany, po Republikę Środkowoafrykańską. Ta działalność jest często związana z przejmowaniem przez rosyjski kapitał dochodowych złóż surowców w tych krajach. To, oprócz agresywnej polityki Moskwy, druga przyczyna tak bujnego rozwoju tego sektora.

I zapewne właśnie współzawodnictwo o te zasoby powoduje narastanie w rosyjskich elitach konfliktów, których przejawem jest obecna akcja najemników i wsparcie jej przez postacie pokroju sławetnego nacjonalisty, pułkownika Wiktora Ałksnisa. Paradoksem jest zaś to, że najemnicy zwrócili się do trybunału haskiego – który w narracji wspierających ich wielkorosyjskich szowinistów i imperialistycznych jastrzębi był zawsze uosobieniem wroga...

Piotr Skwieciński

eprasa.pl c32ec8e9ed

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Uwaga! ANTYNARODOWCY!



Jan Pietrzak

W związku z Marszem Niepodległości zrobiło się głośno o narodowcach, którzy dla środowisk stymulowanych umysłowo przez „GW”/TVN są jakimś upiorem do straszenia dzieci i Verhofstadta Guya z Brukseli. Pozwolę sobie mieć zdanie odrębne.

Otóż prawdziwym koszmarem Polski są ANTYNARODOWCY. Narodowcy czasami przesadzają z wiecową retoryką, z młodzieńczymi pomysłami, ale Polskę kochają. Antynarodowcy natomiast nienawidzą nas. W najlżejszej wersji – polskość to dla nich nienormalność. W wersji cięższej – my dla nich to bydło, mohery, ciemnogród, tępe cepy, zacofana ciemnota, bolszewicy, szarańcza... A Marsz Niepodległości, który właśnie odbyliśmy w liczbie ok. 300 tys. ludzi, to dla nich „marsz hańby”. Na czym ta hańba miałaby polegać, to, dalibóg, nawet Schetyna nie potrafi wyjaśnić.

Antynarodowcy bez opamiętania rzucają obelgami, zwłaszcza tymi dobrze widzianym w Niemczech, ich finansowej ojczyźnie. Najlepiej opłacane są etykiety nazistów i faszystów przylepiane Polakom. Czynią to na wiele sposobów, w sposób chytry, przemyślany, a czasami prymitywnie, „na rympał”, jak było z debilną ustawką pt. „Urodziny Hitlera” w lesie k. Wodzisławia. Podczas nagonki w goebbelsowskim stylu każdy wyrazisty incydent potęguje wrażenie. Takim przykładem polskiego faszyzmu miało być leśne fetowanie Hitlera à la werwolf. Dla nas, prawdziwych ofiar faszyzmu, był to idiotyczny absurd, ale dla euromediów rozgrzanych przez anty-Polaków użyteczny obrazek. Ludzie, którzy tego świństwa dokonali i je propagowali, powinni być bezwzględnie osądzeni.

Widzimy gołym okiem, że przeciw Polsce toczy się wojna informacyjna, więc powinniśmy uruchomić jakieś mechanizmy obronne, by pohamować tę wojnę. Nieustanne kajanie się za niepopełniane grzechy nie przystoi państwu dzielnych Polaków, którzy dopiero co odzyskali niepodległość.

Po naszych tragicznych doświadczeniach niepodległość musi być pilnowana jak narodowy skarb. Byle łajdak nie powinien bezkarnie z niej kpić i narażać na szwank. Antynarodowcy to najgorszy sort łajdactwa. Ktoś im musi to wyjaśnić, by nie udawali, że nie wiedzą, zanim zapadną wyroki.



Cudowna rola, pani wójtowo

Z aktorką Violettą Arlak rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Grane przez panią bohaterki – czy to w powtarzanym „Ranczu”, czy w „Koronie królów” – potrafią postawić na swoim. To zasługa pani charakteru?

Violetta Arlak: W dużej części, ale myślę też, że niezależnie od obyczajów i kostiumów kobiety w różnych czasach potrafiły znaleźć miejsce dla siebie. Facet w krytycznej sytuacji sięgnie po ostrą broń, a kobieta poszuka najskuteczniejszej metody: negocjacji, prowokacji, dyplomacji...

Zgadza się pani ze stwierdzeniem, że za sukcesem mężczyzny stoi mądra kobieta?

Zawsze. I na wieki wieków... amant. Głową kręci szyja.

Kim kręciła Bożena Tęczyńska?

Wydawała się doskonale we wszystkim zorientowana, układała swoje plany i strategie, choć to nie ona ostatecznie rozdawała na Wawelu karty.

W swojej zaradności wydawała się bardzo współczesna.

Podejrzewam, że i parę wieków wstecz takie samodzielne kobiety były. Przecież mężczyźni często opuszczali domy, a ktoś musiał zarządzać majątkiem, mieć oko na służbę. To my mamy umysły średniowieczne, jeśli podniecamy się tym, że kobieta może tupnąć nogą i postawić na swoim. Ale są i takie kobiety, które niezależnie od czasów lub okoliczności wolą poszukać silnego ramienia mężczyzny, zamiast radzić sobie z problemem samodzielnie. To kwestia charakteru, nie czasu.

Jak Bożenę Tęczyńską oceniali widzowie?

Słyszałam: „Cudowna rola, pani wójtowo”. Wryłam się więc w pamięć bardziej jako postać z „Rancza”. Nie ma się jednak co dziwić, skoro tamten serial był realizowany latami, a i powtórki nie dają o nim zapomnieć.

Fot. Gałązka/AKPA | 45/0918/F

eprasa.pl c32ec8e9ed

accenture

LEADING IN THE NEW



© 2018 Accenture. All rights reserved.

eprasa.pl c32ec8e9ed

BRONISŁAW WILDSTEIN

Kto robi karierę na antysemityzmie



Było to w zamierzchłych czasach, kiedy człowiek bez właściwości grał rolę wieszcza prawicy i gromił postmodernizm. Człowiek ów, Cezary Michalski, wraz z filozofem Ryszardem Legutką, który miał pecha krytykować ten sam nurt myślenia, został w „Gazecie Wyborczej" okrzyknięty antysemitą przez Sergiusza Kowalskiego. Rozumowanie tego ostatniego było oczywiste i proste jak cep. Wśród twórców postmodernizmu były osoby pochodzenia żydowskiego. Kto atakuje ten kierunek, atakuje Żydów, jest więc antysemitą – mogliśmy przeczytać „Wyborczy" sylogizm.

Przypominam historyjkę sprzed niemal 20 lat, gdyż znowu, w podobny sposób, Kowalski dał znać o sobie. Tym razem jednak z większym przytupem. Jako szef polskiego oddziału loży B'nai B'rith zażądał wraz ze swoją organizacją dymisji wicepremiera i ministra kultury Piotra Glińskiego. Trzeba docenić umiar. Mógł przecież w imieniu „Synów" rozwiązać polski rząd i odwołać prezydenta.

Powodem było zestawienie diabolizowania PiS z nazistowską propagandą. „[...] mamy być tak traktowani jak Żydzi przez Goebbelsa" – powiedział minister. Z właściwą sobie subtelnością Kowalski uznał, że jeśli ktoś porównuje propagandę III Rzeszy z jakąś inną, oznacza to, że los jej ofiar zrównuje ze statusem Żydów w czasie Holokaustu. Absurdalne to wnioskowanie, ale czego można się po Kowalskim spodziewać? Konsekwentnie jednak powinien domagać się zakazu używania jakichkolwiek porównań odwołujących się do nazistowskich Niemiec. Jeśli Kowalski i jego loża chcieliby bronić tego tabu, dlaczego nie protestują przeciw porównywaniu PiS do nazistów? Dlaczego nie oburzają się na występy rozmaitych komediantów, np. tej – skądinąd znanej aktorki – która zrozumiała, jak czuło się żydowskie dziecko w czasie wojny, kiedy pasażerowie tramwaju z niechęcią patrzyli na jej znaczek KOD?

Sprawa jest oczywista. Chodzi o monopol. Wrażliwa na antysemityzm lewica ma prawo odwoływać się do takich skojarzeń, ale jej przeciwnikom, winnym przecież wszelkiego zła, od tego wara.

Oskarżenie o antysemityzm jest, jak w przytoczonej na wstępie historii, obuchem, którym lewica wali na odlew swoich przeciwników. Klasykiem tej strategii jest oczywiście „Wyborcza". Każdy jej krytyk mógł liczyć się z tym, że zostanie nazwany antysemitą. Tym, że nadużywane bez opamiętania oskarżenie zostanie zbanalizowane, pozbawione złowrogich konotacji, a w efekcie określane w ten sposób zjawisko w odczuciu powszechnym stanie się coraz bardziej obojętne, tym ludzie pokroju Kowalskiego w ogóle się nie przejmują. Można powiedzieć więcej, jest im to na rękę. Na czym mógłby robić karierę obecny szef B'nai B'rith, jeśli nie na antysemityzmie? Przepraszam: na ściganiu antysemitów. Paradoksalnie jednak, przy odpowiedniej intensywności procederu, różnica się zaciera, a tropienie staje się coraz bardziej kreowaniem.

Z pełną odpowiedzialnością powiedzieć można, że „Wyborcza" jest środowiskiem, które najbardziej przyczyniło się do wzrostu antysemityzmu w III RP, choć to ciągle margines w naszym kraju. Nieustanne wmawianie Polakom, że ich tradycja jest antysemicka, patriotyzm musi prowadzić do tego typu postawy, a polska tożsamość budowana jest na nienawiści do Żydów, musiało przynieść rezultaty. Tak jak posługiwanie się tym oskarżeniem jako politycznym instrumentem bez cienia jakiegokolwiek uzasadnienia. Trudno nie zauważyć tych odwrotnych efektów kampanii przeciw antysemityzmowi, jaką prowadzi establishment III RP. To, że jego przedstawiciele się tym nie przejmują, jest zrozumiałe. Ich znaczenie uzależnione jest od kompleksów, w jakie uda się mu wepchnąć ogół Polaków, tak jak od poparcia europejskiego salonu, w imieniu którego, jako cywilizowani tubylcy, utrzymują w posłuchu nienawistny motłoch. Za odgrywanie tej roli otrzymują europejskie synekury, stypendia i nagrody. Antysemityzm potrzebny jest im jak powietrze, w razie braku muszą go sprowokować lub wymyślić. Kowalski jest tego dobrym przykładem. Naturalnie nie tylko on. Fałszywki z ostatniego Marszu Niepodległości, w tym świadectwa o jakoby antysemickich transparentach, obiegły już świat. Do niektórych fałszerstw ich autorzy zdążyli się przyznać i uzasadnić je racjami wyższymi.

Zamiast robić to bezpośrednio, tropiciele antysemityzmu powinni porozumieć się z realnie funkcjonującym marginesem, który tak zawzięcie ścigają. Przecież jedni bez drugich nie istnieją. Mogliby wspólnie projektować niezbędne dla obu środowisk przedsięwzięcia. TVN przetarł już szlak.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl c32ec8e9ed

FINN, czyli polski REIT coraz bliżej



12/1018/F

Wprowadzenie na polski rynek FINN-ów – firm inwestujących w najem nieruchomości – ma szansę pobudzić rynek mieszkaniowy. Dzięki nim wzrosną nakłady inwestycyjne na sektor nieruchomości, zwiększy się popyt na usługi z sektora budownictwa oraz zaktywizuje się rynek pracy. W rozmowie z Anną Raciniewską o tym, jak wraz z FINN-ami zmieni się polski rynek mieszkaniowy, opowiada wiceprezes PFR Nieruchomości Włodzimierz Stasiak

Jak ta regulacja o FINN-ach wpłynie na polski rynek mieszkaniowy?

Od wielu lat na polskim rynku mieszkaniowym jest olbrzymia luka pomiędzy podażą a popytem. W porównaniu z bardziej dojrzałymi rynkami zachodnimi nasz cechuje się bardzo dużym udziałem własności, a małym mieszkań na wynajem, w tym lokali będących własnością samorządów. W krajach zachodnich odsetek gospodarstw domowych, które zaspokajają swoje potrzeby mieszkaniowe w drodze wynajmu, przekracza 20 proc. Są i takie kraje, np. Austria, w których mieszkań na wynajem jest 2/3, w tym spory odsetek oferowanych przez samorządy i duże firmy inwestycyjne.

W Polsce to zjawisko jest dotychczas nieobecne?

Mieszkań na rynku najmu jest 15–20 proc. W rękach samorządów jest te kilkanaście procent, a w rękach prywatnych inwestorów zaledwie kilka procent. Jesteśmy w ogonie krajów Unii Europejskiej: zarówno w liczbie mieszkań przypadających na tysiąc mieszkańców, jak i jeśli chodzi o średnią powierzchnię przypadającą na jedno gospodarstwo domowe. Przy dzisiejszej sile nabywczej Polaków nie możemy sobie pozwolić na duże zakupy mieszkaniowe. Średnia unijna przypadająca na jedną osobę, czyli 40 m^2, u nas przypada na jedną rodzinę. Do tego dochodzi degradacja mieszkań. Bywa, że brakuje w nich węzła sanitarnego, a nawet bieżącej wody.

Jak zmienić te sytuację?

Luka do wypełnienia to miliony mieszkań. Potrzebna jest więc aktywizacja wszelkich źródeł kapitału. Stąd też zachęta do działania dla dużych instytucji, ale i drobnych inwestorów. Jeżeli chodzi o inwestorów instytucjonalnych, trzeba niestety odnotować, że na rynku jest sytuacja paradoksalna, odwrotna niż w całej Europie: polskie fundusze emerytalne zupełnie nie inwestują w nieruchomości. To fenomen na skalę światową, całkowicie niezrozumiały. Największe, najlepsze polskie komercyjne nieruchomości są w posiadaniu zagranicznych funduszy inwestycyjnych, o różnym charakterze: REIT-ów (odpowiedników polskich FINN-ów) czy też funduszy emerytalnych.

Wydawałoby się, że w Polsce ciągle coś się buduje...

Deweloperzy rzeczywiście zwiększają podaż mieszkań, ale to jest oferta skierowana przede wszystkim do tych gospodarstw domowych, które mogą sobie pozwolić na zakup mieszkań na własność, często zaciągając bardzo uciążliwe kredyty hipoteczne. Tymczasem mogłaby powstać oferta mieszkań na wynajem. Najem daje dużo większą elastyczność: pozwala się uwolnić od obciążenia kredytem, umożliwia mobilność związaną np. z poszukiwaniem pracy i dostosowanie potrzeb do etapu rozwoju rodziny. Pokładamy więc dużą nadzieję w FINN-ach – wehikułach inwestycyjnych, które swój kapitał zainwestują w długoterminowy najem mieszkań, akademików czy domów dla seniorów.

Wszystko to już zacznie się za dwa miesiące?

Trzeba być wielkim optymistą, żeby się spodziewać wielkiego boomu. Ten proces będzie z pewnością długotrwały, ale oczywiście nie zacznie się bez tej regulacji. Zyskają jednak wszyscy: i ci, którzy czekają na mieszkania, i ci, którzy chcieliby w nie zainwestować. Inwestowanie będzie prostsze i bardziej opłacalne. Zniknie bariera wejścia – zamiast nabywać całe mieszkanie, będzie można zainwestować pewną kwotę, kupując akcje FINN-ów. Koniec problemów z płynnością – zbyć można dowolną liczbę akcji, a nie całe mieszkanie. Ryzyko operacyjne będzie rozproszone: inwestując w FINN-y, nie wkładamy wszystkich jajek do jednego koszyka, tak jak w przypadku zakupu konkretnego lokalu. Zarobek będzie wypłacaną dywidendą, której częstotliwość określa ustawa, a obowiązkiem FINN-ów będzie dbałość o regularną wypłatę.

eprasa.pl c32ec8e9ed

OGNIEM NA WPROST

Anakonda, czyli wielki wstyd



Oj, nie popisało się polskie dowództwo manewrów Anakonda 2018. A zadanie wcale nie było takie trudne. Główny ćwiczący – 12. Dywizja Zmechanizowana – miał pokonać przeszkodę wodną i znaleźć się na drugim brzegu Wisły. Przeprawę przygotował 5. Pułk Inżynieryjny. Ale „Dwunasta" utknęła, zatrzymana rozkazem dowódcy operacyjnego ćwiczeń gen. Tomasza Piotrowskiego. Okazało się, że poziom wody w rzece jest za niski, a wokół ścieliła się mgła. Jednym słowem, panowały wręcz idealne okoliczności do trenowania forsowania przeszkody wodnej podczas warunków utrudniających rozpoznanie przeciwnikowi. Plus dodatkowa przeszkoda dla artylerzystów i saperów. Zawiodło także wsparcie powietrzne, ponieważ samoloty uziemiono na pasach startowych z... powodu kiepskiej widoczności. Runął więc mit, że nasze lotnictwo jest w stanie działać w każdych warunkach atmosferycznych, a o tym, żeby odpalić rakietę we mgle, też można zapomnieć. Wściekły dowódca 12. Dywizji Zmechanizowanej gen. dyw. Maciej Jabłoński skomentował całe zdarzenie w krótkich żołnierskich słowach: „Czy w razie, nie daj Boże, wojny nasze wojsko wyśle telegram do wroga z prośbą o zawieszenie broni, bo pogoda nie sprzyja?". Przy okazji nazywał dowódcę operacyjnego „dyletantem i ignorantem", który „zhańbił jego dywizję". Gdzie te czasy, kiedy Czarnecki pod Warką z powodu spalenia przez Szwedów mostu rzucił się z kawalerią wpław przez Wisłę, by nie dać wrogowi zwiać, o Danii i Morzu Bałtyckim w zimie nie wspominając? Cóż, czas panu gen. Piotrowskiemu przypomnieć kilka wersów starej, ale sławnej i już historycznej, choć mało cenzuralnej piosenki Legionów Piłsudskiego z C.K. Armii: „Jak się bilim pod Przemyślem, to nam w d...ę dał wróg też / Może byśmy k...a i wygrali, ale k...a padał deszcz".

Zdaniem holenderskiego profesora nauk społecznych Ruuda Koopmansa 0,5 mld dorosłych muzułmanów z 1,6 mld żyjących na świecie wyznaje skrajnie konserwatywne wartości, takie jak niższy status prawny kobiet, homoseksualistów i niewiernych. Z tej grupy 10 proc., czyli 50 mln, jest w stanie posunąć się do przemocy w obronie islamu. „To oczywiste, że nie każdy, kto jest skłonny do przemocy, wprowadza to w życie" – wyjaśnia profesor. „Ale zagrożenie jest także ze strony tych, którzy wspierają radykałów, zachęcają, dają im schronienie czy najzwyczajniej milczą, gdy widzą radykalizację i podejrzewają planowane ataki". Prof. Koopmans przytacza badania, według których w Niemczech ok. 8 proc. muzułmanów usprawiedliwiało przemoc w imię islamu, w Holandii – 11 proc., a w badaniu Pew Research z 2013 r. przeprowadzonym w wielu krajach – takich muzułmanów było ok. 14 proc. Również liczbę 50 mln profesor uważa za „konserwatywną", ponieważ gdyby odnieść 14 proc. do całej populacji dorosłych, byłaby większa. Należy wziąć jeszcze pod uwagę, że część osób takich postaw nie ujawnia w sondażach. Natomiast wielu światowych polityków ujawnia skrajną nieroztropność, żeby nie powiedzieć głupotę, sygnując globalne porozumienie ONZ w sprawie migracji, zwane również „porozumieniem z Marrakeszu". Na szczęście Polska, Węgry, o USA nie mówiąc, patrzą na nie jak na kolejny gwóźdź do trumny cywilizacji europejskiej. Szkoda atramentu na podpisywanie wyroku na siebie.

Środowiska LGBT i coś tam urządziły kolejną hucpę, tym razem w Gdyni. 300 osób ruszyło w Marszu Równych spod pomnika Ofiar Grudnia'70 (sic!), udając się na skwer Arki Gdyni obok Bulwaru Nadmorskiego. Oprócz wykrzykiwania standardowych bredni o społecznym wykluczeniu osób o innej orientacji seksualnej, kobiet, cudzoziemców i kogo tam jeszcze, doszły modne dziś slogany antyfaszystowskie, antyrasistowskie oraz antynacjonalistyczne. Taki Marsz Niepodległości, tylko à rebours. Naczelnym hasłem wykrzykiwanym co jakiś czas było: „Nasza Gdynia jest tęczowa". I radosna celebracja doszłaby do szczęśliwego finału, gdyby nie kontrmanifestacja „Rodzina fundamentem narodu". Wtedy padła odpowiedź na rzekomo „tęczową Gdynię": „Sodomici, lesby, geje, cała Gdynia z was się śmieje". A może wreszcie wziąć przykład z sąsiedniej Litwy, gdzie – jak wykazują badania wykonane przez Litewską Ligę Gejów (Lietuvos gėjų lyga) – 68 proc. Litwinów woli mieszkać koło dilera narkotyków niż homoseksualisty? Tam w czerwcu 2009 r. Sejm przyjął ustawę o zakazie promocji homoseksualizmu, która określiła homoseksualizm jako patologię, uznając tego typu zachowania za szkodliwe dla Litwy. Sprzeciw zgłosiło 3 (słownie: trzech) posłów!

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl c32ec8e9ed

Projekt innowacja



Marta Kaczyńska-Zielińska

Polska jest krajem o ogromnym potencjale innowacyjności. Pączkuje u nas mnóstwo start-upów, wielu specjalistów tworzących nowe rozwiązania technologiczne odnosi sukcesy nie tylko w Polsce, lecz i poza jej za granicami. Wychodząc naprzeciw kreatywności rodzimych przedsiębiorców, Polski Fundusz Rozwoju wraz z jednym ze światowych gigantów nowych technologii zorganizował cykl bezpłatnych szkoleń dla 1,2 tys. uczestników z zakresu design thinking, czyli kreatywnego projektowania. Metoda ta służy tworzeniu innowacyjnych produktów i usług w oparciu o zrozumienie zarówno fizycznych, jak i emocjonalnych problemów oraz potrzeb użytkowników. Idea projektowania bazująca na opracowanych naukowo zasadach wychodzi poza ergonomię i uzasadnienie ekonomiczne, podchodząc do użytkowników holistycznie – uwzględniając nie tylko praktyczne zastosowanie nowych przedmiotów lub usług, lecz m.in. także aspekty emocjonalne, które wiążą się z ich stosowaniem. Efektem stosowania design thinking mają być innowacyjne produkty i usługi o dużym stopniu konkurencyjności i wysokim potencjale sprzedażowym.

Za twórcę koncepcji design thinking uchodzi prof. David M. Kelley z Uniwersytetu Stanforda w Kalifornii. Powołana przez naukowca na początku lat 90. firma zapoczątkowała komercyjne zastosowanie wspomnianej metody. W praktyce design thinking może być używany w każdym przypadku występowania niestandardowych, trudnych do zdefiniowania zagadnień. W 2004 r. powstał Instytut Designu na Uniwersytecie Stanforda, a trzy lata później w Poczdamie utworzono HPI School of Design Thinking. Wykładów na temat omawianego procesu można wysłuchać także na Harvardzie.

Główne założenia omawianego sposobu projektowania to koncentracja na uświadomionych i nieuświadomionych potrzebach użytkowników, praca w interdyscyplinarnym zespole, eksperymentowanie na prototypach. Proces kreowania w ramach design thinking jest usystematyzowany – począwszy od stworzenia grupy specjalistów z dziedzin potrzebnych do identyfikacji problemu i jego oceny z różnych perspektyw, np. od aspektów czysto technicznych, poprzez względy finansowe, skończywszy na emocjonalnych. Pierwszym etapem pracy zespołu jest empatyzacja, czyli rozpoznanie intuicyjnych motywacji decydujących o ludzkich wyborach i sposobach działania. Naukowcy sugerują, by na omawianym etapie koncentrować się nie wyłącznie na tradycyjnych ankietach, ale stawiać na dyskretną obserwację zachowań, które w wywiadach często nie są ujawniane, a mogą być przydatne do tworzenia nowatorskich rozwiązań. W celu zebrania niezbędnych informacji m.in. przeprowadzane są wywiady etnograficzne, sporządzane są ankiety, badania środowiska.

Po zebraniu dostatecznej ilości danych i wstępnym zdefiniowaniu potrzeb zespół projektowy organizuje tzw. burzę mózgów, podczas której każdy ze specjalistów winien puścić wodze fantazji, pozwalając sobie na wymyślenie nawet najbardziej oryginalnych rozwiązań. Zalecane, by członkowie zespołu nie przywiązywali się do wymyślonych przez siebie koncepcji i pozostawali otwarci na dyskusje i inicjatywy pozostałych osób. Owocem działań zespołu ma być prototyp poddawany następnie testom w przyszłym naturalnym środowisku użytkowania produktu lub usługi. Ostateczna wersja może zostać wyprodukowana dopiero po pozytywnym przejściu wszelkich zamierzonych testów. Zgodnie z opisanymi regułami powstają m.in. produkty wiodących światowych marek z branży informatycznej i elektronicznej, które za sprawą łatwości użytkowania, atrakcyjnego wyglądu podbijają światowe rynki.

Design thinking sprowadzony do pewnych ram procedowania jest uniwersalny – może mieć zastosowanie nie tylko w biznesie, lecz także w edukacji, administracji, sprzyjając integracji środowisk i generowaniu przez nie niestandardowych rozwiązań w zakresie nauczania czy obsługi petentów.

REKLAMA



46/1118/F

eprasa.pl c32ec8e9ed

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Céline „Gender” Dion



Kanadyjska piosenkarka Céline Dion postanowiła uwolnić niemowlęta od płci. Artystka wystąpiła w reklamie ubranek firmy Nununu, w której dmuchając czarnym pyłem na ubrane na różowo i niebiesko dzieci, uwalnia je podobno od stereotypowych, związanych z płcią ubranek. I tak w magiczny sposób na dzieciach pojawiają się biało-czarne ciuszki ozdobione dziwnymi symbolami. Niektóre niemowlaki mają na śpioszkach symbol pentagramu, inne napis „New Order” (nowy porządek). Jakby tego było mało, symbol płci na ścianach szpitalnej sali zastępuje równoramienny krzyż, a wokół dzieci pojawiają się czarne równoramienne krzyże. Takie same, jakie dzieci mają na ubrankach – symbol bezpłciowej kolekcji. Ubrania zaprojektowała sama piosenkarka. „Zawsze uwielbiałam Nununu oraz to, co prezentowali. Nawiązanie współpracy w celu przybliżenia dialogu na rzecz równości […] ma dla mnie duży sens” – tłumaczyła piosenkarka, a sprawę opisuje m.in. pch24.pl. Strona, na której są promowane ubranka, informuje, że całe przedsięwzięcie to próba uwolnienia dzieci „od tradycyjnych ról chłopca i dziewczynki” i „daje młodzieży wolność wyboru własnej osobowości”. W tej sytuacji najwyższa pora zmienić przydomek artystyczny na Céline „Gender” Dion, ewentualnie Céline „Nowy Porządek” Dion. Tak źle i tak niedobrze.

10
mln euro
– tyle chcą przeznaczyć szefowie PKN Orlen na sponsorowanie teamu Williamsa, w którym będzie jeździł Robert Kubica.

500
tys.
– tyle opakowań z podróbkami prezerwatyw światowych producentów zabezpieczyła chińska policja po rozbiciu grupy przestępczej trudniącej się podrabianiem tychże. Chińczycy podrobią wszystko. Nawet prezerwatywy.

6
proc.
– o tyle więcej niż przed rokiem wydadzą w 2018 r. Polacy na święta Bożego Narodzenia. W ujęciu kwotowym wydamy średnio 1,2 tys. zł. Tak przynajmniej wynika z opublikowanego w środę badania firmy doradczej Deloitte.

Tylko nie madam!

„Pracownicy pogotowia ratunkowego w Wielkiej Brytanii być może już wkrótce nie będą mogli używać zwrotów »sir« i »madam« w odniesieniu do dzwoniących pod numer 999. London Ambulance chce iść z duchem czasu i nie pomijać osób transgenderowych” – informuje portal Londynek.net. Dziś główną zasadą, której mają przestrzegać pracownicy pogotowia, jest grzeczność i zdrowy rozsądek. Nie obowiązują jednak żadne zasady związane z płcią. Jednak londyńskie pogotowie ratunkowe myśli nad zmianami po tym, gdy osoby prowadzące kampanie na rzecz osób transgenderowych zasugerowały, że obecny system zwracania się do dzwoniących jest niesprawiedliwy. Niewykluczone, że niedługo zwyczajowe „pan” i „pani” przejdą do historii. Podobnie jak zdrowy rozsądek.



Do odstrzału

W jednej z brytyjskich firm zwolniono grupę kierowników tylko dlatego, że byli białymi mężczyznami. Chodzi o agencję reklamową JWT, która wśród swoich klientów ma tak słynne marki, jak Aston Martin, Shell i Nestlé. Dyrektor kreatywna tej firmy Jo Wallace jest zdeklarowaną feministką i homoseksualistką. Postanowiła po swojemu rozwiązać problem braku różnorodności wśród starszych pracowników firmy. Pozbyła się więc białych mężczyzn. Szczyt rasizmu. Może pora zacząć się bać o rodzinę królewską. Toż tam same „białasy” i wygląda na to, że w dużej części heterycy. Jeszcze chwila i ktoś ich zwolni.

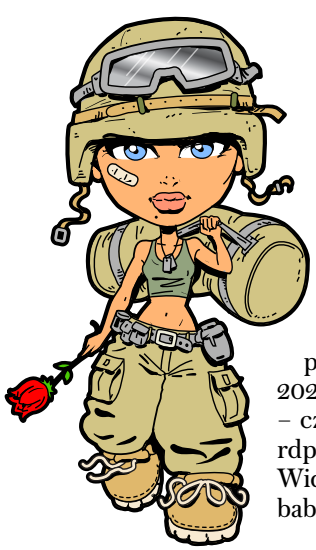
eprasa.pl c32ec8e9ed

Bez wyobraźni

Przenieśmy się teraz do Michigan, gdzie walka z płciowymi zabobonami też trwa w najlepsze. Centrum Zasobów Kobiecych, które działa przy Uniwersytecie Michigan, postanowiło zdjąć z afisza feministyczną sztukę „Monologi waginy". Dlaczego? Okazało się, że sztuka jest za mało postępowa i ma wykluczający charakter. Tak uznali przebadani studenci, według których w spektaklu brakuje elementów odnoszących się do kobiet trans, czyli np. takich, które mają penisy. Spektakl nie będzie już wystawiany. Nie może być nawet mowy o modyfikacji scenariusza. Wszystko z powodu propagowania i doceniania różnego rodzaju kobiecości. Nawet tej z fallusem. „Monologi waginy" to powstała prawie 20 lat temu sztuka feministycznej działaczki Eve Ensler. Najwyraźniej nowoczesność przerosła wyobraźnię feministek.



„Jak przegracie wybory w 2019 r., to będziecie wszyscy siedzieć tam, gdzie powinniście – krzyczała z mównicy sejmowej posłanka Scheuring-Wielgus. Ciekawe, gdzie będzie siedzieć wtedy pani poseł. Bo raczej nie w Sejmie.



Groźna jak baba

Belgia postanowiła stworzyć kobiece siły specjalne. „Jednostka sił specjalnych, składająca się wyłącznie z kobiecego personelu wojskowego, pojawi się w belgijskich siłach zbrojnych pod koniec 2019 r. lub na początku 2020 r., poinformowało radio RTBF" – czytamy na stronie marucha.wordpress.com. Kobieta komandos? Widać, że gdzie diabeł nie może, tam babę pośle.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

FIFA popiera kolonializm



Dominik Zdort

11 listopada 2018 r. ćwierć miliona rasistów przeszło przez Warszawę. Ogarnięci wzmożeniem – jedni patriotycznym, inni antyfaszystowskim – nie zauważyliśmy nawet, że w przeddzień tego marszu z rasizmem uporało się Los Angeles.

Najnowocześniejsze (po Nowym Jorku) miasto USA usunęło pomnik niejakiego Krzysztofa Kolumba. Hilda Solis (była sekretarz pracy w administracji Baracka Obamy, dziś prominentna postać w hrabstwie LA) stwierdziła, że pomnik odkrywcy Ameryki „przypominał obywatelom o negatywnych czasach kolonializmu, gdy ekspansywne europejskie mocarstwa do granic możliwości eksploatowały miejscowe zasoby naturalne oraz wykorzystywały rdzenną ludność Ameryki jako niewolników".

Szkoda, że inni nie walczą w równym stopniu z tym problemem. Na przykład FIFA i UEFA. Tak, wiem, zaangażowały się w walkę z rasizmem, ale moim zdaniem realnym problemem futbolu jest kolonializm. Zamiast wydumanego nieco „Let's Kick Racism Out of Football" powinno się pojawić hasło znacznie ważniejsze: „Kick Out Colonialism".

Tym, co najbardziej zaburza uczciwą rywalizację w piłce nożnej, jest bowiem spuścizna kolonializmu. Przyjrzyjmy się reprezentantom naszego niedawnego rywala w Lidze Narodów. W drużynie Portugalii od lat grają piłkarze urodzeni w dawnych koloniach tego kraju: w Brazylii, Angoli, Mozambiku, na Wyspach Zielonego Przylądka.

My, Polacy, takich szans nie mamy. I nie mówcie mi o Thiago Cionku – jego dziadkowie nie kolonizowali Kurytyby, tylko szukali tam pracy. A i sam Thiago podbój Europy rozpoczął od Portugalii, i gdyby miał więcej talentu, nie szukałby szczęścia w Polsce.

Nawet już nie warto wspominać o Francji, Hiszpanii czy Wielkiej Brytanii. Ich reprezentanci, urodzeni w dawnych „terytoriach zależnych", dają tym państwom przewagę nad konkurentami.

Tymczasem FIFA i UEFA walczą z rasizmem, a najwyraźniej kolonializm bardzo im się podoba. Nie słyszałem, żeby zamierzały w jakiś sposób ograniczyć skutki kolonialnej polityki państw europejskich.

Gdyby w końcu zechciały – podpowiadam łatwy sposób. Skoro federacja lekkiej atletyki mogła zamówić badania testosteronu, żeby stwierdzić, która z biegaczek jest kobietą, to FIFA może zamówić etniczne badania DNA. Są łatwo dostępne, kosztują niewiele (nie więcej niż 99 dol. od osoby) i wprost powiedzą, kto może być członkiem narodowej reprezentacji jakiegoś kraju, a kto jest tylko ofiarą okrutnego kolonializmu.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x3)

eprasa.pl c32ec8e9ed

RZECZY POSPOLITE

Wykładowca jest nagi



Tomasz Łysiak

Doskonale wiedzieli Rosjanie, czemu w trakcie zaborów Polakom należy zabrać uniwersytety. Buntowszczyki nie powinni bowiem w szkołach wyższych zdobywać nie tyle wiedzy, ile raczej erudycji budującej narodowego ducha, a przede wszystkim – kształcić elit mogących później stawiać opór wobec imperialnej polityki Moskali. Woleli, by Polacy kształcili się w szkołach wyższych rosyjskich – w Petersburgu, Dorpacie czy Charkowie i tam przenikali duchem uległości wobec cara i imperium.

Teraz z kolei kłopot mamy taki, że szkoły wyższe są w pełni polskie, lecz wykładające w nich środowisko uniwersyteckie w olbrzymiej mierze jest ideowo związane z europejską lewicą, a studentom wkłada do głów oprócz wiedzy także własny światopogląd. Otóż nawet na zajęciach z gleboznawstwa czy wykładzie na temat języka indoeuropejskiego można „mimochodem" wrzucić żarcik o traktowaniu uchodźców przez prawicę albo nawiązać do polskiego „reżimu", w jakim to obecnie mamy trwać.

Jakość i klasa, jaką zawsze charakteryzowały się akademickie elity, upadła, a smutne tego przykłady mnożą się w mediach społecznościowych, gdzie profesorowie znanych uczelni pozwalają sobie na komentarze i uwagi czynione w stylu, który urąga podstawowym normom wychowania, nie mówiąc już o zbiorze zasad etycznych obowiązujących naukowców i wykładowców.

Ale to jest już choroba całej Europy. Oto niech wezmą państwo pod uwagę przypadek dr Victorii Bateman ze słynnego Cambridge University, która specjalizuje się w ekonomii i historii. Otóż doktor od jakiegoś czasu upublicznia swoje wystąpienia w sprawie brexitu pod hasłem „Brexit pozostawi Wielką Brytanię nagą". By wzmocnić przekaz Bateman, członek (członkini czy może jeszcze inaczej?) Gonville and Caius College of Cambridge, publikuje filmy, na których jest całkiem naga. Mówi też o wolności kobiety i idącym za tym prawie do robienia z ciałem, co uważa za słuszne. Wrzuca więc do internetu swoje zdjęcia, na których jest goła jak ją Marks stworzył, na piersiach ma napis „Brexit leaves Britain naked". Gdy ktoś próbuje jej zwrócić uwagę, że to nie przydaje jej reputacji ani wiarygodności, odpowiada ostro: „Czy kobietę czyni wiarygodną to, że coś na siebie założy?". Lepiej stanu elit akademickich nic już chyba nie zilustruje.

„G...oportalik"



Piotr Cywiński

Jest moc. Istnieje od trzech lat, a jego odbiorcami jest ponoć 61,4 proc. Polaków w wieku 25–54 lata. Tak w każdym razie chwali się tajemnicza „spółka HGA sp. z o.o.", która skupia kilka plotkarskich portali i „serwis internetowy" Pikio.pl. Według CBOS to dziś „jedno z głównych mediów, z których użytkownicy internetu czerpią informacje". Sam Pikio podaje, że latem podwoił wynik z ub.r., bo uzyskał 64 mln odsłon. Czyli jest moc i krzywa rośnie.

„Mamy chwytne nagłówki i często wykorzystujemy je, by przekierować uwagę społeczeństwa na ważne kwestie" – powiedział „jeden z kierowników redakcji w rozmowie z Lelum.pl", czyli z samym sobą, ponieważ Lelum też należy do spółki HGA. „Mamy na koncie przesadzone nagłówki, z których nie jesteśmy dumni", może „czasem przesadzimy, ale wszystko idzie w dobrą stronę" – dodał redaktor naczelny Pikio Bogdan Makowski i zapewnił, że się stara.

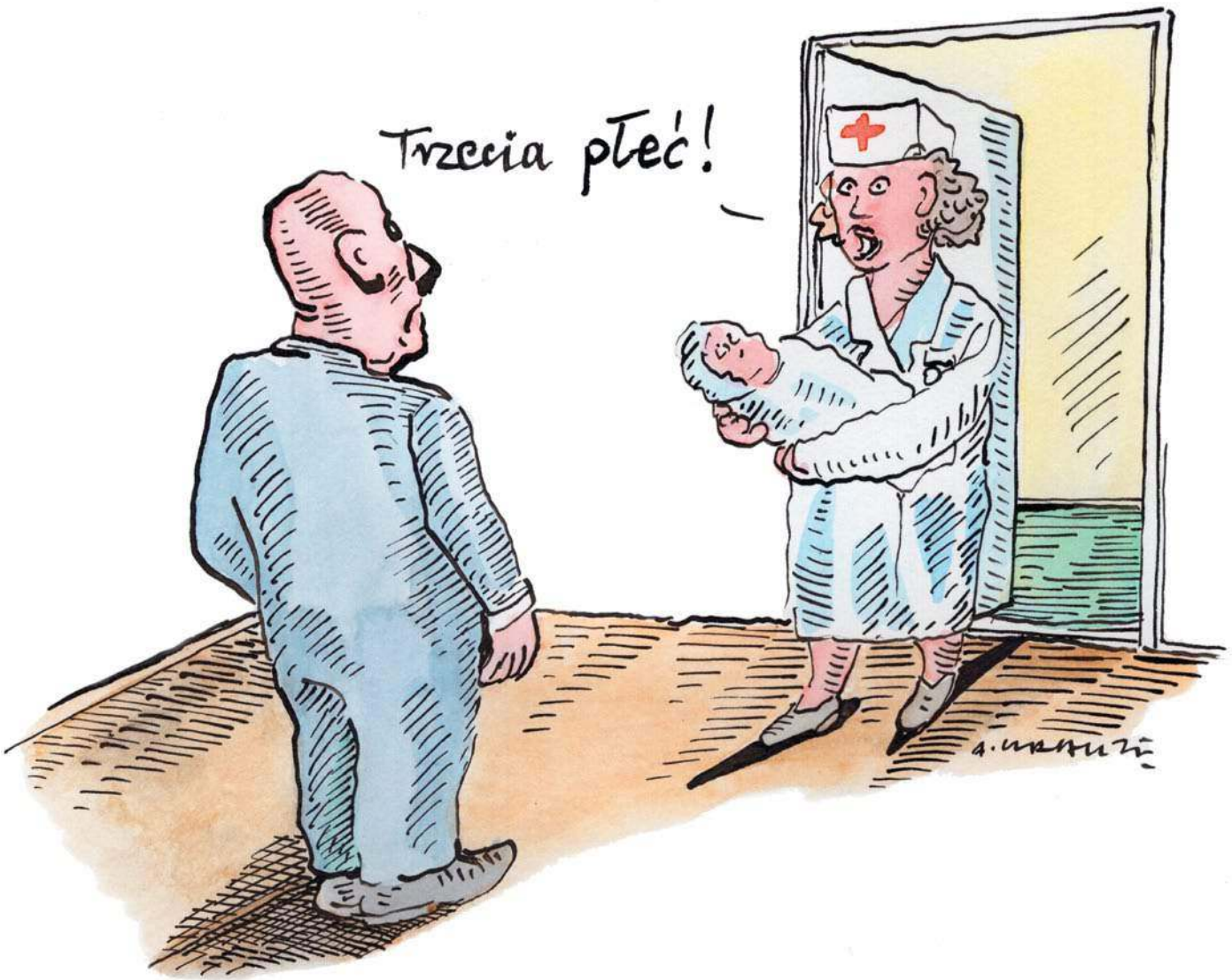
W nielicznym gronie tych, którzy zaufali portalowi, czym ten się chwali, jest „Agora SA". To zobaczmy, jak się stara w zakresie polityki, czytam tytuły, jak leci: „Ratowałbyś Kaczyńskiego, gdyby zasłabł? – Odpowiedź ministra rozwścieczy niejednego". To o wypowiedzi Arłukowicza w „Gabinecie cieni", który by ratował prezesa, bo „polityka polityką, ale jesteśmy ludźmi". Kolejny nagłówek: „Dzięki PiS syn ministra zarabia fortunę – kuriozalne tłumaczenie partii"; że „Przeciwnik Wassermann ujawnia! Tak zachowywała się posłanka w trakcie kampanii"; że „Politycy PiS są przerażeni. Błagają Kaczyńskiego o podjęcie radykalnego działania" – o aferze z KNF i Brudzińskim sugerującym przyspieszone wybory; że „Krystyna Pawłowicz wolałaby to ukryć. Wstydliwe fakty z życia posłanki"; że „Tego PiS nie chciało ujawniać. Do Europy brakuje nam aż 60 lat"; i że „Asystent Kaczyńskiego poszedł z tym do mediów! Chodzi o karmę dla kota prezesa". Tyle w zakresie polityki.

Czy było coś o którejś z innych partii? Było, słownie jeden tekst – „Nowa formacja spędza PiS sen z powiek" – o nieistniejącej jeszcze partii Biedronia...

W kwestii formalnej tytuł mojego felietonu dostosowałem do poziomu Pikio, a mianem „G...oportaliku" określił go jeden z internautów na stronie Wykop.pl, z linkiem do tytułu: „Potężny przekręt portalu Pikio.pl".

eprasa.pl c32ec8e9ed

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:

91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,

W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:

ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: DAREK GOLIK (X4), MACIEJ KULCZYŃSKI/EAST NEWS, PIOTR HUKAŁO/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c32ec8e9ed



Opleceni pajęczyną Czarneckiego

Od lewej: Rafał Momot, Joanna Gajewska, Artiom Bujan i Józef Łagowski

Fot. Darek Golik

„Zostaliśmy oszukani przez banki Leszka Czarneckiego. To był zinstytucjonalizowany przekręt" – mówią nam ludzie, którzy stracili oszczędności w wyniku działalności banków należących do jednego z najbogatszych Polaków. Wysłuchaliśmy ich przejmujących historii. Nie pozostawiają one wątpliwości, kto naprawdę jest ofiarą w historii o miliarderze z Wrocławia



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

„Prędzej państwo polskie upadnie niż firma Leszka Czarneckiego" – mówili swoim ofiarom sprzedawcy w bankach należących do miliardera. Mieli wypracowane wyrafinowane metody okłamywania klientów. W różnych placówkach, w różnych miastach używali takich samych kruczków, by uśpić czujność i wcisnąć ofertę, która w ostatecznym rozrachunku pozbawiała oszczędności. Posługiwali się takimi samymi zwrotami, w identyczny sposób powoływali się na autorytet Czarneckiego jako człowieka sukcesu, który miał być gwarantem bezpieczeństwa inwestycji. Mamili, że oferta jest skierowana wyłącznie do najważniejszych klientów, że jest na tyle ekskluzywna i pilna, iż trzeba się na nią natychmiast decydować. Nie było ani słowa o obarczonych ryzykiem obligacjach, za to dużo mówiono o „rozwiązaniu" „korzystniejszym i bezpieczniejszym niż lokata". Osobiści doradcy żerowali na budowanym latami zaufaniu, by ostatecznie naciągnąć na trefny towar i zgarnąć wyjątkowo wysoką prowizję. Wszystko wygląda na precyzyjnie zaplanowane oszustwo, do którego przeprowadzenia wyszkolono armię naciągaczy.

TYLKO DLA WYBRANYCH

Joanna Gajewska to sympatyczna, energiczna 55-latka. – Mam mamę chorą na alzheimera. Powinnam się teraz nią zajmować, ale jestem u państwa, bo chcę sprawę nagłośnić, by takie oszustwo więcej się nie wydarzyło. Mam też trójkę dzieci i chciałabym, aby one żyły w normalnym kraju, aby państwo odpowiednio zareagowało na ten przekręt. Wciąż na to czekam – mówi z żalem.

Pani Joanna ma sklep z warzywami. – Prowadzę go od 18 lat, ciułam każdy grosz, by mieć na emeryturę, bo wiadomo, jaka będzie ta tylko z ZUS. Nigdy nigdzie nie inwestowałam, w żadne obligacje. Nawet nie wiedziałam, że są jakieś obligacje poza tymi emitowanymi przez Skarb Państwa. Po prostu miałam trochę oszczędności. Po obejrzeniu telewizyjnej reklamy lokaty z oprocentowaniem 3 proc. poszłam do Idea Banku. Jednak pani, która mnie obsługiwała, o lokacie mówiła ledwie przez pięć minut. Natomiast przez godzinę namawiała mnie na inny produkt, korzystniejszy, bo z „gwarantowanym" zyskiem 5,5 proc. Byłam przekonana, że to oferta banku, że chodzi o jakąś inną lokatę, że nad wszystkim jest nadzór KNF. Dzięki temu miałam poczucie, że jest mi oferowane coś pewnego. Zostałam zalana potokiem słów – że to bezpieczniejsze niż zwykła lokata, że stoi za tym najbogatszy człowiek w Polsce, że prędzej nasze państwo zbankrutuje niż jego interesy. A jednocześnie miało być okazyjnie. Mówiła, że to „rozwiązanie" dla wybranych, tylko dla 149 osób, więc trzeba się szybko decydować. Do jutra.

Wyjaśnijmy: chodzi o prywatną emisję obligacji, z której to metody skorzystała spółka GetBack (tak naprawdę przeprowadziła tzw. pełzającą emisję – wypuszczając w krótkim czasie wiele serii prywatnych obligacji). Prawo przewiduje, że taka oferta może być skierowana do grupy poniżej 150 inwestorów. Nie można więc jej reklamować w mediach. Inwestujący musi się liczyć z większym ryzykiem niż przy sprzedaży publicznej, bo w tym przypadku nie ma właściwie żadnego nadzorcy. Emitent nie musi nikogo pytać o zgodę ani zatwierdzać w KNF prospektu emisyjnego.

– Miałam pewne wątpliwości, bo chodziło o zamrożenie pieniędzy aż na dwa lata, jednak przekonały mnie nieco wyższe oprocentowanie i zapewnienia o bezpieczeństwie tej inwestycji. Następnego dnia rano zadzwoniłam do pani Agnieszki z banku i powiedziałam: „Jednak się zdecydowałam". W odpowiedzi usłyszałam tylko: „To dobrze". Nasza rozmowa szybko się zakończyła. Dostałam e-mail z numerem konta (w Idea Banku), na które przelałam 1/3 swoich oszczędności. Nie wiedziałam, że właśnie wtedy stałam się posiadaczką obligacji GetBacku. Niczego nawet nie podpisałam!

Zawarcie takiej transakcji bez podpisania umowy to kuriozum w relacjach bank–klient. Do tego wątku jeszcze wrócimy.

LEGENDA CZARNECKIEGO

Jak to możliwe, że w ten sam sposób udało się naciągnąć aż kilka tysięcy osób? Powtórzmy: do perfekcji wytrenowano system łowienia klientów. Jego podstawą było powoływanie się na wielkość miliardera z Wrocławia i ukrywanie, że chodzi o sprzedaż obligacji GetBacku. W e-mailu pracownika Idea Banku do jednego z klientów z 23 czerwca 2017 r. czytamy: „Szanowni Państwo, chciałem poinformować, że w najbliższy poniedziałek 26.06.2017 r. ruszamy z zapisami na rozwiązanie z gwarantowaną stopą zwrotu w wysokości 6% w skali roku". Słowem kluczem jest tu „rozwiązanie", pod którym kryją się obligacje w emisji niekontrolowanej przez KNF. Dalej w e-mailu wymienione są „Podstawowe

eprasa.pl c32ec8e9ed

parametry oferty": „Rozwiązanie 2-letnie. Oprocentowanie stałe 6% w skali roku. Wypłata zysków co kwartał lub co miesiąc. Przyjmujemy zapisy od 100 000 zł. Możliwość zerwania depozytów w Idea Bank/Lion's Bank bez utraty odsetek". W ostatnim punkcie chodzi o to, że bank proponował wypłatę odsetek nawet z zerwanej lokaty, z której środki przechodziły na nowe „rozwiązanie". Sugerowało to, że klient ma do czynienia z operacją wewnątrz jednej instytucji. O spółce GetBack ani słowa. Na koniec bankowiec zapewnia: „Szczerze polecam wszystkim klientom, którzy cenią sobie bezpieczeństwo i gwarantowane stopy zwrotu, takie okazje rynkowe trafiają się niezwykle rzadko".

Ofiarą tego typu sztuczek padł też Rafał Momot prowadzący działalność gospodarczą. Od niego również słyszymy o tych samych argumentach bankowców („prędzej państwo polskie upadnie niż banki Czarneckiego"), o takiej samej presji czasowej i o takim samym unikaniu powiedzenia wprost, co w rzeczywistości jest sprzedawane.

– Do Idea Banku trafiłem w 2015 r. Mieli ciekawą ofertę: każdemu przedsiębiorcy, który przez rok płacił za pośrednictwem ich konta składki ZUS i wystawił co najmniej jedną fakturę, po 12 miesiącach dawali 900 zł. I rzeczywiście dostałem te 900 zł. Zastanawiałem się wtedy, czy będę dla nich tak zyskownym klientem, by te dziewięć stów kiedyś odzyskali. Okazało się, że dali radę. I to z niezłą nawiązką... – kręci głową pan Rafał.

Później nasz rozmówca założył też w Idea Banku lokatę, na nieco lepszych warunkach niż rynkowe, z oprocentowaniem rzędu 2,5–3 proc. Gdy lokata mu się kończyła, kontaktowała się z nim pani z banku, przedstawiając jakiś nowy produkt. – Zawsze dzwoniła. Ja zawsze odpowiadałem, że produktami o jakiejkolwiek stopie ryzyka, bez gwarancji mojego kapitału, nie jestem zainteresowany. Nauczyłem się tego po kryzysie z 2007 r. Wiedziałem też, że – jak mawia Warren Buffett – należy inwestować tylko w te produkty, które się rozumie. Mówiłem więc: „Pani Joanno, traci pani czas swój i mój. Nigdy nie będę chciał żadnej »lokaty strukturyzowanej« ani niczego podobnego". Ona często używała argumentu, że przecież to Idea Bank, pan Leszek Czarnecki, „niech pan zobaczy, legendarny bankowiec" itd. Ale nie udawało się jej.

Przed rokiem, na początku października, pani Joanna zadzwoniła jak zwykle. – Usłyszałem, że ma inny produkt, bezpieczniejszy niż te pod opieką Bankowego Funduszu Gwarancyjnego. Zapaliła mi się czerwona lampka, co ona wyczuła i roztoczyła szeroką wizję: że to produkt bankowy, powiązany z firmą GetBack, która świetnie sobie radzi na giełdzie, że to wspólny projekt GetBacku i Idea Banku. I żeby się szybko decydować, bo to oferta tylko na dziś. Wydaje mi się, że mieli jakieś algorytmy określające skłonność klientów do ryzyka, bo znam przypadki mamienia zyskiem na poziomie 8–12 proc., a ja dostałem „tylko" 5,5 proc. Powiedziałem jej, że nie mam czasu się nad tym nawet zastanowić, bo akurat siedziałem wówczas nad dużym projektem w mojej pracy, na co usłyszałem, że oddzwoni jutro. Zdziwiłem się: „Przecież mówiła pani, że oferta jest tylko na dziś". Odparła: „Ale może uda się jeszcze jutro".

> „Zostałam zalana potokiem słów – że to bezpieczniejsze niż zwykła lokata, że stoi za tym najbogatszy człowiek w Polsce, że prędzej nasze państwo zbankrutuje niż jego interesy"

Gdy następnego dnia pan Rafał zdecydował się zainwestować, otrzymał e-mail od „pośrednika" Idea Banku (chodzi o Polski Dom Maklerski). – Podano mi numer konta, też w Idea Banku, co sprawiło, że straciłem czujność. Sam sobie wytłumaczyłem, że zapewne chodzi o różne podmioty w ramach jednej grupy, skoro PDM miał moje dane. Później, jak inni, dowiedziałem się, że bez naszej zgody udostępniono dane osobowe zupełnie obcemu podmiotowi. Wszedłem w to w październiku 2017 r., w styczniu dostałem pierwszą transzę odsetkową.

– Ja zainwestowałam 100 tys. Raz dostałam odsetki – 375 zł. Do dziś te pieniądze leżą nieruszone – wtrąca pani Joanna.

Przypadek pana Rafała, człowieka wyjątkowo uważnego i ostrożnego, pokazuje, jak perfidnej manipulacji dopuścili się bankierzy. Nie jest prawdą, jak niekiedy mędrkują autorytety ekonomiczne III RP, że na oszukańcze oferty kuszą się tylko ludzie chciwi i bez podstawowej wiedzy ekonomicznej. Tu nie mamy do czynienia z obietnicami nieprawdopodobnie wysokich zysków (ledwie 2–3 proc. więcej, niż wynoszą typowe oferty na rynku). A wśród poszkodowanych znajdują się osoby dobrze wykształcone, przedstawiciele różnych grup zawodowych. Nasi rozmówcy wymieniają na podstawie wewnętrznych ankiet stowarzyszenia: inżynier IT, księgowa, PR-owiec, lektor języka angielskiego, lekarz, pracownik administracji rządowej, były syndyk, polonistka, doradca podatkowy, marynarz, a nawet kilku prawników. Spora część z nich to emeryci.

ZNIKAJĄCY KONSULTANT

Nie ulega wątpliwości, że kluczową rolę w tym procederze odgrywali doradcy z banków. To na nich spoczywał obowiązek zbałamucenia ofiar. Niekiedy wykorzystywali do tego zaufanie zdobyte przez lata współpracy z klientem. Tak było w przypadku Józefa Łagowskiego, informatyka, który od 2014 r. trzymał oszczędności w Lion's Banku (czyli marce będącej częścią Idea Banku). – Nie zdziwiło mnie zatem, gdy doradca nagle obiecał mi, że za drobną stratę przy zerwaniu lokaty da mi jakąś rekompensatę, a jednocześnie umożliwi zainwestowanie w nowy produkt. Ufałem temu gościowi, nigdy wcześniej mnie nie oszukał, a przez tych kilka lat nawet się jakoś zżyliśmy. Wielokrotnie się widzieliśmy, wymieniłem z nim kilkaset e-maili. Gdy tylko coś mnie nurtowało, mogłem się odezwać. Byłem przekonany, że nie właduje mnie na minę – opo-

eprasa.pl c32ec8e9ed



Fot. Łukasz Kalinowski/East News

Leszek Czarnecki i jego pełnomocnik prawny Roman Giertych

wiada pan Józef. Pokazuje nam e-mail od doradcy. Jest w nim mowa o ofercie w ramach „leczenia rentowności portfela". „Dziś i jutro spodziewamy się małej emisji prywatnej obligacji GetBack SA – tylko dla naszych Klientów. Nie jest to fundusz, po prostu czysty papier wartościowy z rynku pierwotnego. Rocznie 6,00% 24M [24 miesiące – przyp. red.], wypłaty kuponu co miesiąc. Na lokacie takich warunków nie znajdziemy nawet przy dużej dokładce z mojej strony, a papier jest dobrej jakości i jak na obligację stosunkowo niedługi".

Następnego dnia pan Józef pojawił się w krakowskim oddziale Lion's Banku. – Chciałem osobiście się dowiedzieć, na ile jest to ryzykowny instrument. Nie mam czasu na grę na giełdzie, codzienne doglądanie kontraktów etc. Pytałem o gwarancje. Usłyszałem, że to jest „lepsze niż lokata", że „nasz bank gwarantuje ten produkt". Doradca deprecjonował Bankowy Fundusz Gwarancyjny, mówił, że nie posiada on tak dużych środków jak GetBack czy Idea Bank. Powtarzał: „nie ma tu żadnego ryzyka", „niemożliwe jest, by to padło", „widział pan, by tak duży bank upadł?".

– Dziś już wiem, że był zorganizowany sposób selekcji klientów – ze względu na posiadane środki na rachunkach. Później się okazało, że dokumenty, które dla mnie przygotowano, zostały antydatowane na dwa dni przed kontaktem pracownika Idea Banku w sprawie nowego produktu. Oznacza to, że przygotowywali wcześniej te oferty na podstawie stanu konta i typowali: „O, tego gościa zrobimy na 100 tys., przygotujcie mu ofertę, spróbujemy mu ją wrzucić jako lokatę. Albo się uda, albo nie i spróbujemy z kimś innym".

Kolejny nasz rozmówca – prosi o zachowanie anonimowości – dopiero po kilku miesiącach zdał sobie sprawę, że wpakował się w niebezpieczną inwestycję. – W marcu 2018 r. próbowałem się skontaktować z moim doradcą. Nie odbierał telefonu, nie odpowiadał na e-maile. Przy kolejnej próbie dostałem automatyczną odpowiedź, że taki adres nie istnieje. W końcu znalazłem go na Facebooku. Podał mi prywatny adres e-mailowy.

Pokazuje nam korespondencję z byłym pracownikiem Lion's Banku. Czytamy w niej m.in. (pisownia oryginalna): „Nie ukrywam, że patrząc na to co się dzieje z Idea Bankiem oraz praktycznie każdym produktem jaki pozostawał w ofercie (niezależnie od tego jak dobrze był opakowany) jest mi po ludzku i zawodowo wstyd, chociaż też jestem tak naprawdę ofiarą tej sytuacji, ponieważ bez złych intencji zrobiłem części swoich Klientów – w tym niestety też Panu – krzywdę materialną. Manipulacja informacją – tak najdelikatniej ujmę jakość przekazu jaką otrzymywaliśmy od osób zarządzających sprzedażą. Ubolewam, i jest to niezmiernie gorzka lekcja, że można to zobaczyć dopiero jak się ze struktur bankowych odchodzi i spojrzy na to z dystansu. Za wszystko niestety płacą Klienci oraz pośrednio osoby jak ja, czy moi inni koledzy z banku, które »dają twarz« na to, co się dzieje".

To potężne oskarżenie pod adresem osób decyzyjnych w banku, nieco łagodzące obraz doradców, którzy bezpośrednio wciskali toksyczne produkty nieświadomym niczego ludziom.

Inny mężczyzna (również nie życzy sobie podawania nazwiska) wspomina, że o odejściu z banku swojej doradczyni dowiedział się od jej następcy. – W lutym zadzwonił pan Kamil z informacją, że ma wyjątkowy produkt dla wyjątkowego klienta. Ja już nie miałem czego inwestować, ale skusił się mój tata. Wtedy skontaktowałem się z moją byłą konsultantką. Gdy powiedziałem, że tata kupił obligacje od jej następcy, wykrzyknęła: „Co pan zrobił?!". Zaczęła sugerować, że GetBack przypomina piramidę finansową, że roluje długi kolejnymi emisjami papierów. Uznałem, że to jej gra, by zdyskredytować swojego byłego pracodawcę. Po wybuchu afery zadzwoniłem do niej jeszcze raz i zacząłem podpuszczać, że zrobimy z tego sprawę karną, że może mieć kłopoty. Zaczęła mówić. Wyjawiła mi, że w jej placówce już od grudnia 2017 r. wiedzieli, że GetBack to trup. Dlatego odeszła, podobnie jak kilkanaście innych osób z tego oddziału, które nie chciały dłużej sprzedawać tych toksycznych produktów. Mieli mówić szefom, by dali do sprzedaży coś innego, ale ci powtarzali: „Nie, tylko GetBack!".

eprasa.pl c32ec8e9ed



24 lipca 2018 r., Warszawa. Protest oszukanych obligatariuszy GetBacku przed siedzibą banków należących do Leszka Czarneckiego

Fot. M. Czutko

Nasi rozmówcy zwracają uwagę, że skrucha doradców jest spóźniona. Wcześniej chętnie korzystali z zysków, jakie czerpali, wciskając trefny towar. Pan Rafał: – Z Facebooka mojej pani Joanny wynika, że w listopadzie ubiegłego roku była na wczasach w Kolumbii. Miesiąc wcześniej sprzedała mi obligacje. Prowizja, jaką za mnie dostała, zapewne wystarczyła na tę wycieczkę.

Według poszkodowanych sprzedawcy otrzymywali 10 proc. od zainwestowanych środków klientów. Przy innych produktach było to kilka, a nawet kilkadziesiąt razy mniej. Nie dziwi więc, że wielu nie opierało się pokusie. Pani Joanna nie jest jednak zła na swoją konsultantkę: – Jest zwykłym, małym człowieczkiem, który naciągał innych. Miała bardzo wysoki procent, więc jestem w stanie jakoś zrozumieć jej zachłanność. Ale całym mózgiem tej operacji był pan Czarnecki. To on tak naprawdę ponosi odpowiedzialność za to, że te osoby nas oszukiwały. To on zorganizował system pokus dla sprzedawców.

Pan Józef opowiada o jeszcze jednym szokującym wątku: – Tuż po wybuchu afery pojawili się ludzie, którzy chcieli nam pomagać, odkupić obligacje. Namierzyłem jednego z nich, który był pracownikiem (wciąż!) Idea Banku, choć do tego oczywiście się nie przyznał. Na naszej grupie zamieścił post, w którym pisał, jak to jest mu przykro i jaką ma dla nas fajną ofertę, po którą należy uderzyć do niego prywatnie. Proponował odkupienie tych obligacji, ale trzeba było wyłożyć trzy-, czterokrotność kwoty zainwestowanej w GetBack! Podejrzewamy, że mógł to być kolejny zorganizowany sposób na to, by jeszcze raz wyciągnąć od nas kasę, poprzez ludzi z Idea Banku. Niczym sęp na padlinie – nie śmierdzi, to skubnę sobie jeszcze trochę.

W trakcie naszej rozmowy pani Joanna z niedowierzaniem zerka na telefon. Właśnie dostała e-mail z reklamą. To niby nic dziwnego, bo codziennie jesteśmy zasypywani tego rodzaju spamem. Teraz jednak pojawia się ogłoszenie idealnie trafiające w moment. Idea Bank zachwala swój nowy produkt: Lokata Beztroska. Tej klientki raczej już nie złowią...

PROPOZYCJA W KAPSULE

Artiom Bujan ma 33 lata, jest menedżerem w firmie, to on założył Stowarzyszenie Poszkodowanych Obligatariuszy GetBack i został jego prezesem. Jest też pełnomocnikiem matki, która została naciągnięta na obligacje. – To był przypadek jak wiele innych. Mama miała rachunek i lokatę w Idea Banku, namówili ją na przełożenie pieniędzy w coś pewniejszego – opowiada mężczyzna. Podkreśla swoiste otaczanie, swoiste otaczanie klienta i prowadzenie wyrafinowanej gry, w której ważne są najdrobniejsze detale. To kolejna osoba, która zwraca nam uwagę, w jak eleganckie pokoje były wyposażone oddziały Lion's Banku. To tam, w wygodnych fotelach, w szczelnie zamkniętym pomieszczeniu opisanym jako pokój

eprasa.pl c32ec8e9ed

dla specjalnych klientów, składana była „niezwykle atrakcyjna i ekskluzywna oferta".

– Wprowadzili nas do takiej kapsuły... – opowiada Bujan. Na to wtrąca się Rafał Momot: – Nazywamy to teraz kapsułami do wytrząsania pieniędzy. Józef Łagowski: – Składanie oferty odbywało się w takich boksach, zagonach...

Do „kapsuły" zapraszano klientów indywidualnie, czasem całe rodziny. Dwóch przedstawicieli banku roztaczało wizję zarobku. – Ani razu nie padło słowo „obligacja". Używali gry słów, manipulacji w stylu „jest rozwiązanie". Nikt nie pokazał żadnej umowy, niczego nie podpisaliśmy. Podali do podpisu sporządzony przez siebie druczek przelewu z numerem konta, przelaliśmy pieniądze – słyszymy od pana Artioma. Był 15 marca 2017 r. Półtora miesiąca później przyszła korespondencja pocztą, co zaskakujące, nie z Lion's Banku tylko z GetBack S.A. To pierwsze zdziwienie. Kolejnym było to, że w liście złożono podziękowania za zaufanie i gratulacje z okazji udanego zakupu... obligacji GetBacku. Wtedy nasz rozmówca i jego mama chcieli się wycofać. Nie dało się, ale wciąż słyszeli, żeby nie panikować, że to inwestycja... pewna jak w banku.

– Niedługo po wybuchu afery skierowaliśmy także zawiadomienie do prokuratury w sprawie podejrzenia fałszerstwa przez bankiera formularza nabycia obligacji – mówi Bujan. Chodzi o elektroniczne formularze nabycia obligacji z wpisanym ryzykiem utraty części lub całości ulokowanych środków, których klienci nie widzieli na oczy, a które wypełniali bankierzy bez wiedzy, zgody oraz uprzednio udzielonego upoważnienia ze strony klienta banku. Wynika z nich, że każdy godził się na ryzyko poniesienia straty. – Ale to nieprawda. Mama nigdy nie wyrażała zgody, nie udzielała jakiegokolwiek upoważnienia ani pełnomocnictwa na dokonanie na nią zapisu obligacji – twierdzi mężczyzna. Formularze jednak są i powstały na komputerach należących do Idea Banku. Świadczą o tym adresy IP i na tym – jak dodaje pani Joanna – klienci opierali reklamacje. – Napisałam do Idea Banku, że na nic się nie zgadzałam, a komputer, na którym wypełniono formularz, należy do nich. Reklamację odrzucili, usłyszałam, że to o niczym nie świadczy, bo formularz mógł być wypełniany przeze mnie na komputerze w ich oddziale – załamuje z bezsilności ręce Gajewska. Taka samą historię przeżył prawie każdy z naszych rozmówców. Na nic się nie zgadzali, niczego nie wypełniali, niczego nie podpisali. Też usłyszeli, że formularz musiał powstać w banku w ich obecności.

– U mnie sprawa jest jeszcze bardziej absurdalna. Usłyszałem, że formularz nabycia obligacji mojej mamy wypełnił pracownik Idea Banku, bo wyraziła na to ustną zgodę. Słyszeliście kiedyś o ustnej umowie w banku? Choćby dotyczyła jakiegokolwiek najmniejszego szczegółu? – dziwi się Artiom Bujan.

> „To, co nas spotkało, podkopuje zaufanie do całego sektora finansowego. Przecież nie zostaliśmy oszukani przez żaden parabank, tylko przez bank!"

PODOBNE HISTORIE

Są zdeterminowani, by odzyskać utracone rodzinne pieniądze. Stąd pomysł stowarzyszenia. Wymieniając się doświadczeniami, sami określili profil poszkodowanego. To zazwyczaj kobieta w wieku ponad 50 lat. Najstarsza ofiara ma 92 lata. Z anonimowej ankiety, którą przeprowadzili wśród zapisanych na profil, wynika także, że obligacje GetBacku sprzedawało wiele instytucji, ale prawie 90 proc. z nich stanowią firmy należące do Leszka Czarneckiego.

Grupa jest naprawdę dobrze zorganizowana, członkowie utrzymują z sobą kontakt, wymieniają się najświeższymi informacjami, ale także wspominają, jak zostali wkręceni. Relacje na wewnętrznym forum są szokująco spójne, praktycznie wszyscy byli nakłaniani do zakupu według jednego schematu. Trudno się oprzeć przypuszczeniu, że ktoś doradców do tego szkolił. Nie mówimy o kilku czy kilkunastu przypadkach, ale o stałym schemacie powtarzającym się za każdym razem. „Zaproponował mi bezpieczne obligacje z możliwością zerwania lokat bez utraty odsetek". Argument dodatkowy – „doradca też kupił". „Zadzwonił M.K. z Lion's Bank (miał pełny wgląd w moje środki) i polecił mi zerwać wszystkie lokaty, które miałem w Idea Bank, i kupić obligacje. Przekonywał, że jest to stuprocentowo pewna inwestycja". „Doradca klienta skontaktował się ze mną telefonicznie z propozycją zerwania lokaty bankowej – rocznej w Idea Bank z zachowaniem odsetek z lokaty oraz przeniesienie środków z lokaty na produkt tak samo bezpieczny jak bankowa lokata, czyli obligacje GetBack".

Zdarzali się oczywiście klienci, którzy chcieli się dowiedzieć czegoś więcej o proponowanym produkcie. „Na pytania o zabezpieczenia odpowiadał, że nie ma powodu do lęku". „Mówił, że nie zbankrutuję". „Intensywne nagabywanie telefoniczne. Informacja o bezpieczeństwie jak lokata, silnych akcjonariuszach". „Na moje pytanie: jak jest z ryzykiem?, odpowiedź: ale z jakim?". Za pewnością inwestycji miał przemawiać jeszcze jeden często używany argument: „dług zawsze będzie, a to jest właśnie przedmiotem działalności GetBacku".

W tych wypowiedziach powtarza się także to, że sprzedawcy budowali wizję ekskluzywnego produktu, który sprzeda się na pniu. Dlatego należy się szybko decydować. „Bezpieczna lokata, tylko dla nielicznych, 100% gwarancji, w razie potrzeby można odsprzedać, bo oferta jest ograniczona, a chętnych wielu". „Za każdym razem byłam zapewniana, że w razie rezygnacji mam tylko do nich zatelefonować, a oni zaoferują sprzedaż innemu klientowi. A mają chętnych na ich zakup od ręki".

Gdy ktoś naprawdę naciskał, bankowi konsultanci mocno lawirowali, a momentami wręcz kłamali. „Prawie tak samo bezpieczne jak lokaty, zwłaszcza że lokaty także nie są bezpieczne,

eprasa.pl c32ec8e9ed

ponieważ Bankowy Fundusz Gwarancyjny nie ma tyle pieniędzy, żeby zapewnić wypłatę wszystkim ewentualnym poszkodowanym". W innym przypadku mówiono potencjalnemu nabywcy, że zapewniona jest „ochrona KNF".

Czy pojawiła się jakaś refleksja, gdy wokół firmy zaczynało się robić gorąco? Ależ skąd! „Obie serie obligacji zakupiłem w marcu 2018 (15.03 i 29.03), czyli w momencie kiedy aktualna sytuacja spółki GetBack była doskonale znana zarówno zarządowi, jak i pracownikom Lion's Bank. Nie przeszkodziło to, aby przedstawić mi te papiery jako stabilną i bezpieczną formę ulokowania kapitału z ustalonym i stałym oprocentowaniem oraz regularnymi wypłatami odsetek. Pracownik Lion's Bank, świadomy aktualnej sytuacji spółki, wcisnął mi ten produkt bez żadnych skrupułów".

Czytamy także, że nie wszyscy zrobili dokładnie tak, jak im sugerowano: „Namawianie do kupna za 100 tys., na szczęście uległem tylko na 50 tys.". Ale są i historie, które wyjątkowo zasmucają: „Chciałem przetrzymać pieniądze na wkład w mieszkanie (podpisałem przedwstępne umowy) i dostałem informację, że to będzie idealna inwestycja, że w ciągu 2–3 dni będę mógł sprzedać obligacje, gdy będę potrzebował pieniędzy na wpłatę". Inwestycja niestety nie okazała się idealna... Inny przypadek. Samotna matka trójki dzieci, także zbierała na mieszkanie, też skusiła ją dobra oferta. Również straciła wszystko. Podobnie jak rodzice niepełnosprawnego dziecka. Po plajcie zupełnie się załamali, napisali tylko, że nie są w stanie w żaden sposób zaangażować się w pracę stowarzyszenia. Bardzo aktywnie działa za to córka człowieka, który na wieść o kłopotach GetBacku dostał udaru i zmarł.

OSZUKAŃCZA POLISA

Myli się ten, kto sądzi, że obligacje GetBacku były jedynym pomysłem firm Leszka Czarneckiego na wyciągnięcie pieniędzy od klientów. Spotykamy się z Jackiem Łęskim, dziennikarzem ekonomicznym TVP, prezesem stowarzyszenia „Przywiązani do polisy".

– Najbardziej drastyczna historia, jaką pamiętam, dotyczyła starszej pani, której syn zginął w Afganistanie. Dostała odszkodowanie od MON, ok. 70 tys. zł. Zaniosła więc te pieniądze do banku, żeby ich nie trzymać w domu, a pech chciał, że miała konto w Getin Banku – opowiada. – Chciała włożyć całość na lokatę, a dwóch młodych dżentelmenów przekonało ją, że lokata jest... słaba. Usłyszała, że na lokacie mogą jej dać 3–4 proc., a chcieliby dać więcej! Na szczęście mają taki produkt, z którego sami korzystają, dlatego mogą z czystym sumieniem polecić, na którym można zarobić więcej: polisolokatę! Czyli z dodatkowym ubezpieczeniem, dużo lepszą niż zwykła. Co za okazja! Będzie lepiej, dużo lepiej!

> „Zadzwonił M.K. z Lion's Bank i polecił mi zerwać wszystkie lokaty, które miałem w Idea Bank i kupić obligacje. Przekonywał, że jest to stuprocentowo pewna inwestycja" (pisownia oryg.)

Kobieta skusiła się na polisolokatę i przez rok spała spokojnie, a po roku... przyszło wezwanie do zapłaty składki na polisę. Poszła do banku wyjaśnić sprawę i dowiedziała się, że skoro ma polisę, to musi zapłacić składkę, bo przecież płaci się co rok. A ile? Co roku tyle samo, czyli... 70 tys. zł. Jak to? Przecież nie ma tyle. Raz miała rok temu. Mówiła, skąd ma, a teraz nie ma. – Pokiwali głowami i poradzili, żeby jednak dorzuciła gotówkę, bo jeśli nie, to wszystko przepadnie. Mogą jej co najwyżej pójść na rękę i te 70 tys. rozłożyć na 12 miesięcznych rat, co dla emerytki i tak było kosmiczną kwotą – słyszymy od Jacka Łęskiego. Niestety pieniądze przepadły... – Jakim trzeba być... człowiekiem, żeby ograbić kobietę z jedynych pieniędzy, które ma, a które dostała za śmierć syna? A to nie jest odosobniony numer – irytuje się dziennikarz.

Warto się zatrzymać na chwilę przy polisolokatach, bo szacuje się, że zdecydowało się na nie ok. 5 mln Polaków. Oczywiście kusiły zysk większy niż na lokacie bankowej i dodatkowe ubezpieczenie na życie lub na dożycie, co umożliwiało ominięcie tzw. podatku Belki. Oczywistą nieuczciwością sprzedawców było to, że mało kiedy ostrzegali klientów przed bardzo wysokimi opłatami likwidacyjnymi, co przy długoterminowych produktach ma zasadnicze znaczenie. Próba wycofania się z lokaty powodowała stratę większości pieniędzy. Nie bez znaczenia jest też to, że polisolokaty były objęte Ubezpieczeniowym Funduszem Gwarancyjnym, a nie Bankowym Funduszem Gwarancyjnym, co w razie upadku instytucji ubezpieczającej gwarantuje zwrot jedynie 50 proc. wpłaconych środków, a nie 100 proc.

Polisolokaty sprzedawało wiele instytucji, ale od ekspertów finansowych słyszymy, że banki Leszka Czarneckiego na tym rynku poczynały sobie wyjątkowo bezczelnie wobec klientów. Nieprzypadkowo pierwszą firmą, która za polisolokaty dostała od Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów 5 mln zł kary, był Getin Noble Bank. Chodziło o wprowadzenie klientów w błąd poprzez niedostateczne ostrzeganie o ryzyku finansowym. „Umowy o ubezpieczeniowe fundusze kapitałowe to umowy nietypowe, dlatego przy ich oferowaniu pracownicy banku powinni mieć większe obowiązki informacyjne" – stwierdziła po rozstrzygnięciu apelacji Agnieszka Majchrzak z biura prezesa UOKiK.

CZARNECKI SPRAWCĄ, A NIE OFIARĄ

W lipcu br. byliśmy przed warszawską siedzibą Getin Banku na pikiecie obligatariuszy. „Leszek C. – oddaj nasze pieniądze" – krzyczały transparenty, które znalazły się później na okładce „Sieci". Członkowie stowarzyszenia są konsekwentni i nie zamierzają odpuścić

49/1018/F

eprasa.pl c32ec8e9ed



POZNAJ JAKOŚĆ STACJI PALIW

LOTOS – TWÓJ PARTNER W PODRÓŻY

Dbamy o komfort Twojej podróży, nieustannie doskonaląc naszą ofertę. Zatrzymaj się na stacji LOTOS, napij się aromatycznej kawy i zjedz coś pysznego z oferty Cafe Punkt.
Troszczymy się o wszystkich pasażerów, dlatego na Twojego pupila czeka miska ze świeżą wodą.
Podróżujesz motocyklem? Mamy dla Ciebie liczne udogodnienia i rabaty na paliwo z kartą Navigator.

www.lotos.pl

LOTOS

Leszkowi Czarneckiemu. Zdają sobie sprawę, że to on jest kluczową postacią w tej historii. To on założył GetBack, dzięki któremu wyczyścił swoje banki ze „złych kredytów" (takich, których zapewne nie da się odzyskać), sprzedając je windykacyjnej spółce. Następnie na jej sprzedaży zarobił grube miliony. Później zaś jego banki najmocniej zaangażowały się w sprzedaż obligacji GetBacku.

Dlatego poszkodowani właśnie od banków chcą się domagać zwrotu pieniędzy. Jak mówią, aby pójść do sądu z jednym z najbogatszych Polaków, potrzebują jak najwięcej dowodów. A te znajdują się m.in. w raporcie Komisji Nadzoru Finansowego na temat Idea Banku. Dokument ten zbiera liczne przypadki oszukania klientów. Stały się one powodem wpisania 13 listopada Idea Banku na listę ostrzeżeń KNF. Stowarzyszenie domaga się ujawnienia raportu przynajmniej w takiej wersji (by nie naruszać tajemnic i nie szkodzić śledztwu), która pokaże, jak banki naciągały swoje ofiary.

Pomocy szukają, gdzie tylko się da. Pokaźną paczkę dokumentów z prośbą o interwencję wręczyli Jarosławowi Kaczyńskiemu. W odpowiedzi przeczytali, że „poseł wystąpił w tej sprawie do Ministra Sprawiedliwości – Prokuratora Generalnego RP". Przedstawiciele stowarzyszenia zgłosili się także do posłanki Małgorzaty Wassermann, która „po dokonaniu wnikliwej analizy sprawy [...] podjęła decyzję o interwencji poselskiej do Prokuratury Krajowej". W odpowiedzi na jej pismo Prokurator Krajowy Bogdan Święczkowski napisał, że trwają czynności, które mają na celu zabezpieczenie jak największej części majątku GetBacku, co pozwoliłoby oddać klientom pieniądze. Oszukani przywiązują się jednak do innego stwierdzenia: „Równolegle z toczącym się postępowaniem przygotowawczym analizowane są możliwości odzyskania przez pokrzywdzonych utraconych w wyniku nabycia obligacji GetBack środków finansowych, na drodze cywilnoprawnej". Mówiąc wprost: obligatariusze chcą iść do sądu nie tylko z firmą GetBack, lecz również z bankami Leszka Czarneckiego, których pracownicy wcisnęli im oszukańcze oferty. Chcą też, aby prokuratura przyłączyła się do ich spraw.

Żadnego skutku, jak do tej pory, nie przyniosły interwencje w Komisji Nadzoru Finansowego. Od kwietnia nikt w tej instytucji nie znajduje dla nich czasu. W kontakcie z poszkodowanymi są za to przedstawiciele kancelarii premiera. Kolejne spotkanie planowane jest na ten tydzień, obligatariusze chcą przedstawić szefowi rządu 10-punktowy program naprawczy, który jest zbudowany na podstawie ich doświadczeń, ale ma zabezpieczać interesy o wiele szerszej grupy klientów instytucji finansowych.

> „Nie ukrywam, że patrząc na to co się dzieje z Idea Bankiem oraz praktycznie każdym produktem jaki pozostawał w ofercie jest mi po ludzku i zawodowo wstyd" – napisał były pracownik Lion's Banku (pisownia oryg.)

Od dwóch tygodni Leszek Czarnecki prowadzi sprytną grę, która ma uczynić z niego ofiarę KNF, a szerzej – pisowskiego państwa. Nie sposób bronić Marka Chrzanowskiego, byłego szefa KNF, bo złamał on wszelkie reguły, jakie obowiązują szefa tej instytucji. Ale w tej historii warto pamiętać o kilku kwestiach. Nie tylko o tym, że teza o „korupcyjnej ofercie", jaką Chrzanowski miał złożyć Czarneckiemu, opiera się wyłącznie na słowach tego ostatniego. Nie tylko o ośmiomiesięcznej zwłoce biznesmena pomiędzy nagraniem urzędnika a skierowaniem sprawy do prokuratury. Nie tylko o przeszłości miliardera (zarówno tej peerelowskiej, gdy był tajnym współpracownikiem SB, jak i bliższej, gdy agresywnie pomnażał swój kapitał, bez względu na metody). Trzeba zwrócić uwagę na kolejność zdarzeń, bo ta jest ordynarnie odwracana.

Dlaczego 7 listopada Czarnecki złożył w prokuraturze doniesienie na Chrzanowskiego? Wcześniej dostał wspomniany wyżej raport KNF zawierający tak mocne zarzuty, że było jasne, iż nie uda się uniknąć wpisania na listę ostrzeżeń komisji. Tego samego 7 listopada wysłano odpowiedź do KNF, co istotne, nie kurierem, ale najwolniejszym z możliwych – listem poleconym. Chodziło o czas. Lecz dla kogo? Czyżby dla „Gazety Wyborczej", by zdążyła z publikacją, która całkowicie odwracając porządek, robi ofiarę z Czarneckiego?

Nasi rozmówcy bardzo się oburzają takim postawieniem sprawy. – To, co nas spotkało, podkopuje zaufanie do całego sektora finansowego. Przecież nie zostaliśmy oszukani przez żaden parabank, tylko przez bank, który działa na regulowanym rynku i przy gwarancjach państwa – denerwuje się Józef Łagowski. – Czyli co? Gdzie trzymać pieniądze, żeby były bezpieczne? W skarpecie? Jest w nas duża determinacja, by walczyć o nasze oszczędności. Czujemy się ofiarami banków pana Czarneckiego, jego ofiarami. A on sam jawi nam się jako drapieżny pająk w centrum tej pajęczyny, którą stworzył i w której pociąga za wszystkie sznurki.

Sprostowanie

W związku z materiałem pt. „Bezwzględna gra" oświadczamy, iż nieprawdą jest, że niektóre transakcje między Altusem a GetBackiem były kwestionowane przez KNF i nowy zarząd GetBacku.

Altus TFI S.A.

46/09/18/F

eprasa.pl c32ec8e9ed

KGHM
POLSKA MIEDŹ

Jesteśmy liderem w produkcji miedzi i srebra.
Umożliwiamy rozwój nowoczesnego świata.

KGHM Polska Miedź S.A. | ul. M.Skłodowskiej-Curie 48 | 59-301 Lubin | www.kghm.com



eprasa.pl c32ec8e9e



Zdjęcia Andrzej Skwarczyński

Stoję pośrodku

Nienawiść daje siłę, ale odbiera rozum. Widzę narastające zmęczenie konfrontacją

Z Moniką Jaruzelską rozmawia Piotr Skwieciński

Czy gdyby nie ustawa degradacyjna, zostałaby pani radną Warszawy? W podwójnym sensie – czy kandydowałaby pani i czy zostałaby pani wybrana?

Monika Jaruzelska: Przypomniałabym, że o tej ustawie zaczęto mówić w grudniu 2017 r., a już 31 marca pan prezydent ją zawetował. A więc ona dała mi silny impuls do kandydowania, ale nie zdecydowała o tym. Chciałabym jednak podkreślić, że wśród moich wyborców, a także tych, którzy na mnie nie głosowali, ale teraz w różnych okolicznościach deklarują wsparcie dla mnie, są nie tylko ludzie związani z PRL i tradycją WP z tego okresu i nie tylko ze środowiskami SLD. Coraz częściej spotykam takich, którzy mówią: „Zawsze byłem przeciw pani ojcu, ale panią szanuję i popieram". Są to osoby, którym nie podoba się agresywna retoryka rządzących, ale i totalnej opozycji.

I czym się tacy pani zwolennicy kierują?

Bardzo często zmęczeniem histeryczną atmosferą w polityce. Brakiem umiejętności lub chęci rozwiązywania konfliktów. Myślę, że odpowiada im mój spokój i próba pragmatycznego myślenia. Może też to, że nikogo nie obrażam.

Wyczuwa pani taki proces – zniechęcenia konfliktem?

Wydaje mi się, że coraz więcej ludzi stara się szukać czegoś umiarkowanego. W czasie Marszu Niepodległości byłam poza Warszawą. Oglądałam TVP Info, a jednocześnie w internecie różne portale z drugiej strony barykady. W pierwszym wypadku

eprasa.pl c32ec8e9ed

była to wyłącznie informacja pozytywna, o wielkim, radosnym marszu, bez żadnych incydentów, a w drugim – były właśnie prawie same incydenty. W pierwszym przekazie nie było żadnych flag ONR, w drugim – prawie same flagi ONR. Miałam wrażenie schizofrenii. I wydaje mi się, że tę schizofrenię widzi coraz więcej ludzi. Po obu stronach się zamykamy, nasze poglądy zamykają nas na myślenie tych, którzy uważają inaczej. Politycy mówią, że nie chcą dzielić, że chcą łączyć. To nie jest prawdą. Zyskują na konflikcie. Media też zresztą tym się żywią.

Donald Tusk w przeddzień święta narodowego mówił o konieczności walki ze „współczesnymi bolszewikami".

No właśnie. Potem tłumaczył, że nie chodziło mu wcale o PiS, tylko o prawdziwych bolszewików. Ale przecież prawdziwych bolszewików dziś nie mamy i to jasne, że robił aluzje do PiS. A kiedy mówił o tym, że Lech Wałęsa pokonał bolszewików, to mówił choćby o moim ojcu, ale też o tych wszystkich, którzy w czasie PRL nie byli w opozycji albo służyli w tym czasie w wojsku. To nie jest „język miłości", z jakim PO szła po władzę przed laty.

I pani chce zmienić tę konfrontacyjną rzeczywistość?

Staram się modyfikować moje spojrzenie, a nie być w każdej sprawie tylko po jednej albo po drugiej stronie. Z tą moją postawą związane są zagrożenia. Staram się nie zakleszczać w jedynie słusznej ideologii. Można mi np. przyczepić łatkę homofoba, tak zrobiły środowiska LBGT po mojej wypowiedzi w sprawie „tęczowego piątku".

Pani była przeciw.

Powiedziałabym, że byłam sceptyczna. Uważam, że organizacja takiej imprezy w szkołach może się obrócić przeciwko samej młodzieży, bo ktoś się zadeklaruje jako gej, potem atmosfera tęczowego święta minie, a ci, którzy dokonali coming outu, zostaną sami i mogą zacząć być prześladowani przez rówieśników.

To, co ja wiem o atmosferze w warszawskich szkołach, świadczy, że jest to fikcyjne zagrożenie.

Nie byłabym taka pewna. Przemoc szkolna w dobie cyfrowej przyjmuje perfidny charakter. Poza tym Warszawa to nie cała Polska.

Tak czy inaczej „tęczowym" środowiskom pani się nie spodobała.

Bo ja stoję pośrodku. Staram się uspokajać emocje. Nienawiść daje siłę, ale odbiera rozum. A ja chcę rozumieć np. wyborców PiS, choć nigdy na tę partię nie głosowałam i pewnie nie zagłosuję. Choć staram się też zrozumieć wyborców Tuska.

Są tacy, którym podoba się hejt wobec mnie ze strony środowisk LGBT albo feministycznych – gdy słyszą o moim szacunku dla tych, którzy mają poglądy antyaborcyjne. Ale też wielu moich znajomych gejów prywatnie mówi mi, że czują, iż działacze LGBT próbują narzucić im gejowską tożsamość jako coś, co powinno być dla nich tożsamością główną, a oni wcale tego tak nie czują. Człowiek to nie tylko jego orientacja seksualna.

Chciałabym powiedzieć coś jeszcze, coś ważnego. Oto wybuchły kontrowersje wokół wzoru nowych paszportów i dla lewicy skandalem jest wydrukowanie tam formuły „Bóg Honor Ojczyzna". A mnie, choć sama jestem niewierząca, to zupełnie nie razi, dla mnie to hasło historyczne. Czy mamy się wyrzec dziedzictwa przodków, np. „Bogurodzicy"? Wracając do paszportu, to dla mnie znacznie ważniejsze, żeby coraz więcej rodzin było stać z tych paszportów skorzystać, żeby mogły wyjechać na wakacje nad Morze Czerwone.

Leszek Miller powiedział kiedyś tak: „Moje pokolenie już tego nie dożyje, ale obawiam się, że ludzie młodsi ode mnie będą kiedyś musieli z bronią w ręku walczyć na ulicach europejskich, a być może i polskich miast w obronie naszej cywilizacji, przeciw islamistom". Czy pani też dostrzega takie zagrożenie?

Kwestia imigrantów nie powinna być sporem ideologicznym, tylko pragmatycznym. Trzeba pomagać potrzebującym, ale jednocześnie nie być ślepym i widzieć konsekwencje, jakie ponoszą choćby Niemcy za politykę otwartych granic Angeli Merkel.

Pani jest bardzo nietypowa, u niemal całej lewicy takie formuły powodują skręt kiszek.

Niekoniecznie. Wiele osób z lewicy myśli podobnie, ale są zakładnikami swojego środowiska politycznego. Religia w szkole też mnie nie razi, jeśli jest dobrowolna. Przecież dzieci przygotowują się do Pierwszej Komunii i wożenie ich na związane z tym zajęcia do kościołów byłoby dla rodziców potężnym problemem logistycznym. Więc jeśli rodzice sobie tego życzą, to nie miałabym nic przeciw religii nauczanej w szkołach, choć nie powinna ona być finansowana ze źródeł publicznych. Podobnie w drugą stronę – gdyby rodzice życzyli sobie zajęć np. z gender, to też nie miałabym nic przeciw, oczywiście jeśli byłyby one dobrowolne i nieodbywające się na koszt podatnika. Ani Kościół, ani środowiska LGBT nie są odpowiedzialne za nasze dzieci, tę odpowiedzialność ponosimy my, rodzice, i to my powinniśmy decydować.

Pani, jak rozumiem, nie ma nic przeciw zmianom kulturowym, ale nie chce pani politycznego ich ukierunkowywania i przyspieszania, narzucania czegokolwiek w tej dziedzinie przez państwo. To jest totalnie sprzeczne z nastawieniem współczesnej lewicy, dla której inżynieria społeczna jest ideowym kamieniem węgielnym.

Bo się zatraciliśmy w ideologii walki. Pogrążyliśmy się w rzeczywistości z „Dnia świra" – „moja racja jest mojsza". Za rok będą wybory. Może wygrać PiS, a może totalna opozycja. Ale wojna będzie trwała dalej. Brałam udział w spotkaniu Rady Warszawy z okazji rocznicy odzyskania niepodległości. Gdy głos miała zabrać Hanna Gronkiewicz-Waltz, radni PiS wyszli z sali. Nie wyobrażam sobie, jak będzie w tej atmosferze wyglądała nasza praca. A na Pradze jest luksusowe warszawskie Soho i są budynki mieszkalne, w których nie ma centralnego

eprasa.pl c32ec8e9ed

ogrzewania! I są zachorowania na gruźlicę! Trzeba by coś z tym zrobić, a to nie jest sprawą łatwą, skoro siedem lat temu warszawskie SPEC zostało sprzedane...

...przez Hannę Gronkiewicz-Waltz...

...pomimo sprzeciwu SLD. Sprzedane wielkiej korporacji francuskiej, która nie podciągnie ogrzewania tam, gdzie jej się to nie opłaca. A ja wolałabym np. nie odbudowywać Pałacu Saskiego, tylko wydać te pieniądze na doprowadzenie tam ogrzewania. I jeśli będziemy tylko z sobą walczyli, to na pewno nic z tym nie zrobimy.

Pani jest nietypowa nie tylko na tle polskiej lewicy. Również tej zachodniej, ona też ubóstwia inżynierię społeczną.

Po prostu jestem instynktownie przeciw narzucaniu czegoś komu innemu, natomiast za maksymalnym szukaniem z innymi punktów wspólnych. I szkoda, że po 11 listopada zostanie nam wspomnienie podziału. Tymczasem w latach 60., na 1000-lecie państwowości, tamta Polska potrafiła zrobić coś jednoczącego. Wybudować 1 tys. szkół. Na ówczesne standardy – nowoczesnych, z gabinetami lekarskim i dentystycznym, o których obecności w szkołach dziś już nikt nie pamięta. Obecnie widzę narastające zmęczenie konfrontacją. To proces powolny, ale postępuje.

Obawiam się, że Polacy raczej odnajdują się dziś w tej konfrontacji.

Jest po obu stronach elektorat, który lubi myślenie w kategoriach zemsty: „Będziemy was wsadzać!" itd. Ale to utwardza drugą stronę i tworzy samonapędzający się mechanizm. Mamy też w Polsce bez wątpienia trwały, już kilkusetletni konflikt, jak ja to nazywam, czerepów rubasznych z libertyńskimi peruczkami, swojskości z zachodniością. To się czasem zaostrza, a czasem jest mniej widoczne. I łączy z kwestią elit. Kiedy widzę gdzieś listę stu najbogatszych Polaków, a obok apel zrozpaczonych rodziców błagających o pieniądze na operację dziecka, to muszę powiedzieć, że nie jest to świat, o który nam chodziło. Elity III RP wybrały ideologię narcystycznego „Brawo ja!", odrzuciły poczucie wspólnoty, co ostatecznie udowodniły, szydząc z beneficjantów 500+. Gdyby zachowały się inaczej, gdyby utrzymały etos inteligencji służącej ludowi, a nie uznały się za lepsze, za z definicji zasługujące na lepszy los – to w 2015 r. nie byłoby aż takiego zapotrzebowania na przełom. Także społeczny.



Elity III RP wybrały ideologię narcystycznego „Brawo ja!", odrzuciły poczucie wspólnoty, co ostatecznie udowodniły, szydząc z beneficjantów 500+

Mówi pani o elitach III RP jak o czymś zupełnie wobec pani zewnętrznym. Tymczasem np. dla mnie już w latach 90. była pani niemal symbolem tych elit.

Ma pan rację, w pewnym sensie tak było. Przyznaję się do grzechu celebryctwa w czasach, gdy jeszcze zajmowałam się modą. Uległam wtedy narcystycznym pokusom. Mea culpa. Na szczęście już wiele lat temu zrozumiałam, że inne wartości są dla mnie ważniejsze.

Zdaje pani sobie sprawę, że wysyła prowokacyjne komunikaty pod adresem swojego własnego świata politycznego?

Zdaję sobie z tego sprawę. Ale mam swoje życie zawodowe i polityka nie jest moim całym życiem. Nie jestem na nią skazana. Poza tym odczuwam poparcie również ze strony części ludzi SLD. Wielu ludzi związanych z tą partią zniechęciła do Platformy pierwsza ustawa dezubekizacyjna...

...zmniejszająca emerytury ludzi służb specjalnych wypracowane przez nich przed rokiem 1989...

...uchwalona przez PO w 2009 r. Z kolei do SLD zraził ich sojusz z Palikotem. Nie podobało się im przesunięcie akcentu z, mówiąc hasłowo, czerwieni na tęczę. Ze spraw społecznych na kulturowe.

Nie odnosi pani wrażenia, że kiedy akurat pani występuje przeciw takim ustawom, jak dezubekizacyjna i degradacyjna, to jest pani przeciwskuteczna, bo wielu Polaków odbierze nazwisko Jaruzelska akurat w tym kontekście jako prowokację, jako występowanie we własnej sprawie?

Kiedy pojawił się temat ustawy degradacyjnej, apelowałam do pana prezydenta, żeby – jeśli tego koniecznie chce większość rządowa – zdegradować samego Jaruzelskiego, ale nie upokarzać wojska jako takiego. Bo dla mnie bardzo ważna jest ciągłość państwa, a to, co się działo i w jakiejś mierze dzieje, zagraża właśnie tej ciągłości. Proszę zauważyć, że zapis o „sprzeniewierzeniu się moralnym" jako przyczynie degradacji przez ministra (a dopiero po-

6/1018/F

eprasa.pl c32ec8e9ed

tem można by się odwołać do sądu) mógłby doskonale być wykorzystany – po ewentualnym zwycięstwie totalnej opozycji – do zemsty na oficerach uznanych za kolaborujących z PiS. Podobne obawy mają też policjanci, bo obecna władza stworzyła precedens, że można zabrać mundurowym ich prawa nabyte. Teraz oni się boją, że jeśli zwycięży opozycja, to np. pozabiera im emerytury z zemsty za konfrontowanie się z demonstracjami Obywateli RP.

Krótko mówiąc: odbioru pani nazwiska jako prowokacji pani się nie boi? Dźwiga pani bagaż dziedzictwa ojca. On nie przytłacza?

Stan wojenny był dla mnie wielką, ciężko okupioną lekcją. Miałam wtedy 18 lat, byłam rozdarta między ojcem i jego światem a opozycyjną młodzieżą. I wtedy nauczyłam się umiejętności słuchania człowieka i patrzenia na niego całościowo, a nie przez pryzmat jego poglądów. Zresztą wydaje mi się, że w jakimś sensie ta moja cecha jest swego rodzaju kontynuacją mojego ojca. Bo on przeszedł długą i dziwną drogę życiową – od domu o charakterze endeckim i katolickiej szkoły, w której nosił w klapie mieczyk Chrobrego, do komunizmu, a potem do III RP. I musiał zaabsorbować różne sposoby myślenia. Ja też taka jestem.

Czy podziały na zwolenników i przeciwników PRL są jeszcze aktualne? Od lat się mówi, że wygasają, a wcale nie wygasają. Kiedy wprowadzono ustawę dezubekizacyjną, naprawdę wielu ludzi się cieszyło.

To może częściowo zwykła zawiść o pieniądze, którą prawie każdy z nas w sobie nosi? Ale tak w ogóle to uważam, że ten podział jest dziś silniejszy, niż był w latach 90. Bo z jednej strony zaczęła pracować coraz większa nostalgia – za własną młodością, za czasami, w których nie było wyścigu szczurów, istniało zaś bezpieczeństwo socjalne. A z drugiej – antykomunistyczna polityka historyczna.

Ona nie zaczęła się dopiero wraz z rządem PiS?

Ona trwała już znacznie wcześniej. Poprzez sugestię i domniemania kreowano sytuację, w której niby nie było „gorszego sortu", tylko że tak naprawdę wszyscy rozumieli, że ci zaangażowani w PRL są tym gorszym sortem.

Leszek Miller proponuje, żeby za dwa lata startowała pani na prezydenta.

Jeszcze o tym nie myślę, to wieczór, a jest jeszcze poranek. Może Sejm? Powtórzę – nie czuję się politykiem. W tym sensie, że prawdziwy polityk powinien – inaczej niż dziś – być przede wszystkim działaczem społecznym, a nie aparatczykiem. Kiedyś na oddziałach onkologicznych będziemy leżeć obok siebie i doprawdy nie będzie miało znaczenia, jaki sztandar niosło się przez życie.

REKLAMA



Imigracja ryzyka

Doświadczenia Europy Zachodniej wskazują, że nawet początkowo nieznaczna i kontrolowana imigracja z krajów muzułmańskich może być ryzykowna. Jak się bowiem okazuje, większość przybyszy zostaje na stałe, tworzą oni przyczółki, dzięki którym przybywają kolejni. Resztę robią demografia oraz rynek pracy rozpaczliwie poszukujący taniej siły roboczej. Według najbardziej pesymistycznych szacunków za 50 lat Polskę może zamieszkiwać do 900 tys. muzułmanów



Fot. Shutterstock



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Spośród różnych fal imigracyjnych, które w ciągu ostatniego półwiecza docierały do Europy Zachodniej, najwięcej problemów sprawiły te z krajów muzułmańskich. Przyczyny są powszechnie znane: silna tożsamość religijna i związane z nią różnice kulturowe utrudniają lub uniemożliwiają imigrantom muzułmańskim asymilację w społeczeństwach europejskich. Wywołuje to z kolei wiele konfliktów na tle ekonomicznym i socjalnym, wzmocnionych dodatkowo relatywnie wysokim przyrostem demograficznym wśród ludności muzułmańskiej.

Krótko mówiąc, Europa Zachodnia zafundowała sobie tykającą bombę. Coraz silniejsza liczebnie mniejszość muzułmańska domaga się szerszego dostępu do życia publicznego, nie wykazując przy tym większych skłonności do respektowania norm i zwyczajów obowiązujących w Europie. W tej sytuacji każde ustępstwo na rzecz tej mniejszości musi w końcu prowadzić do stopniowej akceptacji islamu jako równoprawnej europejskiej kultury i systemu wartości. Brak ustępstw prowadzi z kolei do radykalizacji nastrojów i zaostrza istniejący konflikt. Wychodzi tu na jaw słabość współczesnych społeczeństw europejskich, które nie mają dziś żadnych instrumentów, aby skutecznie przeciwstawić się znacznie bardziej agresywnej kulturze muzułmańskiej.

PRZYBYSZE NA ULICACH

Czy Polsce, która dopiero od kilkunastu lat jest formalnie częścią wspólnoty europejskiej, grozi w przyszłości podobny scenariusz? To pytanie powtarza się coraz częściej od czasu kryzysu migracyjnego z lat 2014–2015, gdy pojawiło się realne niebezpieczeństwo przymusowej relokacji do Polski imigrantów muzułmańskich szturmujących wówczas Europę Zachodnią. I choć na razie nie ma

eprasa.pl c32ec8e9ed

mowy o żadnej relokacji, a sam kryzys został chwilowo opanowany, ryzyko jego ponownego wybuchu nadal jest wysokie.

Ostatnio wiele niepokoju wywołał widoczny wzrost liczby imigrantów na ulicach największych miast, zwłaszcza Warszawy. Pisałem o tym w tygodniku „Sieci" we wrześniu. Według danych Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej ma to związek z rosnącym napływem robotników z Azji, przede wszystkim z Nepalu, którzy coraz liczniej występują o pozwolenia na pracę w Polsce (skok z 596 w 2015 r. do niemal 10 tys. w pierwszym półroczu 2018 r.).

Rząd uspokaja, że mamy do czynienia z kontrolowaną imigracją zarobkową spowodowaną brakiem rąk do pracy w Polsce, zwłaszcza że imigracja z Ukrainy, choć ciągle wysoka, nie zaspokaja już potrzeb w najmniej płatnych segmentach rynku. Padają też zapewnienia, że Polska – nauczona doświadczeniem Europy Zachodniej – unika przyjmowania imigrantów z państw muzułmańskich (Nepal nie jest państwem muzułmańskim). Rzeczywiście dane to potwierdzają, co nie oznacza jednak, że imigrantów muzułmańskich w Polsce nie ma. Wprawdzie ich liczba ciągle jest relatywnie mała, ale i ona wykazuje pewną tendencję wzrostową, co pokazuje np. raport „Imigracja z krajów OIC [Organizacja Współpracy Islamskiej – przyp. red.] do Polski w latach 2013–2018" przygotowany przez związaną z portalem Euroislam.pl Fundację Instytut Spraw Europejskich.

KUSZĄCA POLSKA

W raporcie tym, którego autorem jest Jan Wójcik z Uniwersytetu Wrocławskiego, zostały zebrane dane Urzędu ds. Cudzoziemców dotyczące imigracji z krajów muzułmańskich do Polski z ostatnich pięciu lat. Z danych tych wynika, że w tym czasie liczba ta wzrosła prawie trzykrotnie, głównie za sprawą dynamicznie rosnącej liczby osób przebywających na pobycie czasowym. „W połowie roku 2018 liczba obcokrajowców z krajów muzułmańskich przebywających w Polsce legalnie wynosiła 20 910 osób, z tego prawie 75 proc. przebywało na zgodach na pobyt czasowy. Dynamiczny wzrost rozpoczął się w roku 2014 i nasilił się w latach następnych" – czytamy w raporcie.

„Imigracja z krajów OIC stanowi 8–9 proc. imigracji całkowitej do Polski. Większość imigrantów muzułmańskich przybywa tutaj w celach ekonomicznych, chociaż istnieją różnice pomiędzy poszczególnymi krajami. Wśród niektórych grup imigrantów istotniejszym powodem będą studia w Polsce (Arabia Saudyjska, Kazachstan), a inni ponadprzeciętnie będą występować o zezwolenia na pobyt z powodu związku z obywatelem RP (Afryka Północna i Nigeria)".

Jak zaznacza autor, wzrost liczby imigrantów z państw muzułmańskich nie wynika z poluzowania polityki imigracyjnej państwa, lecz jest skutkiem gwałtownie rosnącej liczby składanych wniosków. Dotyczy to zwłaszcza wnioskodawców z byłych republik sowieckich: z Azji Środkowej (Uzbekistan i Kazachstan) oraz z Azerbejdżanu (łącznie z tego regionu ponad 4 tys. wniosków), którzy – jak wynika z danych MRPiPS – przybywają do Polski głównie do pracy fizycznej, najczęściej w budownictwie.

„Największa dynamika wzrostu liczby wniosków składanych w ciągu ostatnich pięciu lat dotyczy regionu dawnych Indii Brytyjskich [Bangladesz, Pakistan – przyp. red.], gdzie liczba wniosków wzrosła pięciokrotnie, oraz regionu postsowieckiego – tu też mamy do czynienia z wzrostem prawie pięciokrotnym" – zauważa autor raportu.

Oznaczać to może, że wbrew obiegowym opiniom Polska nie jest już powszechnie uważana za mało atrakcyjny cel imigracji. Dotychczasowe niewielkie zainteresowanie naszym krajem ze strony imigrantów muzułmańskich mogło wynikać nie tyle z ich przekonania o niższym poziomie życia w Polsce, ile po prostu z braku jakiejkolwiek wiedzy o jej istnieniu. Potwierdzałyby to powyższe dane świadczące np. o minimalnym zainteresowaniu przyjazdem do Polski wśród licznie migrujących do Europy przybyszy z muzułmańskiej Afryki (jak Erytrea, Somalia). Za to tam, gdzie Polska jest rozpoznawana – np. w byłych republikach sowieckich – zainteresowanie imigracją okazuje się całkiem spore. Napływ z Bangladeszu czy Pakistanu można z kolei tłumaczyć działalnością bardzo aktywnych w tamtym regionie agencji pośrednictwa pracy, tych samych, które odpowiadają za sprowadzenie ostatnio do Polski tysięcy Nepalczyków.

Niewykluczone jednak, że wzrastające zainteresowanie naszym krajem wśród obywateli niektórych państw muzułmańskich może mieć również związek z traktowaniem Polski jako kraju tranzytowego przed dalszą imigracją do Europy Zachodniej.

NA RAZIE POD KONTROLĄ

Największą liczbę imigrantów z krajów muzułmańskich przebywających na pobycie czasowym w Polsce stanowią dziś Turcy (2 910 osób). Kolejni są Uzbecy (1 532), Pakistańczycy (1 219), Bengalczycy (978) oraz Irakijczycy (948).

„Szansa na uzyskanie zgody na pobyt czasowy nie jest taka sama dla obywateli każdego kraju. Podczas gdy Arabia Saudyjska ma średnio szansę uzyskać prawo pobytu czasowego dla ponad 80 proc. złożonych wniosków, dla Pakistanu jest to poziom średnio ok. 53 proc. Dla większości krajów współczynnik uzyskania pozytywnego rozpatrzenia wniosku plasuje się w przedziale 65–75 proc." – dowiadujemy się z raportu.

Przytoczone dane nie są alarmujące, zwłaszcza jeśli zestawi się te liczby z szacowaną liczbą 900 tys. Ukraińców przebywających na stałe w Polsce w 2017 r. Wskazują też, że polskie służby imigracyjne prowadzą dość świadomą politykę wobec przybyszy z państw muzułmańskich. Świadczyć o tym może stosunkowo niska liczba zezwoleń dla obywateli Pakistanu, który uchodzi za jedno z centrów radykalnego islamu. Przybysze z tego kraju przyjeżdżają do Polski głównie w celach zarobkowych (przede wszystkim handel i gastronomia) i można się domyślać, że nie zamierzają już wracać do swojego kraju.

Wyższa pozycja Arabii Saudyjskiej (ojczyzny wojowniczego wahabityzmu) związana jest prawdopodobnie z tym, że ponad połowa wnioskodawców (63 proc.) z tego kraju przybywa do nas na studia i – jak można sądzić – nie ma planów osiedlenia się na stałe. Z danych MRPiPS wynika, że corocznie wydawanych jest jedynie kilka pozwoleń na

eprasa.pl c32ec8e9ed

Liczba obywateli państw muzułmańskich na pobycie czasowym w Polsce wg najpopularniejszych krajów pochodzenia

	Arabia Saud.	Azerbejdżan	Bangladesz	Egipt	Irak	Kazachstan	Pakistan	Syria	Turcja	Uzbekistan	Razem
2013	167	131	125	450	168	226	245	277	1319	208	**3316**
2014	186	127	150	441	203	269	366	253	1243	268	**3506**
2015	591	276	180	517	306	334	530	271	1568	462	**5035**
2016	837	535	392	616	551	488	795	417	2047	1053	**7731**
2017	805	699	798	780	820	563	1110	501	2653	1488	**10217**
2018	811	792	978	866	948	616	1219	536	2910	1532	**11208**

Źródło: Raport FISE „Imigracja do Polski z krajów OIC w latach 2013–18" na podstawie danych Urzędu ds. Cudzoziemców

pracę dla obywateli Arabii Saudyjskiej – w większości dla specjalistów w dziedzinie informacji oraz komunikacji.

Z kolei wzrastająca liczba pozwoleń dla przybyszy z posowieckich republik azjatyckich może mieć związek z relatywnie niskim poziomem religijności w tych krajach, a zatem znacznie niższym ryzykiem napięć na tle kulturowym. Podobnie może być w przypadku Bangladeszu i zsekularyzowanej do niedawna Turcji, choć zwłaszcza w tym ostatnim kraju coraz bardziej widoczne jest odradzanie się islamskiej tożsamości.

CZARNY SCENARIUSZ

Doświadczenia Europy Zachodniej wskazują jednak niezbicie, że nawet początkowo nieznaczna i kontrolowana imigracja z krajów muzułmańskich może się okazać ryzykowna. Jak się bowiem okazuje, większość przybyszy z tamtych stron zostaje na emigracji na stałe, tworzą oni przyczółki, dzięki którym przybywają kolejni. Resztę robią demografia oraz rynek pracy rozpaczliwie poszukujący pracowników do wykonywania najmniej płatnych i najmniej prestiżowych robót. Ten ostatni czynnik może być szczególnie istotny w Polsce, której konkurencyjność w światowej gospodarce ciągle opiera się na niskich kosztach pracy.

Z omawianego wcześniej raportu wynika, że korzyści wynikające z imigracji zarobkowej mogą się okazać krótkotrwałe i znacznie mniejsze od potencjalnych strat w przyszłości. Obecna sytuacja w Europie powinna być tu lekcją i ostrzeżeniem. „Biorąc pod uwagę doświadczenia tych państw Europy Zachodniej, gdzie wzrost liczby imigrantów miał miejsce nie z powodu dawnych związków z koloniami, lecz z powodu rozwoju gospodarki, można pokusić się o stwierdzenie, że Polska znajduje się w sytuacji podobnej jak te kraje 40–50 lat temu" – czytamy w raporcie.

Czy to oznacza, że jesteśmy dziś na najlepszej drodze do powielenia cudzych błędów? Gdyby prześledzić wzrost społeczności muzułmańskiej na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat w takich krajach jak Austria, Belgia, Szwecja i Dania oraz nałożyć dynamikę tego wzrostu na Polskę, okaże się – jak wskazuje raport – że około roku 2060 nasz kraj może zamieszkiwać nawet 900 tys. muzułmanów.

To oczywiście jedynie szacunki, zwłaszcza że mówimy o perspektywie 50 lat. Lepiej jednak nie sprawdzać ich trafności na własnej skórze. Z ubiegłorocznych – dość ostrożnych – badań Pew Research Center wynika, że w 2050 r. liczba muzułmanów w Europie gwałtownie wzrośnie, osiągając – w przypadku pesymistycznego wariantu – zawrotną liczbę 17,5 mln w samych Niemczech. Te same badania mówiły jednak o zaledwie 60 tys. muzułmanów w Polsce, ale wyłącznie przy założeniu, że dynamika imigracji utrzyma się na obecnym niskim poziomie. Wystarczy bowiem przyjąć dziś do Polski 40 tys. imigrantów, aby docelowa liczba muzułmanów w naszym kraju podwyższyła się za 30 lat do poziomu 200–300 tys. osób.

To jasne, że pozostaną zawody i branże, w których zatrudnianie imigrantów nadal będzie koniecznością. Chodzi jednak o to, aby skala tego procesu była monitorowana, możliwie jak najmniejsza i ograniczona głównie do pracowników z regionów bliskich nam kulturowo. Mamy w tej dziedzinie tę przewagę nad Europą Zachodnią, że jesteśmy jeszcze w miejscu, z którego można zawrócić. Skorzystajmy z niej.

Pozwolenia na pracę wydane dla obywateli wybranych krajów muzułmańskich

	Azerbejdżan	Bangladesz	Irak	Kazachstan	Pakistan	Turcja	Uzbekistan
2015	116	319	43	74	184	550	1433
2016	191	718	38	109	183	597	826
2017	1336	2412	95	321	427	1228	1409
2018*	1430	2980	61	246	420	570	946

* I półrocze; źródło: MRPiPS

40/1118/F

eprasa.pl c32ec8e9ed



eprasa.pl c32ec8e9ed

Reparacje Polsce się należą

To jest spór o moralność, fundamenty Unii Europejskiej, wreszcie współczesne relacje polsko-niemieckie. Jeżeli naprawdę chcemy budować pojednanie między naszymi narodami, nie da się ot tak przejść nad skalą polskich strat wojennych

Z Arkadiuszem Mularczykiem, posłem PiS, przewodniczącym Parlamentarnego Zespołu ds. Oszacowania Wysokości Odszkodowań Należnych Polsce od Niemiec za Szkody Wyrządzone w Trakcie II Wojny Światowej, rozmawia Jacek Karnowski

Prezydent Andrzej Duda ogłosił deklarację w sprawie odbudowy Pałacu Saskiego. Nieoficjalne wiadomo, że może to kosztować budżet państwa nawet miliard złotych. A przecież ten piękny i ważny historycznie gmach został zniszczony przez Niemców, i to już po upadku powstania warszawskiego, z czystej nienawiści do Polski, bez żadnego związku z działaniami militarnymi. Skoro tak, to dlaczego Polacy mają płacić za odbudowę? Może powinni zapłacić Niemcy?

Arkadiusz Mularczyk: Rzeczywiście, w takich chwilach wraca pytanie, dlaczego to my mamy płacić za odbudowę czegoś, co zostało zniszczone w czasie II wojny światowej w wyniku zbrodni wojennych. To, co Niemcy zrobili w Warszawie, jest określane w prawie międzynarodowym jako „zbrodnia na mieście". Do dziś Niemcy w żaden sposób nie zrekompensowali ani Warszawie, ani Polsce tego, co wówczas zrobili, zrównując z ziemią milionową stolicę dom po domu. To jest ważny przyczynek w debacie o odszkodowaniach, która przecież cały czas się toczy. Sama inicjatywa odbudowy Pałacu Saskiego jest i cenna, i słuszna, ale pamiętajmy, że właściwie w całej Polsce możemy znaleźć puste place po budynkach zburzonych przez okupantów. W niemal każdym mieście, miasteczku, a nawet we wsiach są miejsca, gdzie przed wojną stały piękne teatry, muzea, dworce kolejowe czy inne budynki użyteczności publicznej, po których nie ma śladu. O te straty także trzeba pytać naszych zachodnich sąsiadów. Wierzę, że przyjdzie czas, gdy te pytania padną także podczas rozmów na wysokim szczeblu.

Odbudowa Pałacu Saskiego będzie z pewnością ożywiała debatę o odszkodowaniach. To będzie się wiązało z przypomnieniem i Polakom, i całemu światu, kto zamienił Polskę i jej dziedzictwo historyczne w ruinę. Byłoby to pierwsze tak duże przedsięwzięcie już za czasów wolnej Polski, prowadzone przy podniesionej kurtynie.

Polskę odbudowywano głównie za czasów komunistycznych. Pokolenie, które podnosiło polskie miasta i wsie z ruin, już odeszło albo właśnie odchodzi. Jeśli zaczniemy odbudowę Pałacu Saskiego, to z pewnością przynajmniej pośrednio przypomnimy, że te rachunki wciąż są niewyrównane, że to jest sprawa do załatwienia.

Minęło już kilkanaście miesięcy od chwili, gdy podjął pan temat reparacji. Jak można podsumować ten okres? Czy po stronie niemieckiej w sprawie odszkodowań coś drgnęło?

Na pewno bardzo wzrosło zainteresowanie tą sprawą ze strony zarówno mediów niemieckich, jak i tamtejszych polityków. To zainteresowanie nabrało poważnego charakteru. Proszą o szczegóły, dopytują, słowem – także tam przestano ten temat lekceważyć.

Myślą, co z tym zrobić? Na ile poważnie Polacy do tego podejdą?

Tak sądzę. Myślą, co z tym zrobić.

Myślą, jak to zablokować?

Tego się nie da sprowadzić do kwestii prawnych. To jest spór o moralność, fundamenty Unii Europejskiej, wreszcie współczesne relacje polsko-niemieckie. Jeżeli naprawdę chcemy budować pojednanie między naszymi narodami, jeżeli nie chcemy sankcjonować dokonanych w przeszłości zbrodni, nie możemy tego zamieść pod dywan. Nie da się ot tak przejść nad skalą polskich strat. To jest, przypomnę, prawie 6 mln zabitych obywateli polskich i zniszczenie prawie 40 proc. polskiego potencjału gospodarczego. Odpowiedzialne za to Niemcy, obecnie najbogatszy kraj w Europie, do dzisiaj za to nie zapłaciły, nie wyrównały naszej ojczyźnie tych strat.

Szokuje, że Niemcy, z których wielu naprawdę przeżywa wojenne zbrodnie, żałuje ich, nie chcą tego tematu ostatecznie zamknąć. Zwłaszcza że naprawdę ich na to stać. Jak pan sądzi, skąd taka postawa?

To jest pytanie, które im musimy postawić. Dodając jednocześnie, że jeśli chcą być moralnym i politycznym przywódcą Unii Europejskiej, arbitrem

22/1118/F

eprasa.pl c32ec8e9ed

demokracji i praw człowieka, to nie mogą mieć niezałatwionej tak poważnej sprawy jak reparacje i odszkodowania za poniesione przez Polskę straty wojenne. Nie mogą się dziś zasłaniać immunitetem państwowym ani prawem międzynarodowym, bo oni tego prawa nie przestrzegali, oni je łamali.

A jak odpowiedzą, że to nie oni, ale ich przodkowie?

Organizatorem, sprawcą tych zbrodni było państwo niemieckie, którego następcą jest Republika Federalna Niemiec. Trzeba też pamiętać, że wysoką jakość życia Niemców budowała także praca robotników przymusowych, grabieże majątku, dzieł sztuki. Z tego nigdy też się nie rozliczyli. Trzeba te argumenty podnosić, ten proces musi się toczyć w społeczeństwach polskim i niemieckim. Na poważnie podjęliśmy temat zaledwie półtora roku temu, a już widać dobre efekty. Głosy, że jednak trzeba się z tym rozliczyć, słychać w Niemczech, temat swoich strat podnoszą Grecy. Sądzę, że także Ukraina, Białoruś, kraje bałkańskie mogłyby wziąć udział w tej dyskusji. To wszystko nie jest łatwe, nie stanie się szybko, ale jeśli będziemy konsekwentni i precyzyjni, odniesiemy sukces.

Właśnie – jeżeli. Znając obecną opozycję, możemy założyć, że gdyby przejęła władzę, to na pewno tematu nie podejmie, a być może i sprzeda tę sprawę. Nie obawia się pan tego?


Fot. Andrzej Wiktor

To oczywiste ryzyko. Być może zresztą strona niemiecka na to właśnie liczy, że problem zniknie.

A Prawo i Sprawiedliwość nie zapomni o tym?

Na pewno wiele zależy od determinacji i konsekwencji rządu oraz władz PiS. Jeżeli ona będzie i jeśli ta formacja będzie rządziła przez kolejną kadencję, to uważam, że jest duża szansa uregulowania tych spraw w ciągu kilku lat. Na razie działamy na poziomie parlamentarnym i eksperckim, w pewnym momencie musimy przejść na rządowy i prawny. Tu też jest kilka wątków. Mówimy przecież zarówno o odszkodowaniach państwowych, które są należne Rzeczypospolitej Polskiej, jak i indywidualnych. Wiele ofiar nadal żyje i nie mają żadnej ścieżki prawnej dochodzenia swoich praw.

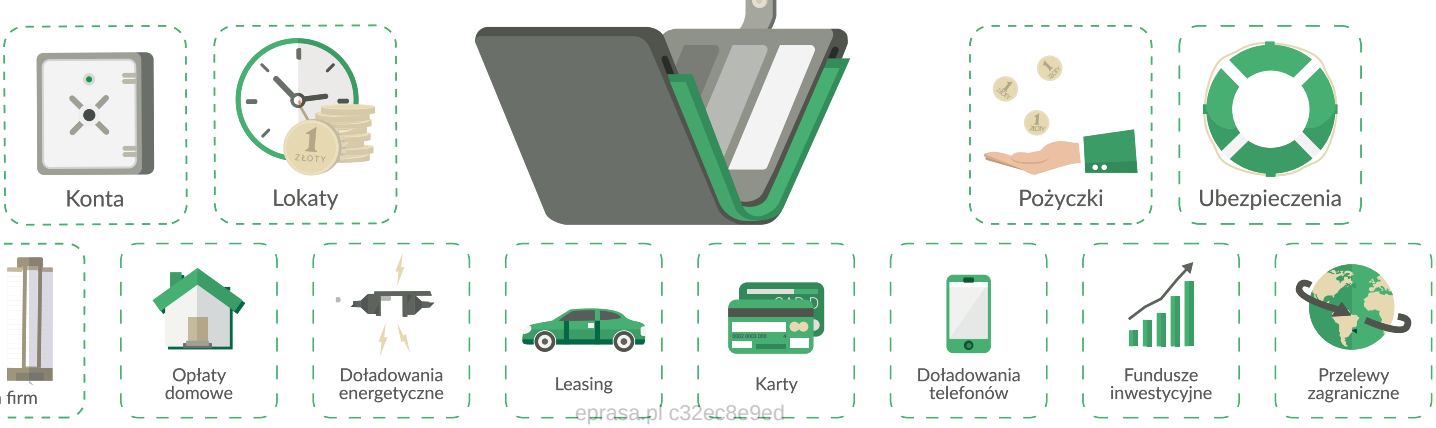
REKLAMA

STEFCZYK FINANSE

To samo miejsce –
większe możliwości

W codziennym biegu czas, wygoda i profesjonalna obsługa są wyjątkowo cenne. Wiemy o tym! W naszych placówkach przygotowaliśmy kompleksowe rozwiązania dla Ciebie i Twojej Rodziny.

Przyjdź do placówki Stefczyk Finanse, sprawdź szeroką ofertę i przekonaj się, jak wiele możemy Ci zaoferować. POZNAJ DOSTĘPNE PRODUKTY:



eprasa.pl c32ec8e9ed

Kilka dni temu ciężko pracujący na rzecz polskiej racji stanu ambasador RP w Niemczech pan Andrzej Przyłębski wypowiedział głęboko prawdziwe słowa, że „ostatnie sto lat niemieckiej polityki wobec Polski było katastrofą. Epoką, w której niemiecka arogancja ujawniła się w całej swej podłości, a niemieckie interesy stały zawsze na pierwszym planie". Spadła za to na niego lawina krytyki ze strony niemieckiej i niestety także polskiej opozycji oraz jej mediów. Bartosz Wieliński w „Gazecie Wyborczej" w charakterystycznym stylu dowodził, że właściwie nie powinniśmy o tym w ogóle mówić, bo to psuje nasze wzajemne relacje. Szokujące słowa, ale po tamtej stronie takie myślenie jest chyba niestety częste?

Zastanawiałem się nad tym i doszedłem do wniosku, że przyczyną jest zacietrzewienie polityczne. Tak się zapędzili w walce z PiS, że to przysłania im wszystko inne, odbiera zdolność trzeźwego myślenia i dostrzeżenia spraw fundamentalnych, polskiej racji stanu. Nawet tak fundamentalną sprawę jak zabiegi o odszkodowania i reparacje wojenne za straty, które dotykały także ich przodków, które poniósł cały naród, są w stanie poddać. W tle jest też duże poparcie Polaków dla sprawy reparacji – walka z tym postulatem, próby ośmieszenia go, wykazania rzekomej nierealności są dla nich wyłącznie walką z Prawem i Sprawiedliwością. Tak odczytuję ich myślenie.

Otrzymał pan jasne zadanie – przygotować raport na temat polskich strat. Czy to się dzieje?

Jesteśmy na końcowym etapie kompletowania raportu. To, co nas uderzyło, to skala zaniechań po polskiej stronie. Zaledwie przez kilka pierwszych lat po wojnie wykonywano poważne historyczne i naukowe prace, by zdokumentować, wykazać, policzyć polskie straty ludnościowe i materialne. A potem – w tej sprawie działo się bardzo mało.

Także w wolnej już Polsce?

Tak, w III RP również. Nie prowadzono poważnych badań nad podsumowaniem naszych strat, ich wpływu na nasz rozwój gospodarczy, demograficzny. Można powiedzieć, że to biała plama. Chwilami nie możemy uwierzyć, w to, co widzimy. Na przykład słynny raport Biura Odszkodowań Wojennych – ostatnie wpisy poświadczające, że ktoś do niego zaglądał, to lata 60. Potem nikt się tym nie zajmował, nikogo to nie interesowało. Nawet na polskich uczelniach.

> Do dziś Niemcy w żaden sposób nie zrekompensowali ani Warszawie, ani Polsce tego, co wówczas zrobili, zrównując z ziemią milionową stolicę dom po domu. Właściwie w każdym mieście możemy znaleźć puste place po budynkach zburzonych przez okupantów

Może to ogólnoeuropejski trend zapomnienia.

Wcale nie taki ogólnoeuropejski, bo na przykład Grecy te prace prowadzili i tego typu profesjonalnymi opracowaniami dysponują już od 20 lat. Trzeba też głośno mówić, że nasze prace są możliwe dzięki wsparciu Polskiej Fundacji Narodowej. Zgromadzenie tylu ekspertów, którzy zostawili na ten okres dotychczasowe zajęcia, poświęcili się tylko temu zadaniu, nie byłoby możliwe, gdyby nie pieniądze z PFN. Serdecznie za to władzom Fundacji i jej fundatorom dziękuję.

Co to znaczy, że raport pana komisji jest na końcowym etapie? Kiedy poznamy ostateczną wersję?

Za nami większość podstawowej pracy, wymaga on jeszcze usystematyzowania, doprecyzowania terminologii, sprawdzenia spójności wewnętrznej. Finalny raport chcemy wcześniej poddać krytycznej ocenie ekspertów, by wyłapać od razu błędy, chcemy też go przetłumaczyć na język angielski, więc w sumie zajmie to jeszcze kilka miesięcy. Oceniam, że na początku przyszłego roku opinia publiczna będzie mogła się z nim zapoznać. Chcielibyśmy, aby była to jedna księga, naukowa, mająca walor dowodowy, ale też zrozumiała dla opinii publicznej.

Czy po tej lekturze będziemy mogli powiedzieć, gdzie byłaby dziś Polska, gdyby nie straty zadane nam przez państwo niemieckie w czasie II wojny światowej?

Trudno aż tak jednoznacznie to ujmować. Powojenne przesunięcie państwa na zachód, utrata ziem na wschodzie spowodowały, że ta przedwojenna Polska to dziś zaledwie połowa obecnej. Jak w tej sytuacji dokonać na przykład modelowania potencjalnego wzrostu gospodarczego państwa, którego już nie ma? Jak widać, dużo się w trakcie tej pracy uczymy, musimy dokonywać wyboru metodologii, reguł, a niektóre wątki, z pozoru istotne, jednak odrzucać.

Ze wstępnych analiz publikowanych przez dr. Grzegorza Kostrzewę-Zorbasa w tygodniku „Sieci" wynikało, że kwota polskich strat materialnych wynosi 845 mld obecnych dolarów, a po uwzględnieniu także ludzkich, rośnie do 6 bln dolarów. Czy ta suma znajduje potwierdzenie w toku prac pana zespołu?

Nie chciałbym jeszcze mówić o takich szczegółach. Te 6 bln dolarów wzięło się z kwoty 1 mln dolarów jako podstawowego odszkodowania za życie ludzkie, którym operuje się w świecie ubezpieczeń. To jest trudny, bolesny temat, ale i z tym musimy się mierzyć. Metody dokonywania tych obliczeń są różne. Niebawem nasi eksperci przedstawią wyliczenia.

Przejdźmy do bieżącej polityki. W tym numerze tygodnika „Sieci"

50/1018/F

eprasa.pl c32ec8e9ed



Zapewniamy bezpieczeństwo energetyczne Polski

Jesteśmy liderem na rynku gazu ziemnego w Polsce. Poszukujemy i wydobywamy gaz ziemny i ropę naftową w kraju i za granicą. Importujemy i sprzedajemy gaz, w tym LNG. Dywersyfikujemy źródła dostaw.

PGNiG

eprasa.pl c32ec8e9ed


Fot. Andrzej Wiktor

pokazujemy ofiary działalności bankowej Leszka Czarneckiego, ale pytanie o wymiar polityczny pozostaje. Jak pan patrzy na to, co media opozycyjne nazywają „aferą KNF”?

Widać, że to była starannie i długo przygotowywana akcja o charakterze wywiadowczo-medialnym, skoordynowana, wycelowana w rząd. W jej przygotowaniu brali udział i ludzie rodem ze służb specjalnych, i świata mediów, i prawnicy.

Motyw?

Na pierwszy ogląd z jednej strony polityczny, z drugiej ucieczka bankowego potentata do przodu w obliczu potencjalnego krachu jego biznesów. Przecież jest już jasne, że sprawa została odpalona, gdy wpisanie jego banku na listę alertów KNF było przesądzone.

Jaka powinna być reakcja rządu?

Taka, jaką widzieliśmy. Spokojna, zdecydowana, przecinająca wątpliwości co do postawy urzędników tam, gdzie się one pojawiły. Nie udało się rządzącej ekipy wciągnąć w jakąś brudną rozgrywkę i to jest porażka tego planu.

Kilka dni po rzuceniu tej sprawy na stół przez opozycję i jej media kolejna bomba: rząd i większość sejmowa wycofały się z wymogu przejścia w stan spoczynku tych sędziów Sądu Najwyższego, którzy skończyli 65 lat. Porażka?

Traktowałbym to raczej jako potyczkę w większej wojnie, wojnie o Polskę. Nie sądzę, by to, że kilkudziesięciu sędziów wróci ze stanu spoczynku do Sądu Najwyższego, miało fundamentalne znaczenie dla całego procesu reform, które jednak zmieniły obraz sądownictwa. Wierzę, że nasi wyborcy tak samo to widzą, bo rozumieją stawkę i sytuację. Widzą, z jak upolitycznionym otoczeniem mamy do czynienia, także w instytucjach unijnych, gdzie przedstawiciele władzy sądowniczej bez wstydu wpisują się w debatę polityczną.

I jeszcze jedno wydarzenie: Zjednoczona Prawica zbudowała jednak większość w sejmiku śląskim. Duży sukces. Ale nie powinien przesłaniać pytania o analizę wyniku wyborów w miastach, zwłaszcza tych średnich i małych. Pana żona, Iwona Mularczyk, nauczycielka historii, pedagog i psycholog, została właśnie przewodniczącą Rady Miasta w Nowym Sączu, ale w wyborach na prezydenta tego miasta przegrała. Stracono Białą Podlaską, Lublin, Radom. To jest jakiś sygnał?

Na pewno. Chociaż jest też prawdą, że w wielu miastach wygrywali kandydaci bez silnych powiązań partyjnych albo tacy, do których wielkie partie opozycyjne po prostu się podłączały. To pokazuje przede wszystkim, że duża część wyborców miejskich nie chce partii w samorządach. Z tego na pewno trzeba wyciągnąć wnioski, trzeba o elektorat w tych miastach rozsądnie zabiegać.

We wspomnianym województwie śląskim wielkie zadanie przed rządzącymi: wzmacnianie polskości tego regionu, podmywanej przez wieloletnie rządy koalicji PO-RAŚ. Zrobią coś w tym kierunku?

Warto tego pilnować. Zgadzam się, że to wielkie zadanie. Trzeba budować program dla Śląska oparty nie na negacji Polski i polskości, ale wspólnym rozwoju.

Jak pan generalnie widzi szanse na reelekcję pana formacji?

Patrząc na Śląsk – pozytywnie. Uważa się, że kto wygrywa wybory na Śląsku, wygrywa w całym kraju. Oby tak było i tym razem. Ważnym, a często pomijanym, czynnikiem jest uzyskanie władzy w aż ośmiu sejmikach samorządowych. To jest bardzo istotne narzędzie realizowania polityki rządu w regionie, we współpracy idzie to dużo lepiej niż w konflikcie. Jednocześnie musimy pamiętać, że wybory do Parlamentu Europejskiego oraz Sejmu i Senatu będą się odbywały w warstwie emocji. Musimy uważać, by ktoś ich nie rozkręcił w taką stronę, że przysłonią one wyborcom sukcesy rządów PiS. A one, mimo naturalnych wpadek i potknięć, są ogromne. Nie było rządu w III RP, który tak dużo zrobił w sprawach społecznych, gospodarczych, wzmacniania pozycji Polski, siły jej armii, wspólnoty narodowej i patriotyzmu.

Klucz do emocji to media, a tu sytuacja jest taka, że nawet sensacyjne zeznania byłej wiceminister finansów Elżbiety Chojny-Duch, która ujawnia dyktowanie przez lobbystów prawa podatkowego zwiększającego dziurę VAT-owską, jest po prostu przez wiele redakcji pomijane. Nie ma, nie było, czytelnikom nie powiedzą.

To zaangażowanie polityczne części mediów, zwłaszcza tych z kapitałem niemieckim, narasta. Każda informacja negatywna dla formacji rządzącej jest rozdmuchiwana i wielokrotnie powielana, pozytywne w ogóle nie są prezentowane, a jak mają dobry dzień, to może raz powiedzą. Podobnie z grzechami i grzeszkami działaczy politycznych. Złapany na jeździe pod wpływem alkoholu prezydent Rybnika, popierany przez PO, nie ma w mediach żadnej politycznej afiliacji, ale były nawet radny pisowski z najmniejszej gminy jak tylko coś zbroi, staje się ważnym politykiem PiS. Skala tej manipulacji potrafi być szokująca.

eprasa.pl c32ec8e9ed

Cyfrowa gospodarka? Zaradny Polak potrafi

Dzięki potencjałowi rozwojowemu i ekonomicznemu cyfryzacji do 2025 r. polski PKB może wzrosnąć... trzykrotnie. Ale nic za darmo. Aby to osiągnąć, potrzebujemy odpowiednich kompetencji i umiejętnego wykorzystania technologii na rzecz biznesu

„Technologie od lat napędzają rozwój gospodarki. Ze względu na historię naszego kraju nie mieliśmy szansy korzystać z efektów kolejnych rewolucji przemysłowych, dlatego jako ogromną szansę, pozwalającą nadgonić lata zastoju, postrzegamy czwartą rewolucję przemysłową" – mówiła podczas konferencji „Przedsiębiorczość, technologie, rozwój: sto lat, Polsko!" Jadwiga Emilewicz, minister przedsiębiorczości i technologii. „Cyfryzacja gospodarki i cyfrowa transformacja przemysłu to jedne z naszych głównych wyzwań" – dodała.

Czwarta rewolucja przemysłowa i Gospodarka 4.0 to hasła, które coraz częściej spotykamy w publikacjach i podczas dyskusji ekspertów. To już nie zapowiedzi futurystów, tylko realny świat biznesu. Aby rewolucja nas nie ominęła, potrzebujemy odpowiedniej bazy technologicznej – nowoczesnej infrastruktury telekomunikacyjnej, innowacyjnych rozwiązań łatwo dostępnych na rynku oraz przekonania samych przedsiębiorców, że to zmiana, która im się opłaci. Inwestycje operatorów w światłowody i szybką sieć mobilną zapewniają niezbędną infrastrukturę.

„Inwestujemy ogromne pieniądze, aby zapewnić dostęp do szybkiego internetu i wysokiej jakości łączność. Tylko do 2020 r. wydamy na rozbudowę sieci światłowodowej nawet 4 mld zł. Polska może się też pochwalić bardzo dobrą siecią mobilną, docierającą niemal w każdy zakątek kraju. Z usług 4G może korzystać 99,9 proc. Polaków. To w naturalny sposób staje się niezbędnym zapleczem do budowania nowoczesnej polskiej gospodarki. Cieszymy się, że jesteśmy częścią tej transformacji" – mówił Jean-François Fallacher, prezes Orange Polska. Operator planuje do 2020 r. dotrzeć ze światłowodem do ponad 5 mln gospodarstw domowych i 40 proc. polskich firm.

Cyfryzacja będzie jednym z ważniejszych czynników wzrostu, szczególnie dla małych i średnich firm. Jak wynika z badań McKinsey, firmy tego sektora, które wykorzystują nowe technologie, mogą rosnąć nawet dwa razy szybciej. Jak przekonywał Cezary Kaźmierczak, prezes Związku Przedsiębiorców i Pracodawców, mniejsze firmy, aby się rozwijać i skutecznie inwestować w innowacje, potrzebują przede wszystkim upraszczania procedur. „Jeśli chodzi o innowacje, właśnie małe i średnie firmy często są w tym lepsze od dużych korporacji" – mówił. Zgodził się z nim Jean-François Fallacher: „To prawda, że możemy się od siebie dużo nauczyć. Rozumiemy to i od wielu lat współpracujemy z małymi firmami, start-upami.



29/1118/F

Wyzwaniem, jakiemu trzeba sprostać, jest zatrzymanie najlepszych specjalistów i przekonanie ich, że Polska to dobre miejsce, aby się rozwijać. Uczestnicy debaty zwracali uwagę na przykłady z historii, które pokazują, że polska zaradność i kreatywność wielokrotnie przekładały się na rozwiązania, z których dziś korzystają ludzie w różnych zakątkach świata. Przywoływano m.in. Jacka Karpińskiego, który stworzył pierwszy na świecie komputer osobisty.

Zwieńczeniem dyskusji było przekazanie na rzecz Muzeum Historii Polski zabytkowego nadajnika, wykorzystywanego przez polskie podziemie w latach II wojny światowej. Radiostacja ufundowana przez Orange Polska została zbudowana w latach 40. metodą odwróconej inżynierii, z części wyniesionych nielegalnie z fabryk produkujących podzespoły na potrzeby niemieckich sił okupacyjnych. „To symbol polskiej zaradności i najlepszy dowód na to, że nawet w najbardziej dramatycznych warunkach sprawdza się powiedzenie »Polak potrafi«" – spuentował Jean-François Fallacher.

eprasa.pl c32ec8e9ed

Oszczędzanie ze wspomaganiem

Wprowadzenie PPK jako nowej formy dobrowolnego oszczędzania na przyszłość to nie tylko szansa na wyższe świadczenia Polaków, lecz także ogromny potencjał dla gospodarki i rynku kapitałowego

Dzięki wprowadzeniu programu Polska będzie miała największą liczbę indywidualnych inwestorów w Europie Środkowo-Wschodniej – w najbardziej optymistycznym scenariuszu nawet 11,5 mln uczestników. Wprowadzenie dodatkowej formy dobrowolnego oszczędzania, czyli Pracowniczych Planów Kapitałowych (poza funkcjonującymi w ramach tzw. III filaru Pracowniczymi Programami Emerytalnymi – PPE, Indywidualnymi Kontami Emerytalnymi – IKE oraz Indywidualnymi Kontami Zabezpieczenia Emerytalnego – IKZE) to nie tylko szansa na wyższe emerytury Polaków, lecz także nowy impuls dla gospodarki i rynku kapitałowego.

Obecna struktura oszczędności Polaków wymaga przemodelowania, ponieważ są to przede wszystkim krótkoterminowe depozyty, a nie długoterminowe formy kumulowania kapitału na cele emerytalne. Również z tego powodu wprowadzeniu PPK powinny towarzyszyć wszechstronne działania edukacyjne i kampania informacyjna, gdyż – jak podkreśla wielu ekspertów – pokonanie mentalnych barier Polaków dotyczących skłonności do oszczędzania jest nie lada wyzwaniem.

Wielu rodaków (po faktycznym demontażu systemu emerytalnego przez rząd PO-PSL) jest przekonanych, że oszczędzanie na cele emerytalne nie ma sensu, ponieważ będzie tak samo jak z kapitałem zgromadzonym na kontach uczestników otwartych funduszy emerytalnych. Rząd za kilka lat zgarnie uskładane pieniądze, tak jak za czasów premiera Donalda Tuska dokonano transferu 51 proc. zgromadzonego kapitału z OFE do ZUS (realne pieniądze zostały zamienione na zapis księgowy) – ponad 153 mld zł. Twórcy ustawy robią wszystko, aby tym razem było inaczej. Co więcej, ustawa zawiera wiele „bezpieczników", które mają to bezpieczeństwo zwiększyć, łącznie z zapisaną w ustawie prywatnością środków czy możliwością „wypisania się" z systemu w każdej chwili.



fot. shutterstock | 45/1018/F

PRYWATNE PIENIĄDZE

Paweł Borys, prezes Polskiego Funduszu Rozwoju SA, poinformował, że po podpisaniu przez Prezydenta RP Andrzeja Dudę ustawy o PPK, co stało się 19 listopada br., fundusz prześle do wszystkich pracodawców zestaw informacji o nowej formie oszczędzania. Prezes Borys dodał, że od stycznia 2019 r. w mediach ruszy kampania informacyjna ukazująca korzyści płynące z przystąpienia do PPK. Ponadto zapowiedział powstanie portalu oraz centrum kontaktowego, do którego pracodawcy i pracownicy będą mogli zadzwonić oraz uzyskać informację o planach kapitałowych.

Pracownicze Plany Kapitałowe są systemem długoterminowego oszczędzania współfinansowanym przez państwo, pracodawców i samego ubezpieczonego. PPK nie są częścią systemu emerytalnego, dlatego oszczędności na koncie pracownika są i pozostaną prywatne, mogą być wcześniej wypłacone (pod pewnymi rygorami) oraz podlegają w 100 proc. dziedziczeniu.

Po wejściu w życie ustawy o PPK każda firma lub instytucja zatrudniająca na umowę o pracę co najmniej jedną osobę, za którą odprowadza składki na ubezpieczenia emerytalne i rentowe do ZUS, powinna utworzyć plan kapitałowy dla swoich pracowników. Aby poszczególni pracodawcy mogli w pełni przygotować się do nowych obowiązków, terminy przystąpienia do programu zależą od wielkości danej firmy (mierzonej liczbą zatrudnionych osób) i są rozłożone na ponad dwa lata.

SKŁADKA Z PROFITAMI

Jak będą wyglądały wpłaty na konto uczestnika PPK? Pracodawca będzie płacić składkę podstawową, tj. 1,5 proc. wynagrodzenia brutto. Pracodawca nie będzie mógł zrezygnować z dopłat na

eprasa.pl c32ec8e9ed

rzecz swoich pracowników (będzie to jego obowiązek ustawowy), ale wpłata pracodawcy do PPK zostanie zwolniona ze składek na ubezpieczenia społeczne. Tej wpłaty pracodawca nie będzie mógł potrącać z wynagrodzenia pracownika. Natomiast pracownik ma obowiązek comiesięcznych wpłat na swoje konto w wysokości co najmniej 2 proc. wynagrodzenia brutto.

Oszczędności gromadzone na PPK będzie można zwiększyć o składki dobrowolne – do 2,5 proc. dodatkowej wpłaty pracodawcy i do 2 proc. pracownika. Łączna minimalna składka wyniesie 3,5 proc., a maksymalna 8 proc. Uczestnicy PPK otrzymają od państwa wpłatę powitalną (jednorazową) – 250 zł. Uprawnieni do tego bonusu są pracownicy, którzy przez co najmniej trzy pełne miesiące byli uczestnikami programu i dokonali w tym czasie wpłat podstawowych na swoje konta. Ustawodawca zobowiązał się również do corocznej dopłaty w wysokości 240 zł. Do tej kwoty mają prawo uczestnicy, których wpłaty podstawowe i dodatkowe wynoszą co najmniej 3,5 proc. sześciokrotności minimalnego wynagrodzenia w roku, za który jest dokonywana wpłata. Ci, których wpłaty podstawowe są niższe niż 2 proc., muszą zgromadzić co najmniej 25 proc. powyższej kwoty. Suma wpłat uprawniająca do otrzymania dopłaty za 2018 r. to 441 zł.

Ustawodawca przewidział ulgę dla najmniej zarabiających. Takie osoby będą mogły odprowadzać obniżone składki – mniej niż 2 proc. wynagrodzenia, ale nie mniej niż 0,5 proc. wynagrodzenia, jeżeli wynagrodzenie uczestnika PPK osiągane z różnych źródeł w danym miesiącu nie przekracza kwoty odpowiadającej 120 proc. minimalnego wynagrodzenia. Wpłaty powitalne i wpłaty roczne dokonywane przez państwo będą finansowane z Funduszu Pracy i zostaną przekazane na rachunki uczestników PPK za pośrednictwem Polskiego Funduszu Rozwoju.

OD KIEDY RUSZAJĄ PPK

Pracodawcy mają siedem miesięcy na przygotowanie się do wprowadzenia w swoim zakładzie planów kapitałowych. Na pierwszy ogień idą największe zakłady pracy – zatrudniające ponad 250 osób. Podczas startu programu u danego pracodawcy wszyscy zatrudnieni (którzy nie ukończyli 55 lat) zostaną automatycznie do niego zapisani. Z PPK będzie można się wypisać, składając deklarację, ale przystąpić do programu można w każdej chwili. Z harmonogramu wprowadzania PPK wynika, że ustawodawca brał pod uwagę koszty i trudności z realizacją tego zamierzenia. Zaproponował start

> Prezydent RP Andrzej Duda 19 listopada podpisał ustawę o Pracowniczych Planach Kapitałowych. Będzie ona obowiązywała od 1 stycznia 2019 r. z półrocznym vacatio legis

planów kapitałowych w największych podmiotach, które mają infrastrukturę informatyczną, a obciążenie finansowe związane z wpłatą składek dużego pracodawcy będzie znacznie łatwiejsze do zaakceptowania (wydatki poniesione przez pracodawcę na realizację obowiązków wynikających z ustawy o PPK będą kosztami uzyskania przychodu, w tym przede wszystkim wpłaty pracodawcy).

Terminy wprowadzania PPK u poszczególnych pracodawców zależą od liczby zatrudnionych pracowników. I tak dla:

- podmiotów zatrudniających co najmniej 250 osób (według stanu na 31 grudnia 2018 r.) – od 1 lipca 2019 r.,
- podmiotów zatrudniających co najmniej 50 osób (według stanu na 30 czerwca 2019 r.) – od 1 stycznia 2020 r.,
- podmiotów zatrudniających co najmniej 20 osób (według stanu na 31 grudnia 2019 r.) – od 1 lipca 2020 r.,
- pozostałych podmiotów i całego sektora finansów publicznych (niezależnie od liczby zatrudnionych) – od 1 stycznia 2021 r.

KTO I JAK DŁUGO MOŻE ODKŁADAĆ

Podmioty należące do jednej grupy kapitałowej mogą zawierać umowy o zarządzanie i umowy o prowadzenie PPK w terminie, w którym ustawa ma zastosowanie w stosunku do podmiotu zatrudniającego największą liczbę osób zatrudnionych w tej grupie.

Do systemu oszczędzania w PPK zostaną włączeni automatycznie wszyscy pracownicy od 18 roku życia do ukończenia 55 lat, za których są odprowadzane składki do ZUS (zapis po trzech miesiącach zatrudnienia). Osoby w wieku od 55 do 70 lat mogą się zwrócić do pracodawcy z wnioskiem o zawarcie w ich imieniu umowy o prowadzenie PPK.

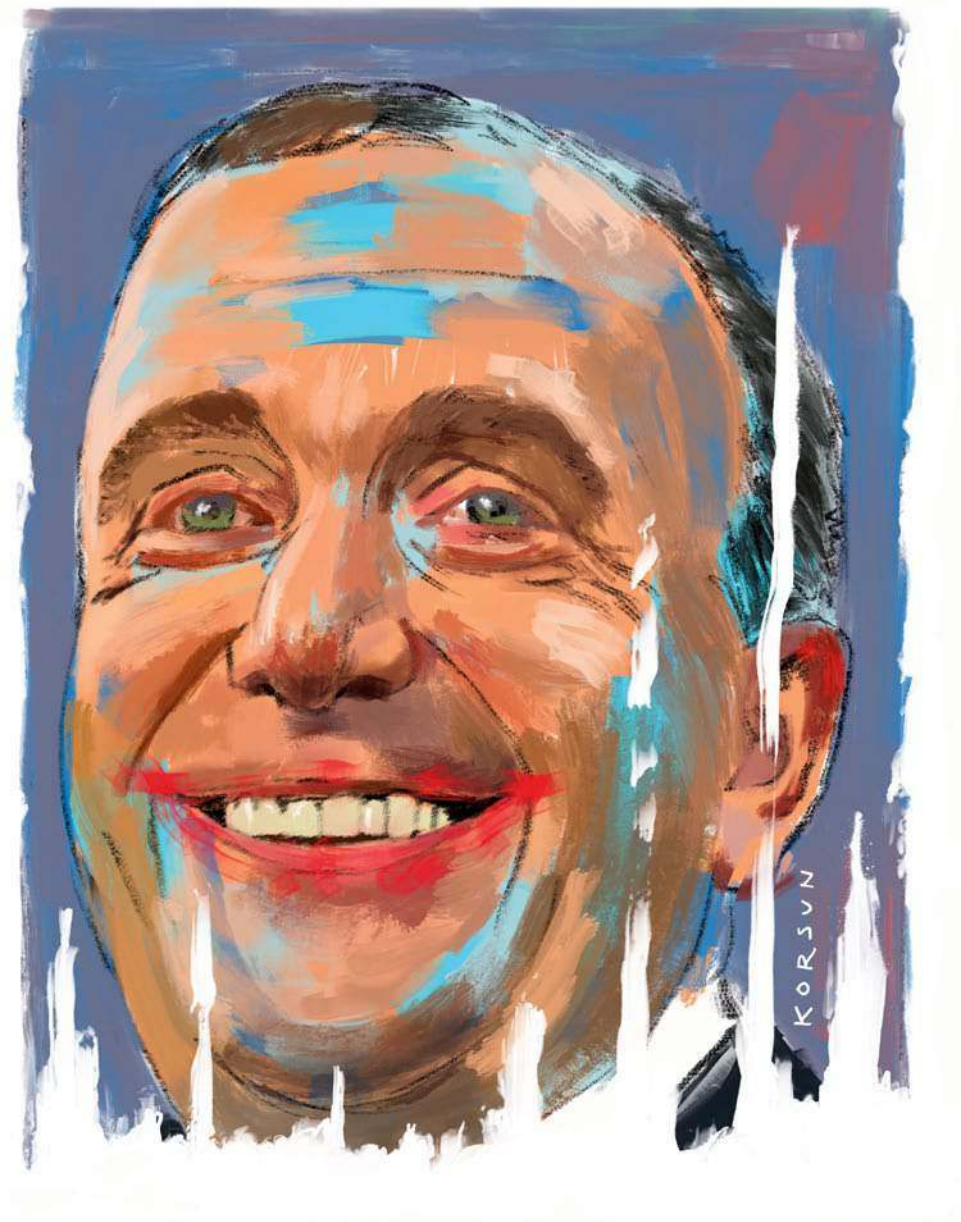
Jeżeli pracodawca nie utworzy planu kapitałowego dla swoich pracowników w przewidzianym w ustawie terminie, to Polski Fundusz Rozwoju pisemnie wezwie go do zawarcia umowy o zarządzanie PPK z wyznaczoną przez fundusz instytucją finansową lub do przekazania PFR SA informacji o zawarciu umowy o zarządzanie PPK z inną instytucją finansową.

Nie opłaca się być opieszałym – ustawodawca przewidział nietypowe sytuacje i zaproponował wyjście: przymus dla niezorganizowanego pracodawcy. Bycie w programie dla pracowników mających umowę o pracę (we wspomnianym przedziale wiekowym) jest automatyczne. Nie trzeba nigdzie nic załatwiać, nic podpisywać, wybierać instytucji finansowej. Robi to za nas pracodawca. Można się wymigać z zapobiegliwości o przyszłą emeryturę, wypisując się z programu, ale jest to wariant, z którego nie warto korzystać. Za dużo stracimy.

Małgorzata Dygas

Za tydzień kolejny odcinek cyklu o PPK jako nowej formie oszczędzania długoterminowego

eprasa.pl c32ec8e9ed



Skrobanie Schetyny

Najbliższy rok może zapoczątkować największą przebudowę polskiej sceny politycznej od 2001 r.

Przed każdym sezonem wyborczym mówi się, że nie ma miejsca na nowe partie w polskiej polityce, po czym te nowe partie powstają. Ryszard Petru powtarza swój pomysł sprzed ponad trzech lat, i to nawet z tymi samymi ludźmi. Robert Biedroń dyskontuje polityczne usamodzielnienie własnego nazwiska oraz swoją popularność, daleko wykraczającą poza politykę. Marek Jakubiak wchodzi w buty, w które przez trzy lata nie chciał czy też bał się wejść Paweł Kukiz.

Najmniej pewne jest to, czy w budowanie nowej partii zaangażuje się Marek Jakubiak, całkiem pewny jest projekt Ryszarda Petru, gdyż już funkcjonuje, Robert Biedroń zaś tylko dlatego zwleka z inauguracją swego ugrupowania, że chce, aby było to wejście smoka.

Ryszard Petru powołał trzy lata temu partię działającą na wzór korporacji, ale jego nowy projekt jest już znacznie bardziej polityczny w tradycyjnym sensie. Robert Biedroń obserwuje powstawanie nowych partii na Zachodzie i podąża tą drogą, chcąc wykorzystać ruchy społeczne tworzące się w związku z konkretnymi kampaniami, np. na rzecz kobiet czy środowisk LGBT. Najbardziej ryzykuje Marek Jakubiak (jeśli się zdecyduje), gdyż chce zinstytucjonalizować coś, co jest antysystemowe i anarchizujące.

TRZY POMYSŁY

Partia Ryszarda Petru ma już nazwę – Teraz! – i właściwie ten sam zespół organizacyjny jak Nowoczesna w 2015 r. (na czele z liderem, Joanną Scheuring-Wielgus, Joanną Schmidt oraz Adamem Kądzielą i Dorotą Drozd od czarnej roboty). Jest prawdopodobne, że do Teraz! dołączy były wiceprezydent Warszawy Jacek Wojciechowicz.

Ryszard Petru jest w partii uważany za niekwestionowanego fachowca od zakładania nowych przedsięwzięć, gorzej radzi sobie natomiast z ich funkcjonowaniem. Ale jeśli do projektu dołączy Jacek Wojciechowicz, to on odpowiadałby za sprawy organizacyjne, a na tym polu doświadczenia i sukcesów nikt mu nie odmawia.



STANISŁAW JANECKI

Fot. Andrzej Wiktor x3, Julita Szewczyk

Autopromocja

eprasa.pl c32ec8e9ed

Teraz! ma być lepszą i spójniejszą Nowoczesną, czyli partią bardziej skupioną na osiąganiu celów niż lansowaniu ambitnych i często próżnych działaczy, jak było w Nowoczesnej, gdzie co najmniej 20 osób (Petru, Lubnauer, Gasiuk-Pihowicz, Scheuring-Wielgus, Schmidt, Dolniak, Augustynowska, Golbik, Rosa, Hennig-Kloska, Lieder, Wróblewska, Meysztowicz, Mieszkowski, Misiło, Furgo, Szłapka, Truskolaski, Pudłowski, Zembaczyński) chciało błyszczeć w mediach i w Sejmie oraz funkcjonować w roli celebrytów. I to było źródłem kłopotów pierwszego projektu Ryszarda Petru. Ambicje celebrytów po prostu rozsadziły partię od środka. W dodatku celebryci nie mieli czasu ani ochoty, by mozolnie budować struktury. Obecnie to wszystko ma się zmienić, czyli Teraz! ma przypominać partię, a nie salon mody czy agencję aktorską.

Na korzyść nowego projektu Ryszarda Petru działa to, że wyciągnął on z Nowoczesnej właściwie wszystkich, którzy nie mają ambicji bycia celebrytami. Oznacza to, że Katarzyna Lubnauer stoi już na czele politycznej wydmuszki, w dodatku prawie całkowicie połkniętej i w dużym stopniu strawionej przez Platformę Obywatelską. Dawni wyborcy Nowoczesnej pójdą za Petru, a nie za Lubnauer.

Robert Biedroń na razie może się pochwalić spektakularnym transferem wiceprzewodniczącego SLD, byłego sekretarza generalnego tej partii Krzysztofa Gawkowskiego. Ten transfer jest ciosem dla Włodzimierza Czarzastego i jego ugrupowania, gdyż Gawkowski potrafi budować struktury partyjne i może przeciągnąć do Biedronia młodszych, lepiej wykształconych wyborców Sojuszu.

Zarówno Biedroń, jak i Gawkowski są osobami niekonfliktowymi, uprzejmymi i grzecznymi, niewzbudzającymi agresji, co oznacza, że będą budować wizerunek „partii miłości" – innej niż wszystkie funkcjonujące na polskiej scenie. Przy ogromnej polaryzacji polskiej polityki i pogłębianiu ostrości sporów „partia miłości" nie jest bez szans, oferując spokój i pokój społeczny, choć może się wydawać koncepcją mocno infantylną. Tyle że sprawdziła się już w wyborach samorządowych i podczas rządów Biedronia w Słupsku. Ponadto ta właśnie nowa partia jako pierwsza ma szansę pozyskać różne ruchy kobiece, dotychczas działające od jednej akcji do drugiej, w żaden sposób niezinstytucjonalizowane. Biedroń może więc używać argumentu, że jego partia będzie pod wieloma względami nową jakością w polskiej polityce.

Na korzyść Marka Jakubiaka działa to, że wiele osób zaangażowanych w ruch Kukiz'15 ma serdecznie dość bałaganu organizacyjnego, anarchii, niestabilności i nieprzewidywalności, jakie wiążą się z Pawłem Kukizem. Jakubiak, z dużym doświadczeniem i sukcesami w biznesie, jest poukładany, sprawny organizacyjnie, przewidywalny i systematyczny.



eprasa.pl c32ec8e9ed

Problemem jest tylko to, że spora część wyborców Kukiz'15 nie ma nic przeciwko anarchiczności tego ugrupowania i samego Pawła Kukiza, niewątpliwie mającego charyzmę. Poukładana partia Jakubiaka, jeśli powstanie, może nie mieć tej siły przyciągania, co działający „na wariackich papierach" ruch Kukiz'15: dogmatycznie antysystemowy, niebiorący subwencji i wiecznie na granicy rozpadu. Atutem Jakubiaka są jednak jego zdolności koalicyjne, o czym Kukiz nawet nie chce słyszeć.

KTO Z KIM I CZYIM KOSZTEM

Nowe ugrupowania najbardziej wpłyną na stan posiadania Koalicji Obywatelskiej (właściwie Platformy Obywatelskiej), gdyż będą swego rodzaju skrobaniem Schetyny, i to ze wszystkich stron. Katarzyna Lubnauer może zostać wiceprzewodniczącą PO i będzie to funkcja raczej dekoracyjna.

Teraz! Ryszarda Petru może Schetynie odebrać tych wyborców, którzy przenosili poparcie na silniejszego po stronie opozycji, gdy Nowoczesna zaczęła się rozpadać. Może też odebrać PO część wyborców liberalnych, bo liberalizmu w programie tej partii już praktycznie nie ma.

Groźna dla partii Schetyny może też być partia Roberta Biedronia, gdyż PO przez ostatnie cztery lata przesuwała się na lewo, ale nie stała się partią lewicową. Część wyborców PO może woleć prawdziwą lewicę od kryptolewicy (oraz lewicy postkomunistycznej – SLD), w dodatku obyczajowo niezdolnej do przekroczenia Rubikonu. Głosy może też odbierać PO nowa partia Marka Jakubiaka, przede wszystkim ze względu na jego zdroworozsądkowe i praktyczne podejście do gospodarki.

Partia Roberta Biedronia przede wszystkim może odebrać głosy SLD Włodzimierza Czarzastego – jako lewicy starego typu lub wręcz łże-lewicy (jak ją nazywają działacze Partii Razem). Generalnie na lewicy projekt Roberta Biedronia może wywołać duże przesunięcia i przekształcenia. Kosztem nie tylko SLD, lecz również Partii Razem, Inicjatywy Polska, Zielonych, Ogólnopolskiego Strajku Kobiet oraz pomniejszych inicjatyw feministycznych czy środowisk LGBT. I – jak już wspomniałem – odbierze sporo lewicowych wyborców głosujących w ostatnich latach na PO. Projekt Roberta Biedronia ma szanse stać się głównym ugrupowaniem lewicy nowego typu, marginalizując „starą lewicę" – zarówno w wersji postkomunistycznej, jak i PPS-owskiej.

> Nowe ugrupowania najbardziej wpłyną na stan posiadania Koalicji Obywatelskiej (właściwie Platformy Obywatelskiej), gdyż będą ją osłabiać ze wszystkich stron

Partia Marka Jakubiaka, jeżeli powstanie, zagrozi funkcjonowaniu ruchu Kukiz'15, gdyż nawet jeśli on przetrwa, może mieć ogromne problemy organizacyjne i finansowe, więc całe struktury mogą przechodzić do byłego posła i do niedawna jednego z liderów tego ruchu. Jakubiak może też „zjadać" wolnorynkowych oraz konserwatywnych wyborców PO, a także część wyborców PSL, szczególnie tych z mniejszych miast i miasteczek. Partia Jakubiaka może również odbierać głosy partii Wolność Janusza Korwin-Mikkego oraz projektowi Kornela Morawieckiego Wolni i Solidarni.

WIELKA ZMIANA?

Wszystkie nowe inicjatywy nie mają praktycznie znaczenia dla stanu posiadania Prawa i Sprawiedliwości (może z wyjątkiem ugrupowania Marka Jakubiaka, choć w niewielkim stopniu). Te nowe projekty rozdrabniają poparcie dla opozycji i w praktyce uniemożliwiają powstanie jej zjednoczonego bloku. Przede wszystkim dlatego, że w pierwszym roku istnienia nowe siły będą broniły samodzielności i podmiotowości oraz inności. Powstanie trzech nowych ugrupowań rok przed wyborami parlamentarnymi sprawiłoby, że Koalicja Obywatelska (jeśli przetrwa, a jeśli nie, to PO) będzie miała problem ze zdobyciem 20 proc. poparcia.

Poza PiS i PO w Sejmie nowej kadencji najwięcej mandatów może mieć partia Roberta Biedronia. W Sejmie mogą się poza tym znaleźć jeszcze trzy–cztery ugrupowania mające w okolicach 15 posłów (tyle trzeba, żeby istniał klub). Rozdrobnienie po stronie opozycji, nawet przy silnej mobilizacji opozycyjnego elektoratu w wyborach, będzie działało na korzyść PiS, choć może skomplikować powstanie rządzącej większości. Szczególnie jeśli PiS (Zjednoczona Prawica) nie będzie miało ok. 42 proc. poparcia gwarantującego rządzenie bez koalicjantów. Gdyby jednak rolę Kukiz'15 przejęła inicjatywa Marka Jakubiaka, byłaby znacznie bardziej przewidywalnym i realnym partnerem dla PiS niż ruch Kukiz'15. Ewentualnym partnerem PiS mogłoby też być PSL, jeśli dojdzie tam do wymiany lidera, co jest prawdopodobne.

Wybory parlamentarne w 2019 r. mogą doprowadzić do większej zmiany w polskiej polityce niż te z roku 2011 (gdy objawił się Ruch Palikota) oraz 2015 (gdy zorganizowały się Nowoczesna i Kukiz'15). Przede wszystkim z powodu pojawienia się nowej lewicy. Jej znaczenie będzie jeszcze większe, jeśli SLD dużo i szybko straci na jej rzecz (na co się zanosi), Teraz! Ryszarda Petru nie przekroczy progu wyborczego, Kukiz'15 ulegnie dekompozycji, a PSL nie uda się wejść do Sejmu. Wtedy w parlamencie byłyby tylko trzy ugrupowania, co mocno zdewaluowałoby pozycję PO jako najważniejszej partii po stronie opozycji. A to mogłoby zapoczątkować proces zmiany przywództwa w tej partii.

Wszystko to oznacza, że najbliższy rok nie będzie politycznie nudny, a wręcz może zapoczątkować największą przebudowę polskiej polityki od 2001 r.

47/0918/F

eprasa.pl c32ec8e9ed

TOTALIZATOR SPORTOWY

Totalizator Sportowy
– właściciel marki

LOTTO

Każda złotówka gracza LOTTO **to 19 groszy**
dla polskiego sportu i kultury

Lotto · Eurojackpot · Ekstra Pensja · Super Szansa · Multi Multi · Mini Lotto · Kaskada · Keno · Zdrapki

WYGRYWAMY RAZEM!

eprasa.pl c32ec8e9ed





Dotknąć niepodległości

Ojcowie polskiej niepodległości jak żywi! Spacerujący po ulicach Warszawy, w dodatku w kolorze! Wszystko to w niezwykłym filmie „Niepodległość”, który powstał dzięki odnalezieniu unikatowych materiałów filmowych z lat 1914–1923



DOROTA ŁOSIEWICZ

Reżyserem filmu jest Krzysztof Talczewski, producentem Mirosław Bork, za koloryzację nagrań odpowiadało trójmiejskie studio Grupa Smacznego, konsultacji historycznej udzielili profesorowie Grzegorz Nowik i Wojciech Roszkowski. Muzykę skomponował Krzesimir Dębski.

– Obejrzałam „Niepodległość”. I jeszcze bardziej mi tęskno do polskiego Lwowa, jeszcze bardziej kocham górali, jeszcze większą mam estymę i uwielbienie dla tego męża opatrznościowego, którym był Piłsudski, jeszcze większą więź czuję z tymi, którzy ginęli z Polską na ustach i w sercach. I jeszcze mniej rozumiem, jak można nie chcieć znać historii swojego kraju, odcinać się od niej – mówi Anna Nowak, pracownica jednej z warszawskich korporacji. Była ona jedną z niemal 8 mln Polaków, którzy od momentu premiery 12 listopada obejrzeli to arcydzieło w Polsacie, TVP1 i internecie.

– Wszystko zaczęło się od tego, że kilka lat temu reżyser Krzysztof Talczewski przy okazji pracy nad zupełnie innym filmem natknął się we francuskim archiwum na zdjęcia filmowe z wyprawy armii Hallera z Francji do Polski. To był bardzo interesujący materiał. Okazało się, że razem z armią jechała ekipa filmowa, mieli kamerę „trzydziestkępiątkę”. Ta ekipa sfilmowała zarówno formowanie się armii Hallera, jak i podróż przez Niemcy pociągami, a następnie działania na terenie Polski. Pierwsza myśl była taka, żeby może zrobić film o armii Hallera. Druga szła już dalej. Pomyśleliśmy, że skoro zachowało się tyle, to może w innych archiwach, jakimś cudem, są też inne materiały. Tylko trzeba poszukać. A ponieważ obaj z reżyserem już w tej branży parę ładnych lat siedzimy, to wiedziałem, gdzie i jak szukać, kogo poprosić o pomoc. Uruchomiłem zaprzyjaźnione osoby w Niemczech, Rosji, na Ukrainie, które zrobiły pierwszy zwiad, czy w ogóle jest po co jechać. Okazało się, że są materiały, najprawdopodobniej z Polski, choć dokumentalistom trudno było ustalić, jaka jest ich wartość. Mocno tym zachęcony ruszyłem szlakiem zachowanych materiałów filmowych – opowiada Mirosław Bork, producent filmu „Niepodległość”.

I w ten sposób udało się trafić na prawdziwe perełki.

– Dotarliśmy do taśm, które przez sto lat leżały w magazynach niemieckich, francuskich, rosyjskich, nawet ukraińskich. To one składają się na film, w którym 80 proc. materiałów nigdy nie było publikowanych. O ile niemieckie i francuskie archiwa są zdigitalizowane i relatywnie łatwo się je przegląda, o tyle filmy archiwalne na Wschodzie wciąż leżą w metalowych pudłach i za każdym razem było wielką niewiadomą, co w nich znajdę – opowiada Mirosław Bork. – Zdarzały się sytuacje, że pudła były puste, pozostał tylko opis, czyli ktoś do nich zajrzał wcześniej i nie wiadomo, co się z tym materiałem stało. Dziś już nie sposób tego dociec. Jednak poszukiwania były na tyle owocne, że po roku grzebania w archiwach zorientowaliśmy się, że mamy materiał, który pozwoli opowiedzieć może nie całość, ale już bardzo wiele – dodaje Bork.

Nigdy wcześniej niepokazywane zdjęcia to prawdziwy rarytas dla widza. M.in. przyjazd do Polski armii Hallera, fragmenty, gdzie pokazuje się „żywy” Roman Dmowski – rozmowy z żołnierzami Armii Polskiej we Francji (1918 r.), zdjęcia wykonane tuż przed konferencją w Paryżu, powitanie Ignacego Paderewskiego przyjeżdżającego do Paryża w kwietniu 1919 r. (ujęcia na peronie dworca Gare de l’Est), fragment wielkiego marszu Narodowej Demokracji w Warszawie 17 listopada 1918 r., ujęcia Józefa Piłsudskiego z dwiema córkami.

Wyjątkowość „Niepodległości”, o której mówią widzowie, bierze się także stąd, że dokumentalny zapis historii został precyzyjnie pokolorowany oraz zmontowany w taki sposób, że uniknięto charakterystycznego dla przedwojennych nagrań efektu przyspieszenia. Nad rekonstrukcją materiałów

eprasa.pl c32ec8e9ed





Fot. Mat. prasowe

archiwalnych pracowało przez wiele miesięcy, na trzy zmiany, ok. 140 osób. Unikatowe filmy znalezione w archiwach całej Europy trzeba było najpierw oczyścić, następnie nałożyć na nie kolor. 112 osób przygotowywało kolorowe maski, a kolejnych 20–30 osób składało ujęcia w całość. Za te prace odpowiedzialne było trójmiejskie studio animacji komputerowych Grupa Smacznego. Cała ekipa spędzała nad jednym ujęciem 20–30 godzin. „Nad pokolorowaniem i zmontowaniem filmu pracowaliśmy przez trzy miesiące, choć w sumie przez pierwszy miesiąc testowaliśmy, czy jesteśmy w stanie to zrobić, a przez dwa kolejne faktycznie nad tym siedzieliśmy" – opowiadał Łukasz Mackiewicz z Grupy Smacznego w Radiu Gdańsk.

O ile film wzbudza niezwykle pozytywne emocje wśród widzów, o tyle historycy nie są już tak entuzjastyczni. „W filmie dominuje jednak Józef Piłsudski, zdjęć z jego udziałem jest mnóstwo – w tym do tej pory nieznane, takie jak przejazd do Sejmu 10 lutego 1919 r., uroczystości 3 maja 1919 r. w okolicach Cytadeli, zwiedzanie X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej czy zdjęcia z frontu wojny 1920 r. Piłsudski jest także dla twórców filmu postacią centralną, czego oczywiście należało się spodziewać. Są jednak pewne granice, których przekraczać nie wolno – albowiem nie można historii naciągać, przemilczać niewygodne kwestie lub interpretować je bałamutnie. A tak niestety jest. [...] Owszem, dla większości widzów te propagandowe zabiegi będą niewidoczne, bo z jednej strony wpisują się w dominującą narrację na temat tego fragmentu naszej historii, a po drugie nie będą oni w stanie wychwycić niuansów, które odczytać mogą tylko historycy znający dobrze fakty" – pisze Jan Engelgard na portalu Myśl Polska. Przekłamań historycznych jest więcej. Jak wskazuje ten sam autor, premier Francji George Clemenceau został w filmie nazwany prezydentem, a tym był wówczas Raymond Poincare. O Krakowie mówi się jako o pierwszej stolicy Polski, choć było nią Gniezno, Komitet Narodowy Polski w Paryżu nazwany jest „Polskim Komitetem Narodowym".

Po emisji filmu zażenowania błędami historycznymi nie krył także publicysta i historyk Piotr Zaremba, który na FB komentował: „Amerykanami w Europie podczas I wojny dowodził generał Sherman. A Clemenceau był prezydentem Francji. To jest komentarz prestiżowego filmu historycznego! O ukrywaniu wszelkich kontrowersji już nie wspomnę!".

„Wartością filmu są historyczne taśmy! Nie komentarze i narracja! Dmowski, jego ujęcia i zbliżenia kamery – fantastyczne. Haller – jakby grał siebie w filmie! Żeligowski – chociaż filmik chyba z Londynu z II wojny światowej – też cudowny. Ożyli nam bohatery! Zwłaszcza ci pomniejszani i wymazywani z Dmowskim na czele. Brakowało Witosa, Dowbora, Korfantego... Może nie ma za wiele w archiwach" – nie ma wątpliwości historyk Sławomir Cenckiewicz.

Film wyprodukowała firma MWM Media przy współpracy z Telewizją Polsat, Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Filmoteką Narodową – Instytutem Audiowizualnym. Jednak na początku wcale nie było łatwo znaleźć partnerów do produkcji.

– Gdy zaczynaliśmy pracę trzy lata temu, nikt nie chciał z nami rozmawiać. Pomysł wydawał się abstrakcyjny. Gdy mówiliśmy „archiwalia", rozmówcy z powątpiewaniem kręcili głowami, mając w wyobraźni poruszające się w przyspieszonym tempie czarno-białe postaci, dziwnie kadrowane, sprowadzające się do trzech znanych wszystkim ujęć. Pierwszą osobą, która połapała się, że mamy coś więcej, był pan Zygmunt Solorz. Dość długo prace finansowaliśmy sami, ale przychodzi taki moment, że każdy dom produkcyjny zadaje sobie pytanie: co dalej? Czy znajdziemy na to klienta. I pierwszą osobą, której zaświeciły się oczy po obejrzeniu 10 min próbnego materiału, był właśnie szef Polsatu – wspomina Mirosław Bork.

> Dotarliśmy do taśm, które przez sto lat leżały w magazynach niemieckich, francuskich, rosyjskich, nawet ukraińskich – opowiada producent filmu

Dziś wielu jest pod wrażeniem. Krytyk filmowy Łukasz Adamski (krytyk roku według PISF) nie ma wątpliwości, że „Niepodległość" ma szanse na prestiżowe nagrody filmowe.

– „Niepodległość" jest tak zjawiskowym technicznie filmem, że ma szanse na najwyższe uznanie na rynkach zagranicznych. Przy odpowiednio mocnej promocji w USA nie wykluczam realnej szansy na walkę w kategorii dokument w Złotych Globach czy Oscarach. Polskie kino ma obecnie świetną prasę na świecie, więc można się pokusić o promocję tak dobrze zrobionego technicznie filmu – mówi Adamski.

A gdy tylko twórcom uda się poprawić wytykane przez historyków błędy, film powinien się stać obowiązkowym elementem lekcji historii w szkołach.

eprasa.pl c32ec8e9ed



Specustawa dla Pałacu Saskiego

Setna rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości przyniosła wiele wydarzeń, koncertów, festiwali i wystaw. Ale wszystko to minęło i powraca pytanie o coś trwałego, co pozostanie po tak dużej i ważnej rocznicy. Czy takim pomnikiem niepodległości będzie Pałac Saski, którego odbudowa jest obecnie planowana?



MARCIN FIJOŁEK

Odbudowa Pałacu Saskiego to temat, który regularnie wraca do debaty publicznej w Warszawie. Trudno się temu dziwić – gmach wybudowany w XVII w. przez poetę Jana Andrzeja Morsztyna (a zburzony przez Niemców w grudniu 1944 r.) jest nie tylko obiektem westchnień miłośników historii stolicy i architektury, lecz również pięknym symbolem ciągłości polskiej państwowości.

Nawiązując do wszystkich tych kwestii, prezydent Andrzej Duda – w setną rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę – podpisał deklarację o restytucji Pałacu Saskiego. Pytaniem otwartym jest to, w jaki sposób te piękne obietnice i wielkie słowa przełożą się na konkret. Tygodnik „Sieci" zajrzał za kulisy rozmów na ten temat. Co wiemy w sprawie odbudowy pałacu?

NAJPIERW PRZEPISY

Kilka lat temu z pomysłem na restytucję tego gmachu zgłosiło się do Pałacu Prezydenckiego stowarzyszenie Saski 2018, od lat lobbujące za pomysłem odbudowy tej pięknej budowli.

– Chcieliśmy, by temat ten był uwzględniony w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości. Pisaliśmy listy do wszystkich władz w Polsce: od samorządu, przez parlament i rząd, po prezydenta – mówi nam Jerzy Bombczyński z kierownictwa wspomnianego stowarzyszenia. Apele trafiły na podatny grunt, a deklaracja głowy państwa jest tego efektem. Ale to właśnie moment, gdy tak naprawdę zaczynają się schody, a przynajmniej mogą się zacząć. Wstępny plan został przedstawiony na posiedzeniu komitetu ds. obchodów, a tam idea spotkała się ze zgodą wszystkich, także przedstawicieli opozycji.

Idee trzeba jednak przekuć w konkrety. W tym celu od dobrych kilku miesięcy trwały spotkania robocze polityków rządu, Pałacu Prezydenckiego i przedstawicieli wojewody. Wszystko po to, by potencjalne przeszkody administracyjne nie zablokowały tego przedsięwzięcia. – To na poziomie formalno-prawnym mamy najwięcej potencjalnych pułapek. W związku z tym planowany jest projekt specjalnej ustawy, która byłaby poświęcona całej sprawie odbudowy Pałacu Saskiego – mówi tygodnikowi „Sieci" Wojciech Kolarski z Kancelarii Prezydenta.

eprasa.pl c32ec8e9ed



Wizualizacja Pałacu Saskiego przygotowana przez SkyConcept

Fot. Mat. prasowe SkyConcept

Z naszych ustaleń wynika, że treść tej ustawy mielibyśmy poznać do końca roku – zimą trafiłaby ona do laski marszałkowskiej, a następnie mogłaby zostać przyjęta przez parlament.

Ze wstępnych założeń projektu, które widzieliśmy, wynika, że sprawa odbudowy Pałacu Saskiego zostałaby przekazana w ręce specjalnie powołanej spółki celowej (pod nadzorem Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego), a także radzie kuratorów, która dopilnowałaby procesu od strony historycznej i architektonicznej.

KOSZT ODBUDOWY

Wśród kluczowych pytań, które pojawiają się wokół idei odbudowy Pałacu Saskiego, są te o koszt i czas przedsięwzięcia. Premier Mateusz Morawiecki jednoznacznie zadeklarował, że w budżecie państwa znajdą się odpowiednie środki, które pozwolą na wykonanie tego zadania – a mowa tutaj o pieniądzach na poziomie 600–800 mln zł, w porywach do miliarda. Mówi się także o zbiórce społecznej, która mogłaby nadać oddolny charakter całemu pomysłowi. Skąd jednak te różnice w liczbach i rozstrzał w szacunkach? W tym miejscu musimy chwilę podumać nad architekturą: nieistniejąca pierzeja placu Piłsudskiego to trzy elementy: pałac Brühla, w którym przed wojną przy ul. Wierzbowej mieściło się Ministerstwo Spraw Zagranicznych; Pałac Saski, który należał do wojska, a jego częścią był Grób Nieznanego Żołnierza, oraz kamienice przy ul. Królewskiej.

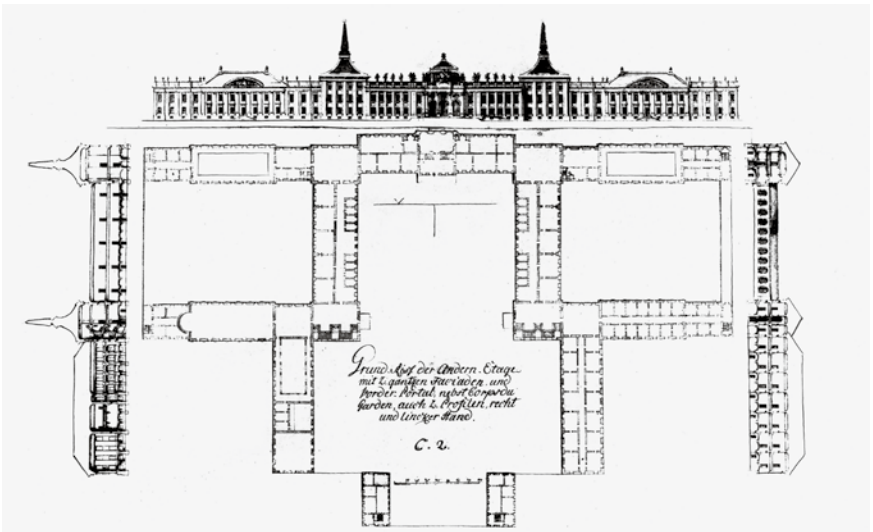
– Na dziś na pewno mówimy o Pałacu Saskim i poważnie rozważana jest odbudowa kamienic. Pałac Brühla mógłby być odłożony na kolejny etap, bo to specyficzna budowla – barokowy gmach, którego koszty odbudowy byłyby ogromne – mówi nam osoba znająca kulisy przygotowań. To właśnie od skali odbudowy zależy koszt całego przedsięwzięcia, które – jeśli nic nie stanie na przeszkodzie – mogłoby zostać zrealizowane do 2022–2023 r. – Tak naprawdę najtrudniejsze będą prace projektowe, sama odbudowa nie powinna być skomplikowana – słyszymy.



Pałac Saski w dwudziestoleciu międzywojennym

Fot. Biblioteka Narodowa

eprasa.pl c32ec8e9ed



Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Szkic planu Pałacu Saskiego ze zbiorów archiwum państwowego Królestwa Saskiego w Dreźnie

TRZASKOWSKI NIE MÓWI NIE

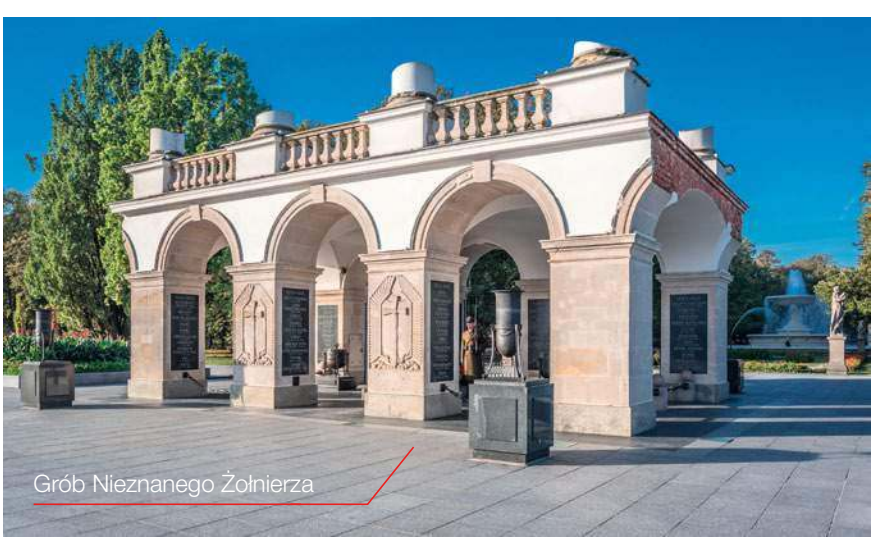
Trzeba pamiętać, że inicjatywa odbudowy nie jest nowa. Prezydent Lech Kaczyński – w czasach jego pracy w warszawskim ratuszu – zainaugurował restytucję Pałacu Saskiego, zagospodarował środki w budżecie, a w roku 2006 zostały nawet odsłonięte piwnice i fundamenty będące reliktami pałacu Morsztyna z XVII w. Mimo rozpoczętych prac następczyni Lecha Kaczyńskiego Hanna Gronkiewicz-Waltz wstrzymała odbudowę, zasypując odkopane fundamenty i przekonując, że Warszawy po prostu nie stać na tego rodzaju wyzwania. W ciągu długich 12 lat rządów Platformy Obywatelskiej w stolicy temat raz po raz wracał, zgłaszany także przez urzędników ratusza, ale nigdy nie przekładał się na konkrety.

Czy i tym razem nie czeka nas podobny scenariusz? Z jednej strony trzeba zapytać o nastawienie stołecznego ratusza (z nowym prezydentem Rafałem Trzaskowskim), z drugiej z kolei jesteśmy w stanie wyobrazić sobie, że zmiana ministra, rządu czy prezydenta może spowodować, iż wielka idea odbudowy ugrzęźnie w papierologii, problemach finansowych i ogólnym marazmie.

Wicepremier Piotr Gliński, szef resortu kultury, nie ma wątpliwości: „Chcemy architektonicznie zamknąć tę przestrzeń. Szybko przygotujemy podstawę prawną, by nikt nie przeszkadzał nam w tym pięknym dziele. Koniec już takich postaw: Polski nie stać, by kłócić się o głupstwa" – przekonywał w rozmowie z telewizją wPolsce.pl.

Ale i sam Trzaskowski nie jest nastawiony negatywnie. Z otoczenia nowego prezydenta miasta płynie sygnał, który można interpretować jednoznacznie: trzeba rozmawiać. „Jestem otwarty na dialog i nawet jeśli rząd chce odbudować Pałac Saski i wybudować mi tam ratusz, to ja jestem gotowy do rozmów. Bo to jest teren miejski, więc rząd musi rozmawiać z samorządem" – powiedział Trzaskowski w rozmowie z „Super Expressem".

Z naszych ustaleń wynika, iż mimo że zgoda samorządu nie jest wymagana, to Trzaskowski ma wkrótce otrzymać zaproszenie do Pałacu Prezydenckiego – wszystko po to, by idea odbudowy Pałacu Saskiego była maksymalnie ponadpartyjna, nieotwierająca kolejnych sporów. Czy to jednak możliwe w czasie kolejnych kampanii wyborczych i gorącego konfliktu między dwiema największymi partiami?



Fot. Shutterstock

Grób Nieznanego Żołnierza

CZEMU PAŁAC MA SŁUŻYĆ?

W tle sprawy jest jeszcze jedno pytanie: o to, co miałoby się mieścić w odbudowanym Pałacu Saskim. Przedstawiciele prezydenta Andrzeja Dudy, ale i administracji rządowej nie chcą – przynajmniej na razie – jednoznacznie wskazywać takiego celu.

– To mogłoby osłabić ideę odbudowy: sprowadzilibyśmy rozmowę do tego, że odbudowujemy MSZ czy że może stworzymy tam jakieś muzeum. A to nie o to chodzi. Dlatego debatę na celowość odbudowy Saskiego pozostawmy na kolejne miesiące, w których będziemy projektować całe przedsięwzięcie – tłumaczy w rozmowie z „Sieci" Wojciech Kolarski. Na dziś wiemy jedno – ma być to gmach publiczny, państwowy, ale i otwarty dla wszystkich obywateli. Zarazem pomysłodawcy chcą, by odbudowany Saski był także hołdem złożonym Janowi Zachwatowiczowi i jego uporowi w projektowaniu odbudowanej Warszawy.

Najbliższe tygodnie pokażą, czy obozowi rządowemu wystarczy determinacji w tej sprawie – zarazem to test, czy polskie państwo stać na to, by rzeczywiście w roku 2022 lub 2023 otworzyć piękny gmach na pl. Piłsudskiego. Nawet jeśli miałoby zmusić to do stanięcia w jednym szeregu osób z dwóch stron sporu politycznego.

eprasa.pl c32ec8e9ed

SIECI

Odc. 11 / 12

Cykl dodatków o niezwykłych ludziach, którym Polska zawdzięcza niepodległość



Orlęta Lwowskie

Dzieciaki, które chwyciły za broń

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

MECENAS DODATKU

PZU

PARTNERZY DODATKU

ALIOR BANK

Bank Pekao

LOTOS

PWPW POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

fot. Biblioteka Narodowa

eprasa.pl c32ec8e9ed

W stulecie obrony Lwowa

Tomasz Łysiak

Orlęta Lwowskie. Te dwa słowa zawsze poruszały nasze serca. Te dwa słowa powodowały, że ze łzami w oczach stawaliśmy prawie na baczność – bo w nich było zawarte wszystko, co by się chciało powiedzieć, napisać, odmalować o miłości do ojczyzny. Jeśli Orlę Lwowskie spoczywa w Grobie Nieznanego Żołnierza, to dlatego, iż jego ofiara dla nas, Polaków, znaczy tyle, ile symbol najwyższego poświęcenia, tym większego, że dokonanego w chwili, gdy życie dopiero się budziło i zaczynało rozwijać

Te dzieciaki, które chwyciły za broń w obronie Lwowa, kiedy Polski jeszcze nie było, kiedy dopiero powstawała z grobu, wyrosły na bohaterów najwyższej rangi – dzisiaj w panteonie naszych dziejów idą wyprostowani, w jednym szeregu z husarzami spod Wiednia, ułanami spod Somosierry i Rokitny, obrońcami Jasnej Góry, bohaterami wojny polsko-bolszewickiej i herosami Powstania Warszawskiego, są tam, gdzie herbertowscy obrońcy „królestwa bez kresu i miasta popiołów". Zawsze wierni. Jak dewiza miasta, którego bronili. W stulecie ich walki – oddajmy im cześć!

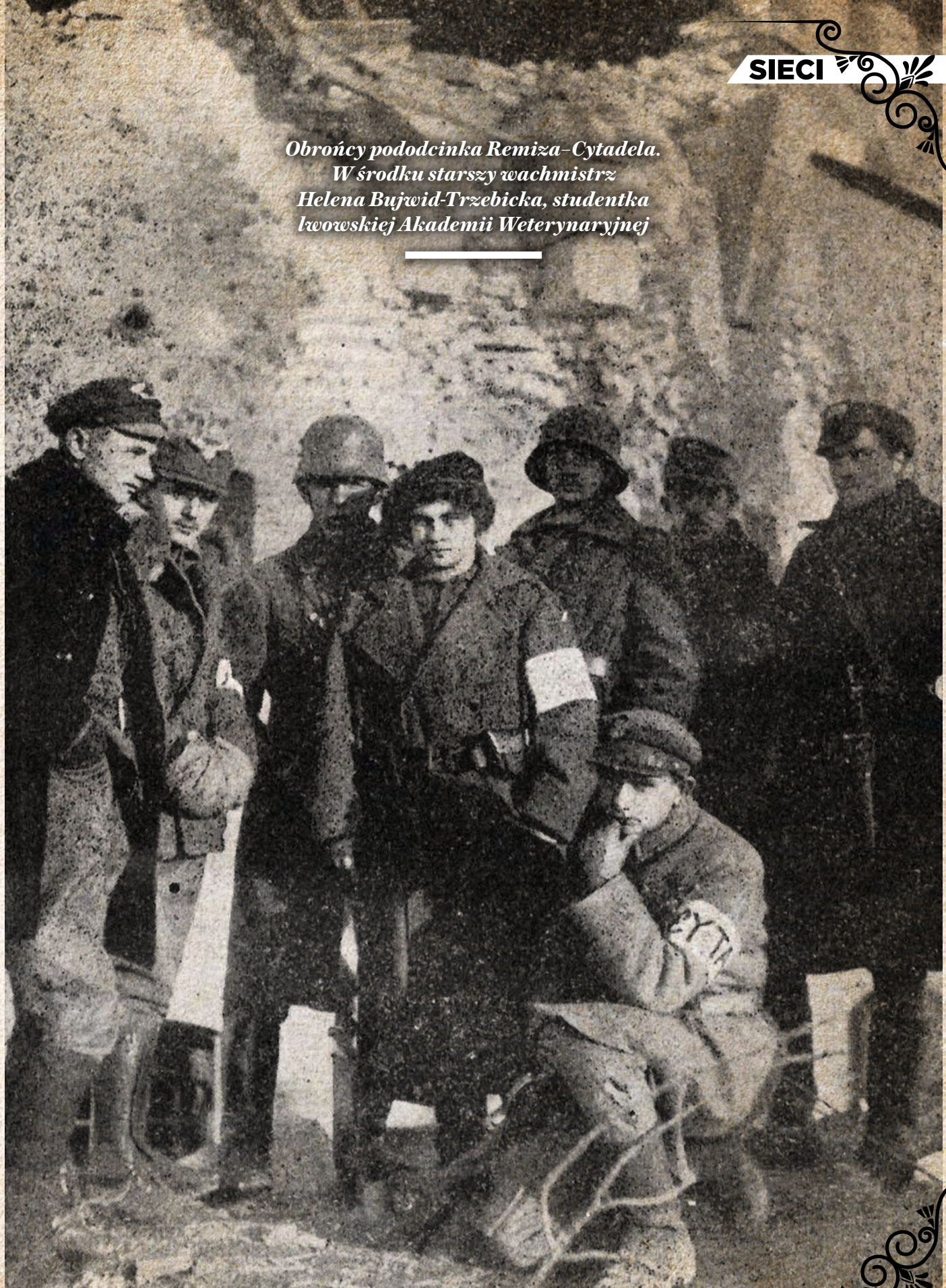
Walki o Lwów wybuchły w nocy z 31 października na 1 listopada 1918 r. Państwo polskie jeszcze nie istniało i jeszcze toczyły się zmagania wojenne – dopiero kilka dni później nad liniami niemieckimi na froncie zachodnim miały się pojawić białe flagi. Piłsudski ciągle przebywał w niemieckiej niewoli. Na razie pojawiły się tylko pierwsze jaskółki odradzającej się państwowości – w Lublinie powstał rząd ludowy Daszyńskiego, w Krakowie Polska Komisja Likwidacyjna. Od czasu traktatu brzeskiego z lutego 1918 r. sprawa ukraińska stawała się dla Polaków coraz bardziej paląca. Austriacy – nasi „sprzymierzeńcy" legionowi, wobec których lojalnie zachowała się duża część Legionów nawet po kryzysie przysięgowym – wielką część Galicji aż po Chełmszczyznę przyznawała nowo powstającemu ukraińskiemu państwu. Bunt II Brygady, walki pod Rarańczą to istotny epizod naszych walk o niepodległość. Narastający konflikt między Ukraińską Republiką Ludową a powstającym dopiero państwem polskim miał wybuchnąć właśnie na początku listopada we Lwowie.

Raport Strońskiego

Ukraiński atak i przejęcie miasta nastąpiły w wyniku trwającej od dłuższego czasu współpracy najpierw Niemców, a potem Austriaków – z Ukraińcami. Gdy 31 października 1918 r. Stanisław Stroński, dziennikarz endecki, przyjechał do Lwowa z Krakowa, zapisał: „W nocy z 31 października na 1 listopada 1918 pułki i oddziały ruskie [czyli ukraińskie – przyp. T.Ł.] wojska austriackiego, stojące we Lwowie, przeszły pod rozkazy Ukraińskiej Rady Narodowej i zajęły miasto. Od rana 1-go listopada Czesław Mączyński, b. oficer artylerii w wojsku austriackim, przystąpił do tworzenia siły obronnej polskiej i walki o Lwów". Stroński przeszedł z zajętego przez Rusinów śródmieścia, przez park Stryjeński, na tzw. polską stronę, dotarł do Naczelnej Komendy Wojska Polskiego i 7 listopada w trakcie wieczornej narady u Tadeusza Cieńskiego dowiedział się, iż ma w specjalnej misji udać się z powrotem do Krakowa, by żądać posiłków. Walka bowiem rozpoczęta została z garstką ludzi wobec dobrze zorganizowanych i uzbrojonych oddziałów ukraińskich, w dodatku objętych swego rodzaju opieką przez garnizon austriacki, który po prostu nie reagował, gdy dokonywano jawnego zamachu, strzelano do Polaków i zajmowano urzędy. Następnego dnia dziennikarz poleciał z pilotem Stecem do Krakowa, a stamtąd udał się do Paryża.

Właśnie wtedy, gdy cały świat cieszył się i radował z powodu zakończenia działań wojennych i czekał na podpisanie traktatów pokojowych, na Rusi wybuchła prawdziwa wojna. Polska musiała się bić o swoje granice, jeszcze zanim Piłsudski

eprasa.pl/c32ec8e9ed



Obrońcy pododcinka Remiza–Cytadela. W środku starszy wachmistrz Helena Bujwid-Trzebicka, studentka lwowskiej Akademii Weterynaryjnej

fot. Biblioteka Narodowa

eprasa.pl e32ec3e9ed

otrzymał od Rady Regencyjnej misję tworzenia rządu. Gdy więc w Warszawie powoływano najpierw gabinet Daszyńskiego, a potem rząd Moraczewskiego, gdy Piłsudski 16 listopada wysyłał do szefów państw słynną depeszę notyfikującą istnienie państwa polskiego, nasze społeczeństwo musiało zdawać najtrudniejszy egzamin obywatelski – chwycić za broń w zaatakowanym Lwowie. A ponieważ sił wojskowych było zbyt mało – niewielkie oddziały Polskiej Organizacji Wojskowej, Polskich Kadr Wojskowych, Polskiego Korpusu Posiłkowego i trochę byłych legionistów – to walczyć musieli wszyscy: mężczyźni, kobiety, starsi i, jak się wkrótce okazało, także nastolatki, a nierzadko dzieci. Tekst Strońskiego alarmujący o wydarzeniach we Lwowie ukazał się w listopadowo-grudniowym wydaniu „Indépendance Polonaise" i stanowił napisany na bieżąco raport, oparty zarówno na własnych doświadczeniach, jak i pewnych ujawnionych dokumentach. Stroński zacytował ich kilka, m.in. korespondencję Ukraińskiej Rady Narodowej do rządu austriackiego z prośbą o przemieszczenie oddziałów ukraińskich do Galicji wschodniej, a także żądania o ewidentnej wymowie, takie jak: „Spośród oficerów, którzy mają być przydzieleni, należy bezwarunkowo usunąć Polaków i Czechów". I tak się stało – władze wojskowe pod koniec października zaczęły przesuwać oddziały ukraińskie w okolice Lwowa, nakazując Polakom „oddanie materiału wojennego Ukraińcom" (napisano m.in. w telegramie Ministerstwa Wojny do komendy we Włodzimierzu Wołyńskim). Gen. Pfeffer, austro-węgierski komendant we Lwowie, 31 października oddał Ukraińcom kasarnie, broń i składy amunicji. Swój raport o wydarzeniach zakończył Stroński tak: „Dnia 1-go listopada rano Czesław Mączyński, który stanął na czele obrony miasta, miał tylko 64 żołnierzy młodocianych, pomieszczonych w szkole Sienkiewicza, których Rusini nie zdołali rozbroić. Gdy ci zdobyli pierwszy skład broni, od razu ile karabinów, tylu było dalej żołnierzy. I z tej garstki 64 żołnierzy polskich w mieście zajętem przez 10 000 żołnierzy rusko-ukraińskich, urosła w lot obrona, która po trzech dniach miała w ręku już połowę



Stanisław Stroński

fot. NAC

miasta, uwolnionego całkowicie 22 listopada 1918.

Ale we wschodniej części b. zaboru austriackiego walka trwa.

Dlaczego? Bo Niemcy postanowili osłabić odradzającą się Polskę i stworzyć jej trudności koło Lwowa, aby nie miała sił do działania w Poznańskiem i w Gdańsku, a także postanowili zapewnić sobie, po swych szerokich zamysłach w stronę Kijowa i Odessy, także na przyszłość bazę wypadową przez stworzenie z Galicji wschodniej kraju w ręku swych przyjaciół Rusinów ze Stronnictwa Ukraińskiego".

Szkoła Sienkiewicza

Kapitan Czesław Mączyński, były członek Drużyn Bartoszowych, żołnierz c.k. artylerii, pod koniec komendant Polskich Kadr Wojskowych we Lwowie, objął szefowanie Naczelnej Komendzie Wojsk Polskich, usiłując zapanować nad chaosem, który był wynikiem nieskoordynowanych działań różnych polskich organizacji. W swoich wspomnieniach o obronie Lwowa odmalował nie tylko przebieg wydarzeń, lecz także niesamowity nastrój tamtych dni. Oto na przykład pierwsze godziny upłynęły z jednej strony na próbach organizowania się obrony polskiej (złożonej z konspiratorów i żołnierzy kilku organizacji), a z drugiej na dość nieoczekiwanej reakcji ludności cywilnej, która dopóki nie zorientowała się, że przelewana jest krew, nastawiona była wobec wydarzeń raczej lekko: „Większość, ale to bardzo znaczna większość tzw. publiczności traktowała humorystycznie i z sarkazmem przechodzące patrole ruskie. Padały obfite i głośne docinki, poprawiano niektórym karabiny, nieprzepisowo niesione, spychano ich z chodników na ulice itd. itd. Uważano to za szopkę jakąś czy maskaradę karnawałową, mimo gęsto padających już wówczas strzałów rozbestwionego hajdamactwa ruskiego". Ale już wkrótce Polacy zderzyli się z rzeczywistością. „Zaczerwieniły się jednak obficie krwią bruki Lwowa już od pierwszych strzałów – pisał Mączyński – polała się niewinna krew polska w kilku miejscach, a obfite jej ślady – oglądane ze zgrozą i przejęciem – dawały przedsmak ukraińskich w mieście polskim rządów. Rozpoczęły długą litanię nowej martyrologii polskiej, litanię w setki idącą, niewinnie, bez celu i bez sensu jakiegokolwiek pomordowanych". Nasza obrona, szczególnie na początku, była dość spontaniczna. Pierwsze ogniska oporu to m.in. słynna już placówka polska w szkole im. Henryka Sienkiewicza. Kapitan Karol Baczyński, dowódca piątego odcinka w tejże szkole, wspominał, że 31 października spał zmęczony, zziębnięty, utrudzony wielogodzinną drogą z Warszawy: „1 listopada 1918 roku o godz. 7-ej rano przyszedł do

eprasa.pl/c32ec8e9ed

mnie student z VII klasy gimnazjalnej i wręczył mi wezwanie, bym natychmiast zjawił się uzbrojony w Czytelni Akademickiej przy ul. Łozińskiego 7. Na zapytanie, co to ma znaczyć, odpowiedział mi, że Ukraińcy wykonali w nocy zamach stanu i zajęli Lwów. Zerwałem się natychmiast z łóżka, ubrałem się w mundur legionowy i wziąwszy karabin i naboje, wyruszyłem z ul. Ochronek do Czytelni...". Najpierw dotarł do polskiej komendy, a potem, zabierając oddział 12 ludzi, udał się na piąty odcinek zw. Szkołą Sienkiewicza. Tam zastał spore zamieszanie, nie wiedziano, czy dowodzić ma dotychczasowy dowódca kpt. Trześniowski, który wyjechał do Rzęsny Polskiej, czy też kpt. Baczyński. Powrót do komendy przyniósł nowe wieści – trzy odcinki, w tym piąty, przechodzą pod rozkazy Boruty-Spiechowicza. Baczyński wraz z Borutą-Spiechowiczem zajęli się więc wspólnie organizacją obrony w szkole. „Zwożono zdobyte na Ukraińcach auta i wozy, które zaraz używano do zwożenia mundurów, broni, amunicji i prowiantów. Tu ubierano i uzbrajano ochotników. Tu ich wszystkich żywiono. Stąd wychodziły wszystkie rozkazy na cały teren Lwowa, obsadzony przez Polaków i tu odbierano wszystkie raporty, które następnie odsyłano do Naczelnej Komendy. Tu zorganizowano tabor, park automobilowy, stację opatrunkową, oddział telefoniczny, izbę chorych, oddział żandarmerii polowej i oddział rachunkowy i ewidencyjny, które nam następnie Naczelne Dowództwo odebrało. Tu trzymano wszystkich jeńców ukraińskich i podejrzanych o szpiegostwo Rusinów". We wspomnieniach Baczyński wymienia z imienia i nazwiska kilkudziesięciu żołnierzy, patriotów i obrońców Lwowa, którzy brali udział w walkach w szkole Sienkiewicza. Licznie stawiły się kobiety.

Walka o każdy próg

Ale najciekawszy jest opis działań bojowych, odbijania z rąk ukraińskich kolejnych ulic i obiektów. Oto 3 listopada Dworzec Główny zdobyli por. Deschu, por. Schramm i ppor. Nittman z grupą 30 ludzi. Tego samego dnia do miasta wkroczyły posiłki ukraińskie – trzy sotnie Legionu Ukraińskich Strzelców Siczowych – powiększając się jeszcze w następnych dniach o ochotników ze Złoczowa, Kamionki Strumiłowej i Rawy Ruskiej, co podniosło liczbę sił ruskich do poziomu ok. 2,3 tys. Dynamika działań była niesamowita – walczono o budynki, ulice, szkoły, urzędy. „Wieczorem tegoż dnia Ukraińcy podeszli znienacka ze Skniłowa, uderzyli na Dworzec Główny i obsadzili go znowu, biorąc dowódcę załogi do niewoli. Walki trwały przez cały dzień i noc na wszystkich ulicach. Posuwaliśmy się mimo to ciągle naprzód, zdobywając jedną ulicę po drugiej. Dnia 4 listopada oddział dr. Abrahama, ściągnięty rozkazem kpt. Boruty-Spiechowicza z Góry Stracenia, zaatakował Dworzec Główny i odebrał go z powrotem. Por. Bujalski z małym oddziałem odrzucił wielokrotnie przewyższający go liczebnie oddział ukraińskich strzelców poza tor kolei czerniowieckiej. Zajęto Szkołę Kadecką, ul. Kopernika i Sykstuską aż po gmach Gł. Poczty, okrążono Cytadelę, wzięto ulicę Kaleczą, ul. Gródecką aż po koszary Ferdynanda, ul. Kleparowską, Janowską Dolną i Górę Stracenia, tudzież w części i ogród Jezuicki. Dnia tego popołudniu odparto koncentryczny atak dużych sił ukraińskich na Dom Techników, uderzając na ich siły od strony Kulparkowa z plutonem z 30 ludzi".

To jedynie część opisów zmagań o miasto, roją się od nich wszystkie wspomnienia z listopadowych walk o Lwów. Co jeszcze robi wielkie wrażenie na współczesnym czytelniku – to ten ujawniający się, niejako mimochodem, polski charakter miasta. Lwów był przecież od stuleci, poza Warszawą czy Krakowem, jedną ze stolic polskiej kultury. Ta polskość aż bije w oczy – z każdej nazwy, z każdego miana, jakie nosiły ulice....

A pośród tego zgiełku bitewnego, pośród świszczących kul, wybuchających granatów i jęków rannych, przez cały czas trwania obrony, już od samego wstępu, przez kolejne etapy, odzyskiwanie ważnych punktów, koszar, Szkoły Kadeckiej, dyrekcji policji czy rzeźni, potem walki typowo pozycyjne, obronne, aż do 22 listopada i nawet później, w trwającej do maja wojnie z Ukraińcami, w boju stawali dzielnie mali obrońcy miasta. Orlęta Lwowskie!



Kapitan Karol Baczyński

fot. Biblioteka Narodowa

W ten dzień dojrzałeś

W jednej z najpiękniejszych o nich książek, zatytułowanej po prostu „Orlęta", Artur Schröder opisał w zbeletryzowany sposób czyn lwowskiej młodzieży. Opowiadania o kolejnych lwowskich chłopakach, którzy walczą z Ukraińcami, stały się w dwudziestoleciu wojennym swego rodzaju patriotyczną, obowiązkową „czytanką", na której uczyły się kolejne pokolenia. We wstępie zatytułowanym „Drogi Mały Obywatelu!", a skierowanym do Orlęcia, pisał autor o ścieżkach Kmicica, Skrzetuskiego czy księcia Poniatowskiego, o wzorcach pozostawionych przez powstańców styczniowych. A potem zwracał się do młodziutkiego bohatera tak: „Biło Ci żywiej serce i rwały się Twoje młode ręce do czynu, za mały jednak byłeś, za słaby jeszcze – jak powiadali. Aż oto pewnego poranka miasto Twoje ukochane napadł i zajął nieprzyjaciel – ten Lwów prastary, który z dumą nosi miano kresowej strażnicy. Przerażone oczy Twoje patrzały na gwałty i znęcania się, ujrzałeś trupy niewinnych ofiar przed kościołami i na chodnikach. I w ten dzień dojrzałeś. Szarpnęło

eprasa.pl c52ec3e9ed



Żołnierze i mieszkańcy Lwowa na rynku

fot. NAC

się serce w piersiach Twoich, ścisnęły się małe pięści Twoje, przypomnienie Częstochowy, Zbaraża, Kamieńca, sił Ci dodało, przeszłość zawołała mocnym głosem – poczułeś się obywatelem Rzeczypospolitej i tego skrawka świętego Rzeczypospolitej bronić postanowiłeś do ostatka. Ty, mały, wątły, niewyrosły, stałeś się żołnierzem, który już dawno nie na darmo śpiewał: »Nie damy ziemi!«". Zanim przejdziemy do postaci znanych nam z imienia i nazwiska Orląt, które stały się ozdobą naszych dziejów, zerknijmy, jak wyglądały lwowskie, zbeletryzowane relacje Schrödera.

W rozdziale „Staszek" pisze tak:

„W komendzie dworca dostaliśmy posiłek i koniak. Mały, który z kapralem był pod Podzamczem, stał teraz skromnie w kącie, wsparty o karabin. Koniec lufy sterczał mu nad jasną głowiną.

– A ty co? – zapytał go przechodzący porucznik.

– Staszek – odpowiedział, prostując się i nie wymieniając nazwiska. – Wróciłem z patrolu.

– A karabin udźwigniesz? – rzucił ktoś z kąta.

– Czemu nie, nie ciężki.

– No, no!

– Znam go – zwrócił się do mnie jeden z kolejarzy – od dwu dni już tu jest. Sprytny, tylko tak obładowany patronami, że ledwo się rusza. O, popatrzcie!

Podszedł do chłopca i uderzył go po kieszeniach. Zadźwięczały gilzy od ładunków.

– Zawsze mu tego za mało. Jeszcze mu kiedy od ciężaru portki zlecą".

W następnym opowiadaniu „Po kolei" znajdujemy taki fragment: „W bramie pocztowej zachybotała się postać strzelającego chłopca, podniósł jeszcze karabin, lecz ręce już opadły, skręcił się i usunął się cicho obok zabitego poprzednika.

Zza wyłomu, jak widmo, natychmiast wysunęła się nowa postać, taka jak tamci, rówieśnik.

Szybko odsunął ciało jednego z poległych, oparł się na drugiem i podniósł karabin do oczu. Za sobą usłyszałem płacz:

– Boże, Boże! Dzieci...

Wyprowadziłem szlochającą nerwowo żonę do przedpokoju".

eprasa.pl/c32ec8e9ed

Obowiązkiem moim jest pójść

W obronie Lwowa biło się wielu młodych ludzi. Na prawie 6 tys. walczących w listopadzie 1918 r. blisko połowę (ok. 2,6 tys. osób) stanowiła młodzież. 1374 z nich to uczniowie szkół powszechnych i średnich, a także studenci. W sumie w obronie Lwowa poległo bohaterską śmiercią 439 żołnierzy i członków służby sanitarnej. A znowu w tej grupie było 120 uczniów i 76 studentów wyższych uczelni. Ci najmłodsi ginęli czasem przez niepotrzebną, młodzieńczą brawurę. Jednak, jak podkreślało wielu, gdyby nie ich czyn – mający także znaczenie psychologiczne dla dorosłych Polaków, zagrzewający do boju i zmuszający innych do wysiłku, przy tak słabej liczebnie, pozbawionej bardzo długo wsparcia zewnętrznego obronie – miasta nie udałoby się utrzymać.

W książce „Ruski miesiąc, 1/XI-22/XI 1918: ilustrowany opis walk listopadowych we Lwowie" znajdujemy Orlęta wymieniane z nazwiska: „Bohaterski czyn ucznia VIII kl. gimn. Banasia, jednego z pierwszych, którzy walczyli w najbardziej zagrożonych placówkach, opisywała swego czasu »Pobudka«. Podczas walk o Sejm pada ranny por. Leg. Artwiński, otrzymując postrzał w rękę i nogę. Banaś, nie zważając, iż lada chwila sam może się dostać do niewoli, wśród gradu kul, zasypujących cały plac przed Sejmem, bierze na ręce rannego kolegę i z ciężarem tym, przerastającym jego wątłe siły, przebiega aż w górę ul. Mickiewicza, gdzie oddaje go w ręce sanitariuszy".

Jurek Bitschan był jednym z najmłodszych obrońców Lwowa. Urodził się 29 listopada w Czeladzi-Pisakach, a mieszkał na Kulparkowie. Był uczniem szóstej klasy im. Jordana i oczywiście harcerzem, należał do II lwowskiej drużyny. Jego ojczym Roman Zagórski był lekarzem, mama – Aleksandra Bitschan-Zagórska – organizowała później Ligę Kobiecą. „Od najmłodszych lat wykazywał temperament wzniosły, zamknięty w sobie – czytamy w „Ruskim miesiącu" – skłonny do poświęcenia, inteligencję wrażliwą i wyczuloną wyobraźnię. Od pierwszych dni zamachu ukraińskiego wyrywał się z rodzicielskiego domu, ażeby przejść na stronę walczących i jedynie perswazjami, że jest jeszcze za młody i przedstawianiem, jaką boleść zadałby rodzicom swą nieobecnością, zdołano go zatrzymać w domu. W dniu 20 listopada wreszcie, pomimo wszystko, nie mogąc już dłużej pozostać w bezpiecznym schronieniu, gdy wiedział, że inni padają, opuścił tajemnie mieszkanie rodziców, zostawiając krótki list do ojczyma".

Nie da się dzisiaj bez wzruszenia czytać tego liściku. „Tatusiu! Idę dzisiaj zameldować się do wojska. Chcę okazać, że znajdę tyle sił, by służyć i wytrzymać. Obowiązkiem moim jest pójść, gdy mam dość sił, bo ciągle braknie ludzi dla wyswobodzenia Lwowa. Z nauk zrobiłem już tyle, ile trzeba było. Jerzy".



Mogiły poległych na placu Bema

fot. NAC

Na tym jednak nie koniec. Chłopiec, poza listem do taty, zostawił też otwartą na biurku książkę. Były to „Śpiewy historyczne" Juliana Ursyna Niemcewicza, otwarte na stronicy z tymi strofami:

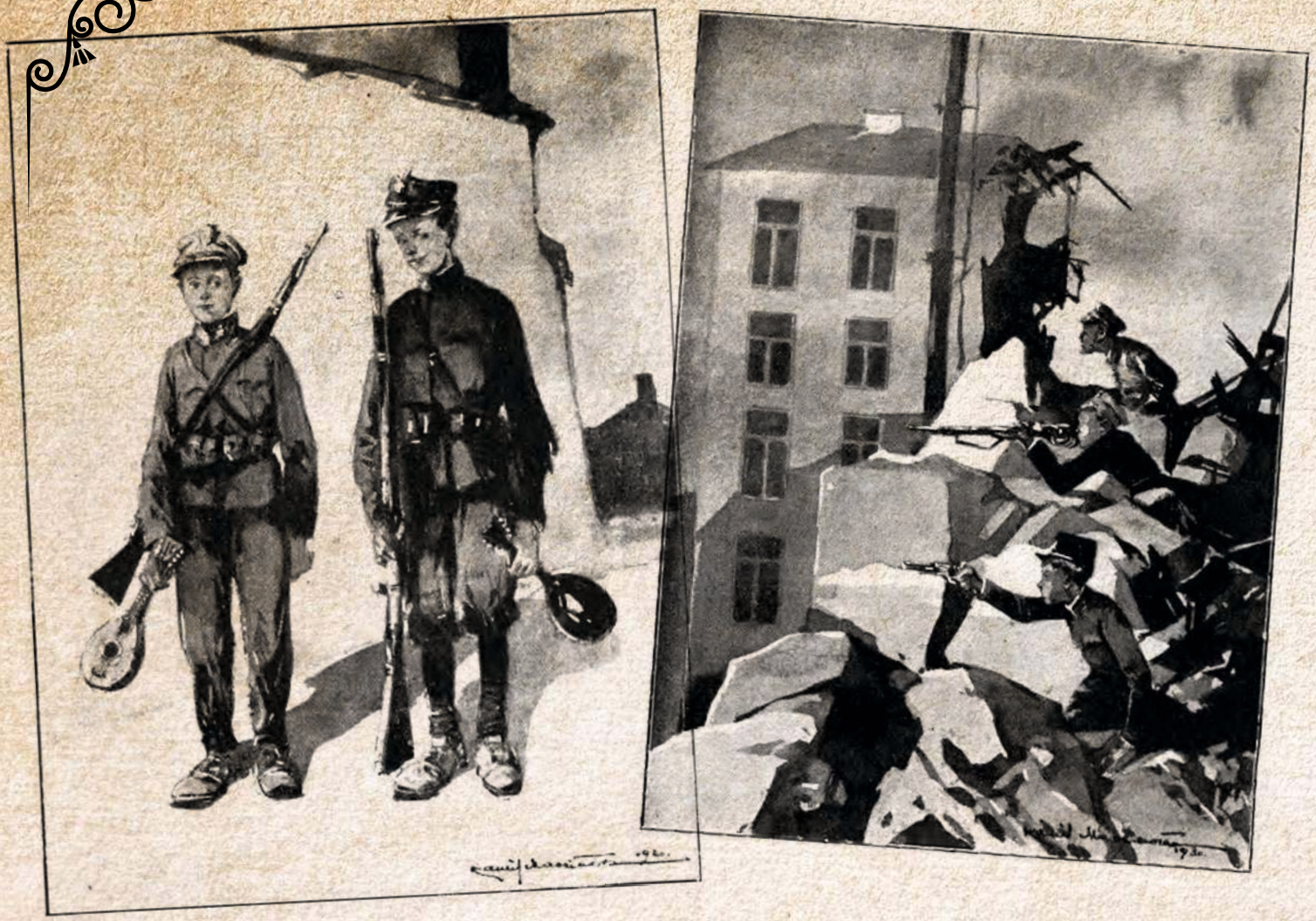
Słuchajcie, rycerze młodzi,
Żałosnej lutni jęczenia.
Niechaj w was chęć do sławy rodzi
Dawnego męstwa wspomnienia.
Słuchajcie, jak sławny wieniec
Walcząc w ojczyźnie obronie
Zyskał odważny młodzieniec
I w szlachetnym poległ zgonie

Całkiem tak, jakby tą stronicą prorokował swój los małego bohatera. Jeszcze tej samej nocy Jurek zgłosił się do służby, by pójść w bój pod komendą por. Petryego.

W pierwszym szeregu

W „Ruskim miesiącu" tak opisano jego walkę i śmierć: „Gdy ze względu na jego dziecięce lata nie chciano wziąć go do linii i postanowiono pozostawić na tyłach, śp. Jurek oświadczył, że spaliłby się ze wstydu, gdyby go miało coś podobnego spotkać. Podczas walk na cmentarzu Łyczakowskim, w chwili wypierania stamtąd nieprzyjaciela, ostrzeliwując się pomiędzy grobami, padł, otrzymawszy kulę w czoło. Według zeznań kolegów i komendanta, cały czas przebywał nieustraszenie w pierwszym szeregu walczących". Wiemy, że Jurek walczył na Kulparkowie, z relacji zaś ppor. Pluteckiego wynika, iż w nocy z 21 na 22 listopada kompania kulparkowska wykonywała rozkaz zajęcia Pohulanki i Snopkowa. Upór Jurka i chęć jego walki były faktycznie tak silne, że w końcu zezwolono mu na udział w boju, lecz pod opieką chor. Aleksandra Śliwińskiego. Po zajęciu Snopkowa Jurek miał objąć wartę. Wtedy postanowiono jeszcze wykonać śmiały atak ze strony cmentarza na placówkę ukraińską w koszarach św. Piotra i Pawła. W trakcie ostrzału ukraińskiego pociski ekrazytowe eksplodowały blisko chłopca, raniąc go w nogi. Opiekujący się

e-prasa.pl/szczecin



fot. ilustracja z książki Artura Schrödera pt. „Orlęta" (2)

nim chor. Śliwiński padł zabity strzałem w głowę. Bitschana, który odniósł jeszcze ranę głowy, zniósł z linii ppor. Plutecki. Jurek zmarł. Ukraińcy wzmogli ostrzał i Polacy musieli zrezygnować z ataku oraz wycofać się, pozostawiając zabitych i rannych. Następnego dnia, 22 listopada, zakrwawione, leżące na śniegu ciało chłopca, przykryte chryzantemami, znalazł ojczym... Pogrzeb Jurka miał uroczysty charakter. Pochowano chłopca wraz z jego opiekunem, chorążym Śliwińskim, przy wtórze salw honorowych, a jakiś czas potem ekshumowano i przeniesiono do III Katakumby na Cmentarzu Orląt Lwowskich. Jurek stał się jedną z legendarnych postaci, jednym z bohaterskich Orląt Lwowskich.

Wacław Lipiński tak napisał w książce „Wśród lwowskich orląt" o tej walczącej młodzieży: „W jasnym blasku słonecznego dnia, gdy spokojnie można się było przyjrzeć tym ku słońcu odwróconym twarzom – przerozmaite miotały duszą uczucia. Bolesny skurcz serca chwilami wdzierał się w pierś, gdy się w pełnym świetle południa widziało aż nadto wyraźnie te wychudzone, wyblakłe twarze lwowskich młodych obrońców, tych niewinnych dzieciaków, wprzągniętych w krwawą pracę wojny. Na dwudziestu ośmiu ludzi w plutonie – dziewięciu było uczniów. Najmłodszy z trzeciej – najstarsi z siódmej i ósmej. Dalej pięciu żołnierzy austriackich, zaplątanych w tę nową wojnę, gdy już po tułaczce żołnierskiej znaleźli się w domu, dwu przybłędów – legunów, którzy od roku w wiadomy im sposób unikali c. i k. wojskowych władz [...], reszta zaś to specjalna zbieranina lwowskich »batiarów« bez charakterystycznych przynależności, bez wiadomego zajęcia, bez specjalnej przeszłości. Terminatorzy, gazeciarze, czeladnicy miejskich czy kolejowych zakładów, obywatele świeżego powietrza – różni i różnych zajęć, jako też i zainteresowań. Żaden z nich nie miał więcej nad dwudziestkę – a wśród nich, wśród całego zresztą plutonu, rej wodziła panna Janka, tęga pannica z seminarium nauczycielskiego, przed którą mores czuli przygodni towarzysze broni, jako że panna w potrzebie nie gorzej niż z krótkiego manlichera potrafiła wygarnąć w pysk". To jeden z tych pięknych opisów, które świetnie pokazują ten niezwykły, typowo lwowski klimat obrony, gdy obok profesora w binoklach, jak pisał Makuszyński w „Uśmiechu Lwowa", który „stąpał niezdarnie w ciężkich, żołnierskich butach i ręką, przywykłą tylko do pióra, nasuwał karabin na okrągłe plecy, plątał się mały chłopaczek, umorusany, jak mały kominiarczyk, ale z ruchliwością szczygła uwijający się zawsze na przedzie". W bojowym korowodzie wszelkich stanów, płci i zawodów błyszczały też zawadiackie, pełne bezczelności, werwy i zadzioru – Orlęta.

eprasa.pl/c32ec8e9ed

NOWY PASZPORT NA 100-LECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Polski paszport to nowoczesny dokument spełniający najwyższe standardy bezpieczeństwa, który nawiązuje do polskiej tradycji i patriotyzmu.

Grafiki widoczne na kartach dokumentu prezentują postaci, miejsca i wydarzenia związane z odzyskaniem przez Polskę niepodległości w 1918 r. oraz pierwszymi latami jej istnienia jako suwerennego kraju.





Safel® – zabezpieczenie okienkowe z wykorzystaniem elementów optycznie zmiennych oraz personalizacji laserowej





Safel® – widok w świetle przechodzącym



Tłoczenie



Mikrodruk – tłoczenie

Wnioskujący o wydanie paszportu po 5 listopada 2018 r. otrzymają dokument według nowego wzoru.

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH
ROK ZAŁOŻENIA 1919

eprasa.pl c32ec8e9ed

Bardzo chciałby do mamy

Kolejne Orlę – Tadek Szymański. Sięgamy znowu do „Ruskiego miesiąca" i znajdujemy o nim takie wersy: „14-letni uczeń przekrada się z wygodnego, zaciszne-go gniazdka rodzicielskiego przez linię wroga i nieprzyjacielskich wedet do obozu polskiego i tutaj, po trzech dniach służby za frontem, zgłasza się do linii bojowej. Walczy odtąd jak prawdziwy Spartanin, nie zrażając się niewygodami, głodem i chłodem okopów, z jedną tylko myślą: kiedy linia polska przesunie się bliżej ulic jego domu, bliżej miejsca, gdzie mieszka jego matka. Bo, jak zeznawali później towarzysze, mówił stale, że »bardzo chciałby do mamy«. Nie przeszkadzało to, że nigdy nie dał się zastąpić ani wyprzedzić, wierząc, że jego obecność i jego kula zaważą na szali zwycięstwa. Młodziutki bohater nie doczekał się upragnionej chwili ujrzenia rodziców ani też celu swych wysiłków: momentu odbicia Lwowa. W niedzielę dnia 17 listopada pada na posterunku w ul. Kadeckiej, ugodzony śmiertelnie".

Wreszcie Antoś Petrykiewicz, najmłodszy w historii kawaler orderu Virtuti Militari. Zginął już po oswobodzeniu Lwowa, w trakcie dalszych walk obronnych. 20 listopada do miasta dotarła grupa ppłk. Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego, licząca ok. 1,2 tys. żołnierzy i mająca osiem dział. Tokarzewski przejął komendę nad połączonymi siłami polskimi i w całodobowych walkach wyzwolił miasto 22 listopada 1918 r. Ale to wcale nie zakończyło jego obrony – Lwów znalazł się w oblężeniu, otoczony przez wojska ukraińskie. Walki trwały aż do wiosny 1919 r.

fot. NAC



Oddział Ochotniczej Legii Kobiet w marszu przez miasto

Kolęda
dla Orląt Lwowskich

Rannym najmłodszym żołnierzom w szpitalach lwowskich na „Gwiazdkę" r. 1918.

Lulajże Jezuniu, lulajże, lulaj,
a Ty go Matulu w płaczu utulaj.

Nic Mu nie przerwie snu Najświętszego,
nic już nie grozi głowinie Jego.

Bowiem o wrota stajni oparta,
polskich żołnierzy niezłomna warta.

Zaszczyt największy przypadł jej ninie:
straż honorowa przy tej Dziecinie.

Więc też na „baczność" prężą się chłopcy,
niech znają naszych królowie obcy.

Nie dojdzie tutaj noga niczyja,
kto nie zna hasła: Jezus-Maryja

Możesz spokojna być Matko Święta,
nad Wami polska straż rozciągnięta.

Jest w niej Legunów brać wyborowa,
i ci najmłodsi obrońcy Lwowa.

Więc lulaj Jezu, nad Tobą, oto
roje Aniołków tęczą się plotą.

To ci, co wczoraj karni i śmieli,
w drobnych rączynach karabin mieli...

Gdy potem zoczym Twój wzrok otwarty,
zaśpiewam jeszcze przed zmianą warty:

„Nie damy ziemi", co krwią spłynęła,
lub to najdroższe, że „Nie zginęła".

A Ty w podzięce dasz na zachętę
nam ucałować Twe nóżki święte.

Więc teraz lulaj... Gra pieśń eolska:
Zmartwychwstająca wita Cię Polska!

eprasa.pl/c32ec8e9ed



eprasa.pl c32ec8e9ed



fot. Ilustracja z książki Artura Schrödera pt. „Orlęta" (2)

Antoś w listopadzie 1918 r. był uczniem drugiej klasy V Gimnazjum Państwowego. Bił się w polskich szeregach od początku. Walczył w słynnym oddziale Straceńców Romana Abrahama (nazwa oddziału pochodziła od Góry Straceń, o którą toczyły się zażarte walki). Chłopiec bił się także, już po 22 listopada, w boju o Persenówkę, na obrzeżach Lwowa. Został ciężko ranny 23 grudnia. Przewieziono go do szpitala na Politechnice Lwowskiej, ale walki o jego życie nie udało się wygrać. Dzielny Polak umarł 16 stycznia 1919 r.

Trzeba pamiętać, że udział Orląt w walkach był to zawsze dramat dla rodziców, którzy z jednej strony wychowywali synów na patriotów, opowiadali im o bohaterach przeszłości, a później, gdy trwały zmagania, do ostatniej chwili i na wszelkie sposoby usiłowali odwieść od decyzji pójścia w bój. Ślad takiego właśnie dramatu znaleźć możemy w książce Schrödera „Orlęta". W opowiadaniu „Na odsiecz" ojciec nie godzi się na pójście syna Adasia do wojska, a potem zaskoczony widzi go w punkcie werbunkowym, w którym sam pełni służbę, i znowu musi ścierać się z nim na argumenty. Nie jest w stanie go powstrzymać. Ucieka się do wszelkich nacisków i ojcowskich nakazów. Syn, wbrew jego woli, ucieka do wojska...

Jest coś pięknego i trwożącego zarazem w czynie Orląt Lwowskich. W poświęceniu najmłodszych – tych, którzy dopiero co bali się profesora w szkole, szykowali lekcje, brudzili ręce atramentem, biegali, bawili się w dziecięce gry, zbierali burę od mamy za zbyt późny powrót do domu, a nagle w te same, ubrudzone atramentem dłonie chwycili karabiny. Ci chłopcy, pchani wielkim, bezbrzeżnym uczuciem miłości ojczyzny, zachowywali się jak herosi z opowiadań, które wcześniej czytali. I bili się tak jak wszyscy wokół – starsi, kobiety, żołnierze, kupcy, robotnicy, profesorowie, studenci, woźnice, majstrzy i czeladnicy, a nawet zwykłe łobuzy uliczne. Bili się, bo byli małymi Polakami. I zostali wychowani w kulcie ojczyzny. To na ich przykładzie wzrastały późniejsze pokolenia Orląt – powstańcy warszawscy. To na ich przykładzie wychowała się Inka, która napisze: „Powiedzcie Babci, że zachowałam się, jak trzeba".

Na koniec przytoczmy już tylko ostatnie słowa Artura Schrödera skierowane prosto do Orlęcia Lwowskiego. I podpiszmy się pod nimi. W stulecie wielkiego

epr...



Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO) pożyczki wynosi 9,38% przy założeniach: całkowita kwota pożyczki 3 tys. zł, pożyczka zaciągnięta na 24 miesiące, oprocentowanie zmienne 8,99% w stosunku rocznym, całkowity koszt kredytu 288,97 zł (w tym odsetki 288,97 zł), całkowita kwota do zapłaty 3288,97 zł, płatna w 23 ratach miesięcznych po 137,04 zł, 24. rata wyrównująca 137,05 zł. Kwota udostępniana pożyczkobiorcy 3 tys. zł. Kalkulacja została podana na podstawie przykładu reprezentatywnego wg stanu na 13.09.2018 r.

Warunki dotyczą Pożyczki Ekspresowej do 10 tys. zł dla klientów nieposiadających pożyczek w Banku Pekao S.A. w czasie trwania oferty. Wniosek o udzielenie pożyczki lub formularz kontaktowy należy złożyć w terminie od 1.10.2018 r. do 12.01.2019 r. Pożyczka nie może być przeznaczona na spłatę innych zobowiązań kredytowych zaciągniętych w Banku Pekao S.A.

[1] Spłata pierwszej raty następuje w 3. miesiącu kalendarzowym następującym po miesiącu wypłaty pożyczki. Odsetki od kapitału są naliczane od dnia wypłaty pożyczki. Można też skorzystać z pożyczki bez karencji.

Bank podejmuje decyzję o udzieleniu kredytu po ocenie zdolności kredytowej. Pozostałe informacje dostępne są w placówkach Banku oraz pod numerem infolinii 801 365 365 (opłata wg cennika operatora). Informacja nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego.

Kredytodawcą jest Bank Polska Kasa Opieki Spółka Akcyjna.

eprasa.pl c32ec8e9ed

czynu Orląt Lwowskich, wspomnianych przez prezydenta Rzeczypospolitej podczas obchodów odzyskania przez Polskę niepodległości, pod Grobem Nieznanego Żołnierza, tam gdzie leżą prochy bezimiennego Orlęcia:

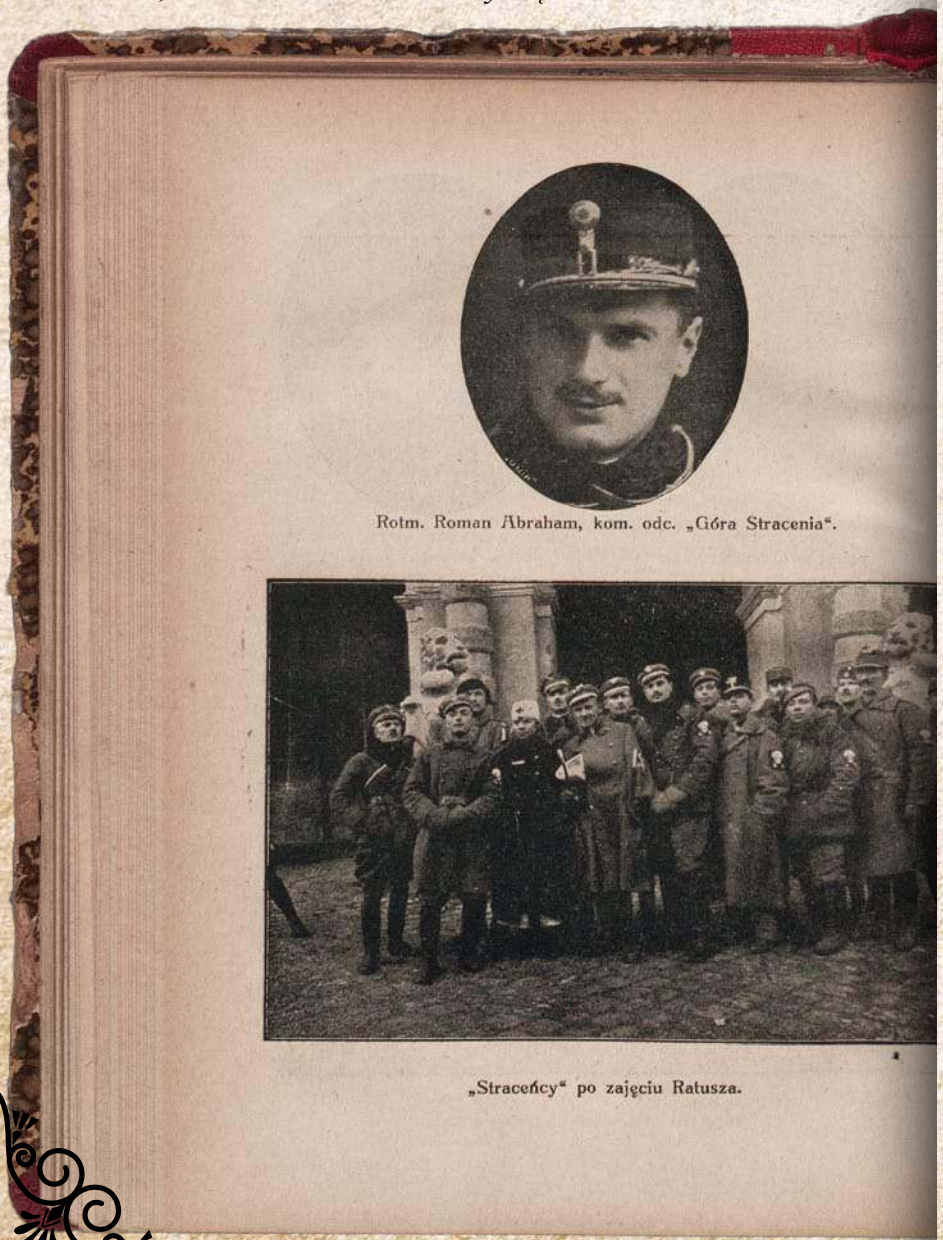
„Nocami, w mroźnym wichrze listopadowym, na deszczu i śniegu, w kałuży błota, głodny, trwałeś karnie na zasypywanej morderczym ogniem placówce.

Kładły się ciała Twoich towarzyszy broni na wieczny sen w Ogrodzie Pojezuickim, na ulicy Bema, na Cytadeli, na górze Stracenia, pod Sejmem – barwiły się bruki szkarłatem krwi Twojej serdecznej. Nic Cię nie odstraszało, nic złamać nie zdołało.

Byłeś podziwem dla starszych, postrachem dla nieprzyjaciela, chlubą miasta i jego nadzieją promienną. Tobie, Ty wierny, nieustępliwy, ofiarny, wielki duchem, Mały Obywatelu, te kartki, marne odblaski kilku czynów Twoich są poświęcone.

Niepotrzebne są one jako świadectwo męstwa Twego! Chlubniejsze świadectwo napisałeś Ty sam sobie na kartach historii najtrwalszym atramentem: krwią swoją.

Chcę Ci tylko, Drogi Mały Obywatelu, w tych kilku prawdziwych, prostych, serdecznych, tak jak Twoja dusza, opowiadaniach, każdem słowem, każdą literą powiedzieć to piękne polskie słowo, w którem tyle się mieści: Cześć!”.



Rotm. Roman Abraham, kom. odc. „Góra Stracenia".

„Straceńcy" po zajęciu Ratusza.

fot. Biblioteka Narodowa

„Orlątko”

Pieśń napisana we Lwowie w 1918 r.
przez Artura Oppmana Or-Ota

O Mamo, otrzyj oczy,
Z uśmiechem do mnie mów,
Ta krew, co z piersi broczy,
Ta krew, to za nasz Lwów.

Ja biłem się tak samo
Jak starsi – Mamo chwal!
Tylko mi Ciebie, Mamo,
Tylko mi Polski żal!

Z prawdziwym karabinem
U pierwszych stałem czat,
O nie płacz za swym synem,
Co za Ojczyznę padł.

Z krwawą na piersi plamą
Odchodzę dumnie w dal.
Tylko mi Ciebie, Mamo,
Tylko mi Polski żal!

Czy jesteś, Mamo, ze mną,
Nie słyszę Twoich słów,
W oczach mi trochę ciemno,
Obroniliśmy Lwów.

Zostaniesz biedna sama,
Baczność za Lwów! Cel i pal!
Tylko mi Ciebie, Mamo,
Tylko mi Polski żal!

eprasa.pl/c32ec8e9ed



Promocja Tanie tankowanie obejmuje transakcje bezgotówkowe dokonane kartą kredytową Mastercard® Business LOTOS na wybranych stacjach LOTOS Paliwa i skierowana jest do przedsiębiorców, którzy: rozliczają się na zasadach uproszczonej księgowości, posiadają rachunek firmowy w Alior Banku oraz spełniają warunki Regulaminu promocji. Promocja obowiązuje do odwołania, o czym bank poinformuje na 7 dni przed datą jej zakończenia na www.aliorbank.pl. Rabat na paliwa standardowe (ON, PB95, PB98, LPG) w wysokości 16 groszy/litr brutto i rabat na paliwa Premium LOTOS (ON Dynamic, PB Dynamic) w wysokości 20 groszy/litr brutto są rabatami preferencyjnymi ważnymi do odwołania. Po okresie obowiązywania rabatu preferencyjnego zniżki będą wynosiły odpowiednio 12 groszy/litr brutto i 16 groszy/litr brutto. Szczegóły oferty, regulamin promocji, lista stacji LOTOS objętych promocją oraz informacja o opłatach i prowizjach dostępne są w placówkach Alior Banku i na www.aliorbank.pl.



Zapraszamy na wystawę

Blask orderów w 100-lecie odzyskania niepodległości

Wystwę można oglądać w Muzeum Łazienki Królewskie
do 3 lutego 2019 roku.

PZU jest mecenasem wystawy oraz Muzeum Łazienki Królewskie.

eprasa.pl c32ec8e9ed



Fot. Bartosz Bajerski

Od Hamleta do Marszałka

W wyobraźni zbiorowej Polaków wydarzenia z czasów odzyskiwania niepodległości funkcjonują głównie za sprawą mało wyraźnych czarno-białych fotografii oraz pociętych fragmentów kronik filmowych. Kuratorzy Muzeum Narodowego w Warszawie postanowili przybliżyć nam tamten – jak sami piszą – „chaotyczny, nieoczywisty i bolesny okres" w oryginalny sposób, a mianowicie prezentując dzieła sztuki powstałe albo wówczas, albo niedługo później



GRZEGORZ GÓRNY

Tak powstała wystawa „Krzycząc: Polska! Niepodległa 1918" zorganizowana z okazji 100. rocznicy wskrzeszenia naszej państwowości. Swym tytułem nawiązuje ona do słynnego wiersza Juliusza Słowackiego i stara się odpowiedzieć na postawione przez wieszcza pytanie: jaka Polska?

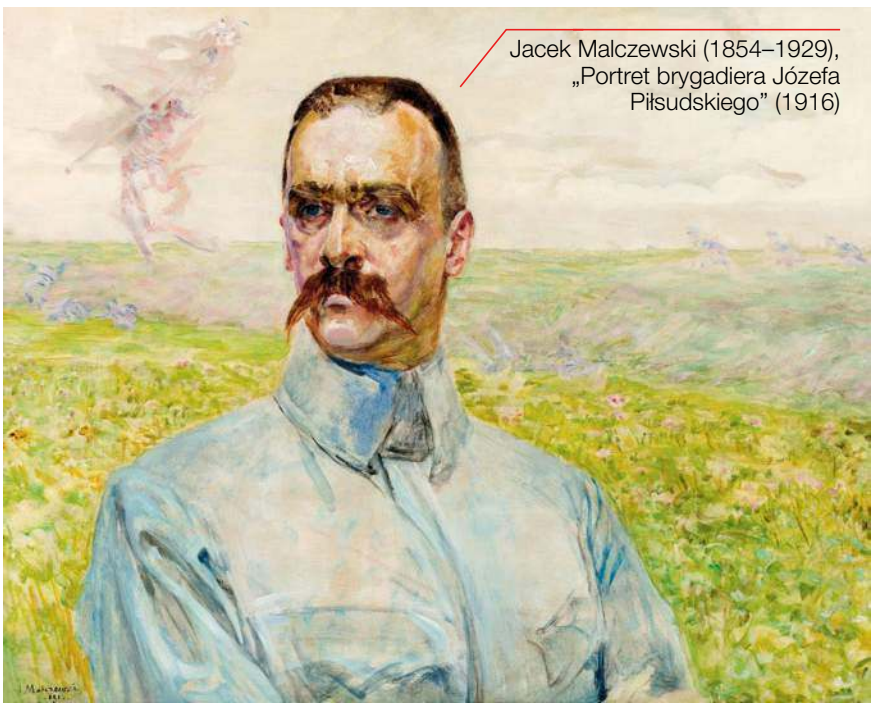
WIELKIE JUTRO

Ekspozycja zaczyna się od sięgnięcia do tradycji młodopolskiej, którą obrazują dzieła najwybitniejszych chyba twórców tamtego okresu: Stanisława Wyspiańskiego, Witolda Wojtkiewicza i Jacka Malczewskiego.

Zwłaszcza płótno tego ostatniego „Polski Hamlet" z roku 1903 idealnie wpisuje się w nastrój oczekiwania na wielkie jutro – na to, co przyniesie nowe stulecie, które postawi mieszkańców kraju w dorzeczu Wisły przed kolejnym dziejowym wyborem. Rysującą się na horyzoncie alternatywę uosabiają dwie kobiece figury będące alegoriami dwóch różnych wizji Polski – starej, przygnębionej, skutej kajdanami oraz młodej, buntowniczej, zrywającej okowy. Stojący między nimi zamyślony młodzieniec (notabene wnuk margrabiego Wielopolskiego) wydaje się pogrążony w głębokiej melancholii i obojętny na wymowne gesty obu dam. Jego brak zdecydowania podkreśla bezwiedny gest skubania płatków margerytki – jakby od ślepego trafu, a nie od świadomego wyboru zależał przyszły los ojczyzny.

Daleką trawestacją tego dzieła jest obraz z roku 1917 pędzla Kazimierza Sichulskiego (notabene legionisty) „Józef Piłsudski z Wernyhorą i Stańczykiem", ukazujący rozpięcie między

eprasa.pl c32ec8e9ed



Jacek Malczewski (1854–1929), „Portret brygadiera Józefa Piłsudskiego" (1916)

Fot. Krzysztof Wilczyński

romantyczną tradycją insurekcyjną a realistyczną tradycją konserwatystów. Na twarzy Komendanta nie ma jednak śladu niezdecydowania czy hamletycznych rozterek. Wbite w nas zdecydowane spojrzenie świdrujących oczu oraz dłonie oparte na szabli, a nie skubiące kwiatki, świadczą dobitnie o tym, że wybór został dokonany.

Możemy zacząć zwiedzanie.

KLIMAT BEZNADZIEI

Autorzy wystawy zdecydowali się rozpocząć opowieść o odzyskiwaniu niepodległości od rewolucji 1905 r. Na próżno szukać będziemy tu beztroskich obrazów belle epoque, charakterystycznych dla Europy przedsarajewskiej. Zamiast tego dominują posępne widmowe postaci w ponurym krajobrazie, umęczeni ludzie snujący się w ciemnych pejzażach. Ten klimat beznadziei sugestywnie oddają grafiki Witolda Wojtkiewicza, z których jedna nosi tytuł „Alegoria Polski". Główna bohaterka to nie dostojna matrona ani powabne dziewczę, lecz jakaś udręczona, mająca w sobie coś z upiora postać. Nawet rachityczny ptak na jej piersi bardziej przypomina wychudzoną kurę niż dumnego orła.

Obserwując serie czarno-białych grafik przedstawiających ów podszyty rozpaczą świat, zaczynamy rozumieć, co miał na myśli Józef Piłsudski, gdy pisał do Feliksa Perla, że ma dość życia w wychodku, dlatego nie ma innego wyjścia, niż tylko stanąć do walki o swe człowieczeństwo. Wynik tego rodzaju decyzji ilustrują kolejne obrazy, na których widzimy sceny starć ulicznych, zamachów bombowych czy egzekucji dokonywanych na rosyjskich szpiclach przez przechodniów wyszarpujących nagle z kieszeni swych płaszczów naładowane browningi.

ALEGORIE I SYMBOLE

Dopiero po tym interludium, bez którego trudno jest zrozumieć determinację pokolenia naszych pradziadów w przededniu wybuchu wielkiej wojny, przejść możemy do owej hekatomby, która diametralnie zmieniła oblicze Europy.

Był to pierwszy w dziejach konflikt zbrojny, który został tak obszernie udokumentowany fotograficznie. Artyści stanęli w związku z tym przed dylematem, jak oddać istotę wojny, skoro bardziej realistycznie są w stanie przekazać to zdjęcia z frontu.

Polscy twórcy – jak sugerują autorzy wystawy – wybrali zwrot w kierunku malarstwa alegorycznego i symbolicznego,



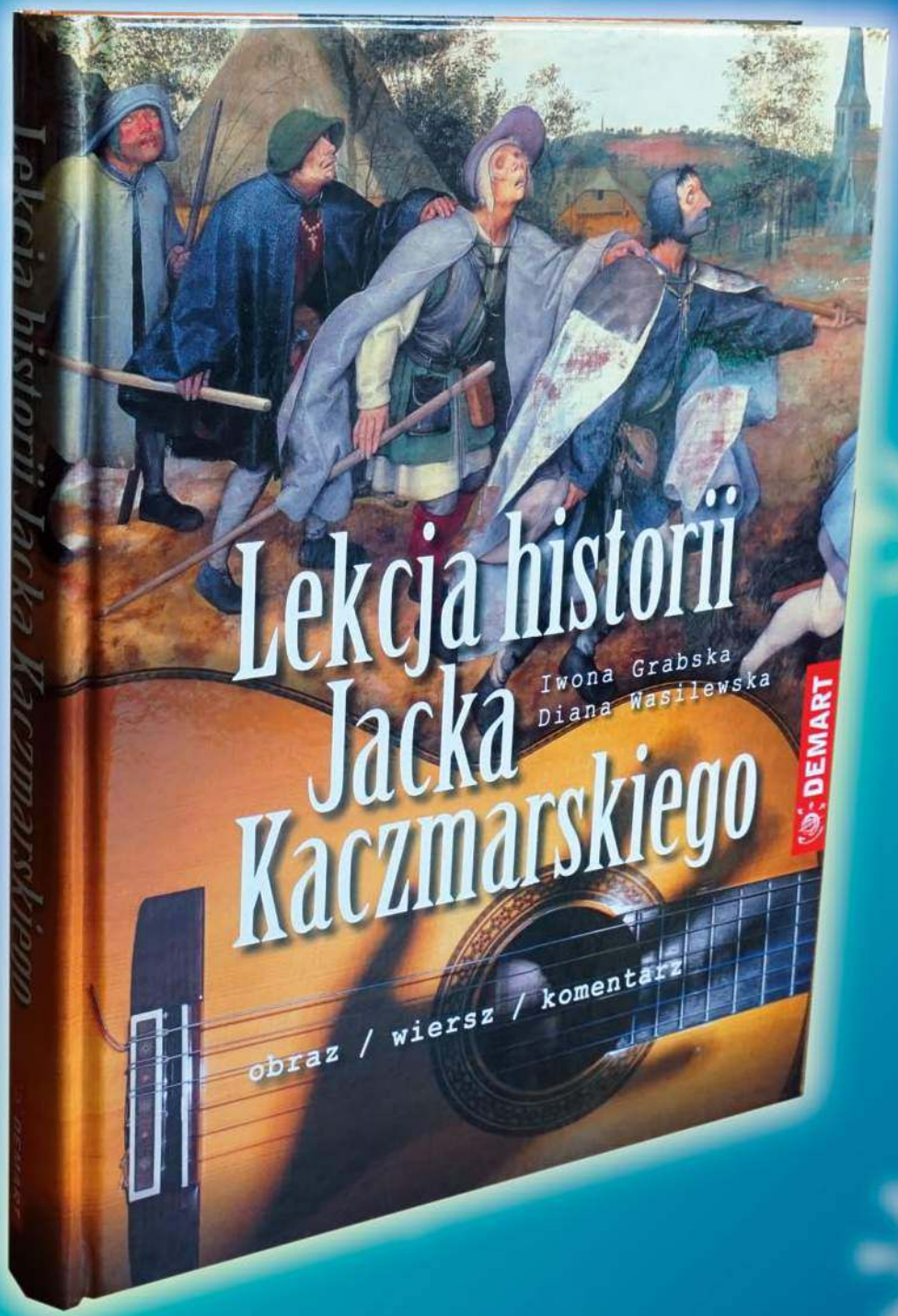
Jacek Mierzejewski (1883–1925), „Polonia" (1915)

Fot. Piotr Ligier

62/1018/F

eprasa.pl c32ec8e9ed

Poeta, bard i malarstwo

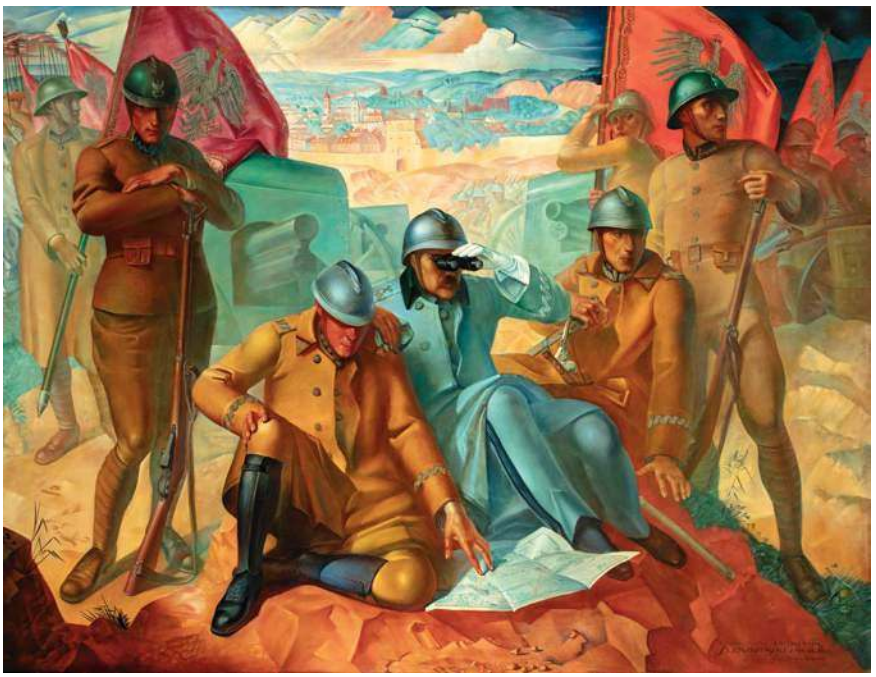


DEMART

XXVII Targi Książki Historycznej
29.11–02.12.2018

www.demart.com.pl

eprasa.pl c32ec8e9ed



Fot. Piotr Ligier

Ludomir Sleńdziński (1889–1980), „Piłsudski pod Wilnem" (1927)



Zygmunt Waliszewski (1897–1936), „Żołnierska karuzela" (1917)

często odwołującego się do sfery sacrum. To właśnie sięgnięcie do wymiaru duchowego nadaje sens wydarzeniom, które wydają się nie mieć sensu. Jeźdźcy Apokalipsy zestawieni z masowymi rzeziami czy Pieta z cierpieniem niewinnych ofiar wskazują na istnienie innego, wyższego porządku dziejów.

Na tym tle zupełnie inaczej prezentują się przedstawiające grozę „stalowych burz" grafiki autorów niemieckich, takich jak Erich Erler, Oscar Graf czy Erich Gruner, którego cykl akwafort „Wojna" przywodzi na myśl „Okropności wojny" Francisca Goi. Ich dzieła porażają wręcz naturalizmem.

Podobnie realistyczne są obrazy twórców żydowskich, np. seria grafik Abla Panna „Dzban łez", ukazująca pogromy, zgliszcza, zakładników, wisielców oraz zniszczenie całego dotychczasowego świata. Szczególne wrażenie robi nosząca niewinny tytuł miniatura „Zimne mleko", przedstawiająca widok niemowlęcia przyssanego do piersi martwej i zgwałconej matki, która leży bezwładnie na podłodze z rozłożonymi nogami.

Odnosi się wrażenie, jakby dla polskich artystów wielka wojna nie była tak traumatycznym doświadczeniem jak dla malarzy niemieckich czy żydowskich. Odmienny był bowiem dla nich punkt wyjścia. Dla Polaków globalna pożoga oznaczała nie tyle koniec „pięknej epoki", ile raczej likwidację wychodka, w którym kazano żyć całym generacjom. W tej sytuacji śmierć nie była czymś najgorszym, co można sobie wyobrazić – tym bardziej, jeśli z niej miała wykiełkować wolna ojczyzna.

W tej perspektywie utrata życia nie była bezsensownym zgonem, lecz ofiarą złożoną na ołtarzu ojczyzny. Dlatego polscy artyści odmalowywali ów konflikt w nieco innych barwach niż przedstawiciele tamtych narodów. Wymownym świadectwem takiego podejścia jest choćby płótno Adama Bunscha „Karabinowa kula", na którym śmierć żołnierza na froncie, przedstawiona w jasnej, ukwieconej, wiosennej scenerii, jawi się niczym jego mistyczne zaślubiny z zaświatami.

Jerzy Hulewicz (1886–1941), „Szarża" (1932–1939)



Fot. Piotr Ligier

eprasa.pl c32ec8e9ed



Fot. Krzysztof Wilczyński

Władysław Skoczylas (1883–1934), „Święty Boże" (Wojna), (1916)



Fot. Piotr Ligier

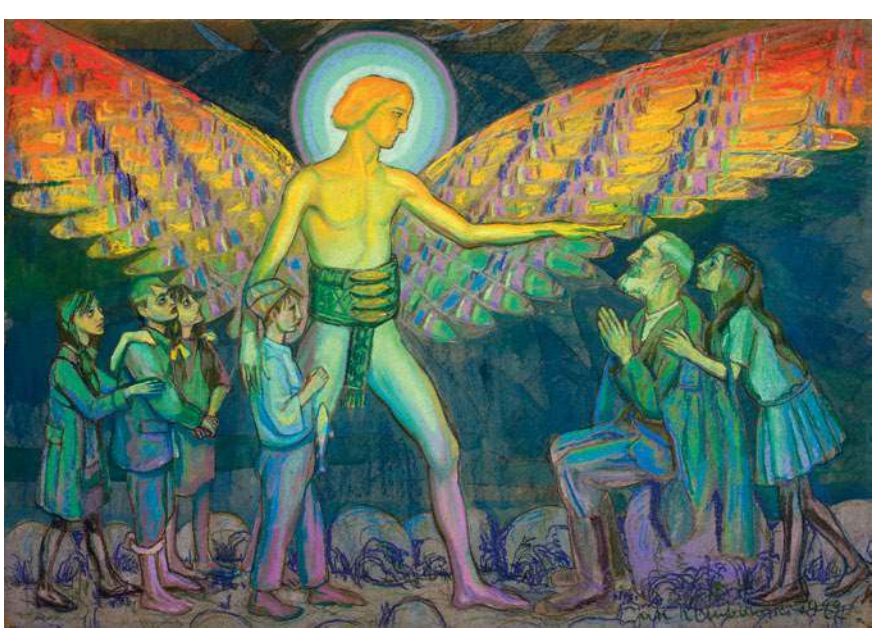
Tytus Czyżewski (1880–1945), „Madonna" (ok. 1920)

SIŁA WOLI

Wskrzeszenie państwowości również potraktowane zostało w kategoriach religijnych. Cykl Zofii Stryjeńskiej „Pascha" przedstawia np. zmartwychwstanie ojczyzny w scenach biblijnych, gdzie pozytywne postaci znane z kart ewangelii noszą polskie stroje ludowe, zaś legioniści rzymscy odziani są w mundury zaborczych armii.

Wyobraźnia artystyczna naszych twórców naznaczona była wówczas mocnym piętnem romantycznego mesjanizmu. Karmiła się też młodopolską pochwałą czynu wyrażoną najczęściej w modernistycznym stylu. Uderza natomiast znikoma obecność na wystawie awangardy, jakby w tamtych przełomowych latach eksperymenty formalne znajdowały się poza obszarem zainteresowań polskich malarzy.

Zwiedzających zdumiewa też olbrzymia liczba portretów i popiersi Józefa Piłsudskiego, świadcząca o kulcie otaczającym jego osobę jeszcze za życia. Malowali go m.in. Jacek Malczewski, Kazimierz Sichulski, Wojciech Kossak, Józef Mehoffer czy Leopold Gottlieb. Mimo różnorodności wizerunków jedna cecha pozostaje dla nich wspólna: nieugięta siła woli bijąca z postaci Marszałka. Wydaje się ona tym, co magnetyzowało i fascynowało ówczesnych twórców. Stawał się on dla nich personifikacją owej mocy sprawczej zdolnej dokonywać rzeczy niemożliwych. Dzięki takim jak on sponiewierana, półnaga kobieta o imieniu Polonia mogła wstać z katafalku i rozpocząć nowe życie, ruszając w nieznane.



Fot. Krzysztof Wilczyński

Jan Rembowski (1879–1923), „Powrót Tobiasza" (1919)

eprasa.pl c32ec8e9ed

25/0418/F

Już 3 GRUDNIA w tygodniku SIECI

Polacy, którzy zmienili świat

OSTATNI Z SERII DODATKÓW EDUKACYJNYCH



Od kolorowej fotografii do Hollywood

Kazimierz Prószyński • Eustachy Białoborski • Karol Juliusz Drac

PARTNER DODATKU

ORLEN

Cała seria dodatków jest dostępna
dla subskrybentów Sieci Przyjaciół.
Wejdź na SiećPrzyjaciół.pl i zamów subskrypcję

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

eprasa.pl c32ec8e9ed



Czołowa muzyczna skandalistka – szokująca stylem i aranżacjami wykonywanych utworów – znów zadziwia. Zmieniona nie do poznania, bez prowokującej oprawy Lady Gaga opowiada nam dziś w filmie „Narodziny gwiazdy" prostą historię o miłości

Lady Gaga, czyli zwyczajna dziewczyna

Fot. Jeff Spicer/Getty Images for Warner Bros

eprasa.pl c32ec8e9ed



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



Fot. Mat. prasowe Warner Bros. Pictures

Osiem lat temu, walcząc o miejsce w show-biznesie, pojawiła się na gali nagród MTV w sukience z surowej wołowiny. Osiągnęła cel: znów było o niej głośno. W filmie „Narodziny gwiazdy" (typowanym dziś do kilku Oscarów) gra zwyczajną dziewczynę. Obdarzoną co prawda wielkim głosem, ale niepewną siebie.

Ekranowa Ally, zarabiając na życie jako kelnerka, doskonale wie, że do zaistnienia na scenie nie wystarczy wokalny talent. Świat jest pełen utalentowanych ludzi. Trzeba się wybić z tłumu. Jak? Wybiera inną drogę niż wcielająca się w nią Stefani Joanne Angelina Germanotta znana jako Lady Gaga.

ŚRUBOWANIE SZOKU

W przypadku 32-letniej dziś megagwiazdy skuteczna okazała się eskalacja szoku. Śrubowanego od debiutanckiego albumu „The Fame" i teledysków zrealizowanych do singli „Just Dance" oraz „Poker Face".

Kolejnych 10 lat minęło artystce na medialnym wyprzedzaniu gwiazd, które ją scenicznie i wizerunkowo inspirowały: Freddiego Mercury'ego (to od tytułu utworu „Radio Ga Ga" zespołu Queen zaczerpnęła swój pseudonim), Davida Bowiego, Michaela Jacksona i Madonny.

Nie dawała odetchnąć zafascynowanym nią fanom. Światowy sukces singli „Bad Romance", „Telephone" i „Alejandro" wprawił w ruch promocyjną machinę m.in. internetu, ale też koncertowych tras. Wyczekiwanych i obleganych tak jak kolejne krążki.

Zdarzyło się (już po wydanym w ponad 8 mln egzemplarzy hicie „Born This Way"), że bilety na występy w Australii i Nowej Zelandii (2012) rozeszły się w ciągu 4 minut i 16 sekund. Dwa lata później, na kończący kolejną trasę koncert w Paryżu, biletów zabrakło po 30 sekundach. Dziś, mając na koncie 31 mln sprzedanych albumów i 171 mln singli, a także parę nagród Grammy, piosenkarka jest jednym z najlepiej sprzedających się artystów (co przekłada się też na promowanie luksusowych produktów czy takie występy jak w przerwie finałowego meczu o mistrzostwo w futbolu amerykańskim w 2017 r., który obejrzało 117,5 mln widzów).

NOWA KREACJA

Obrazoburcza, wyzywająca i prowokująca, od pierwszych chwil swojego istnienia Lady Gaga stawała się totalną kreacją. Kimś nie tylko na scenie doskonale ukrytym za wyrazistym makijażem, fryzurami i przerysowanymi strojami (specjalnie dla niej tworzą m.in. Giorgio Armani czy Aleksander McQueen). Pomysł, by odsłonić prywatną twarz Stefani Germanotta, zderzyć medialną projekcję z historią o zwykłej dziewczynie, jej skrywanym marzeniu i niespodziewanej miłości, stał się marketingowym strzałem w dziesiątkę.

Na taki koncept wpadł Bradley Cooper, aktor uwielbiany przez kobiety i od czasu pierwszego „Kac Vegas" w pełni akceptowany przez mężczyzn. Cooper trzykrotnie nominowany do Oscara (za role w filmach „Snajper", „American Hustle" i „Poradnik pozytywnego myślenia") postanowił zadebiutować jako reżyser w filmie wyzwaniu (został też jego producentem, współscenarzystą i odtwórcą głównej męskiej roli). Obdarzoną fantastycznym głosem, czołową skandalistkę show-biznesu zderzył z muzycznym melodramatem i wcześniejszymi kreacjami takich aktorskich oraz wokalnych osobowości jak Judy Garland i Barbra Streisand.

Najnowsze „Narodziny gwiazdy" to trzeci z kolei remake filmu z 1937 r. Historii spotkania gwiazdora sceny (początkowo hollywoodzkiej, w następnych wersjach muzycznej) z początkującą artystką, która z czasem przerasta talentem i osiągnięciami swojego mistrza (co ten przypłaca powrotem do nałogu).

OSCAROWA PRÓBA

W filmie wyreżyserowanym przez George'a Cukora w 1954 r. Judy Garland jest śpiewającą aktorką. W musicalu z 1976 r. (z Barbrą Streisand, Krisem Kristoffersonem i nagrodzoną Oscarem balladą „Evergreen") tłem melodramatu jest już scena muzyczna. Na niej też rozgrywa się miłosny dramat bohaterów najnowszej produkcji. Zgodnie z tytułem potwierdzającej „Narodziny gwiazdy". Nie tyle może wokalnej (choć Bradley Cooper po lekcjach śpiewu oraz gry na gitarze i fortepianie radzi sobie na scenie świetnie), ile aktorskiej.

Dla Lady Gagi była to kolejna ekranowa próba. Wcześniej pojawiała się m.in. w filmach Roberta Rodrigueza (za pierwszy, „Maczeta zabija" z 2013 r., dostała nominację do Złotej Maliny dla najgorszej aktorki drugoplanowej, ale nie przejęła się tym i stanęła na planie „Sin City: Damulka warta grzechu"). Udział w serialu „American Horror Story" (2015) przyniósł jej Złoty Glob. „Narodziny gwiazdy" dają jej szansę w oscarowej rywalizacji.

I tak oto uczennica katolickiej szkoły w Nowym Jorku – która grać na pianinie nauczyła się w wieku czterech lat, piosenki pisała już jako 13-latka (kilka lat później zarabiała, tworząc teksty dla Britney Spears, Fergie czy Jennifer Lopez), a po 20. urodzinach zmieniła się w Lady Gagę (ponoć włosy przefarbowała na blond, gdy pomylono ją z Amy Winehouse) – opowiada nam dziś na ekranie (śpiewająco) prostą historię o miłości.

eprasa.pl c32ec8e9ed

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Ślepnąc od banalnych bandziorów

To jeden z seriali tak natrętnie promowanych, że twarz Kamila Nożyńskiego, naturszczyka zmienionego w gwiazdę, wygląda zewsząd. Ale przyznaję, poza komercyjną agitacją za „Ślepnąc od świateł" na HBO, spotkałem się z autentycznym zachwytem wielu znajomych, czasem takich, których zdanie cenię.

To uczy pokory, warto pamiętać, jak różne bywają wrażliwości. Po pierwszym odcinku byłem zdziwiony chórem chwalców: albo coś ze mną nie w porządku, albo ze światem. Po trzecim sam nie jestem już tak pewny finałowej oceny. Ale nie cofam moich pierwszych odruchów.

Na początku był Jakub Żulczyk z powieścią. I ma facet talent, podobały mi się tak różne jego rzeczy jak horror dla młodzieży „Zmorojewo" i epopeja o patologicznej prowincji „Wzgórze psów". Tej książki nie znam, a jednak filmowe „Ślepnąc..." na początku mnie odrzuciło.

Fresk o polskich bandytach? OK. Ale wyprawy i kontrwyprawy po długi widziałem w zachodnich filmach gangsterskich dziesiątki razy. Te rytuały męczą swoją krwawą przewidywalnością. Polski pisarz dodał monotonne tony przekleństw. Wierzę, że to samo życie, ale czy wszystko, co jest prawdą, warto utrwalać?

Podkreślano piękno zdjęć Michała Englerta, świetną muzykę Marcina Maseckiego. Zgadzam się, reżyser Krzysztof Skonieczny umie w kilku momentach porazić obrazem Warszawy jako niesamowitej przestrzeni. Sam zresztą świetnie zagrał prymitywnego hiphopowca.

Tyle że wizja Warszawy pogrążonej dzięki komputerowym efektom w wodach potopu wystarczy na pojedynczy film. Portret upiornego nocnego życia prowadzącego donikąd pokazał już, bez mafijnego wsadu, Mariusz Treliński w „Egoistach". Tyrady głównego bohatera, dilera Kuby, o Warszawie zepsutej, słyszałem w wielu filmach, choćby w serialu „Glina" Pasikowskiego. Wiem, wszystko w popkulturze się powtarza, ale szukam wartości dodanej, oryginalnego akcentu.

Portret romantycznego samotnika, dilera słuchającego muzyki klasycznej i będącego malarzem – mój Boże, co za banał. W kinie zachodnim było takich postaci na pęczki. A co ważniejsze, u mnie pojawiają się niemodne opory etyczne. Opowieść o „życiu codziennym gangsterów", zimna relacja o ich sprawkach pokazywanych z ich perspektywy, zawsze grozi banalizacją zła. Tak się stępia wrażliwość widza.

Powtórzę coś, co napisałem kiedyś o bandytach podpatrywanych przez kamerę od zaplecza – w „Rzeczach, które widzisz w Denver, będąc martwym". Kiedy Kuba asystuje w pierwszym odcinku przy łamaniu komuś rąk, a potem przy zabójstwie, przestaje mnie interesować jako „ciekawy bohater". Nie tylko dlatego, że Nożyński recytuje kwestie drętwo jak amatorzy z pseudodokumentalnych telewizyjnych tasiemców. Andy Garcia grał lepiej.

Tak, zauważyłem parę ciekawych scen, zwłaszcza w trzecim odcinku, wątek naćpanego celebryty jest interesujący i jak zagrany przez Cezarego Pazurę. Doceniam kunszt aktorski Jana Frycza jako oszalałego bandyty „Daria". Dlatego daję temu serialowi jeszcze szansę. Dla mnie najciekawsze filmy gangsterskie były obrazami historycznymi – od „Ojców chrzestnych" po „Zakazane imperium". Tu jest trochę obserwacji społecznych, rzadko wychodzących poza truizmy. Czy warto dla nich słuchać tych wiązanek i trzasku łamanych kości?

Podejrzewam, że fascynacje znajomych, także konserwatystów, podobnymi filmami wynikają z poszukiwania męskiego, brutalnego kina. Podobne mechanizmy przesądzają o popularności choćby Tarantino. Mnie takie podniety niepotrzebne.



Piotr Zaremba

Zanussi pokazuje diabła



ŁUKASZ ADAMSKI

Cieszę się, że jest ktoś, kto nie traktuje szatana wyłącznie jako symbolu. Największą sztuczką złego było wmówienie ludziom, że nie istnieje. W czasach postreligijnych, z wszechobecną dyktaturą relatywizmu, uświadomienie ludziom tej sztuczki jest nie do przecenienia

Odrzucenie Boga, wejście w pakt z diabłem, koszmarna spłata długu – trzy etapy zanurzenia duszy w mroku. To symbol, który zakorzenił się w naszej kulturze. A jednak zachodnie kino nie dotyka już tego archetypu. Krzysztof Zanussi jest wyjątkiem. „Taka jest rola artysty, że próbuje pociągnąć widzów tam, gdzie ich nie ma, a nie idzie ze stadem. Zrobiłem film o Fauście, bo o Fauście dzisiaj mało kto myśli. To mit, który trochę zblakł, bo ludzie przestali wierzyć w duszę" – mówił w mojej audycji Krzysztof Zanussi.

Zanussi pozostał ostatnim „takim" religijnym twórcą zachodniego kina. Po odejściu Tarkowskiego i Bressona nikt już nie mówi o metafizyce w tak głęboki sposób. Znawca kina ks. Andrzej Luter napisał kiedyś, że Zanussi robi „kino metafizycznego niepokoju". To prawda. Od zawsze stara się szukać odpowiedzi z pogranicza nauki i wiary. Metafizyki i fizyki. „Arystokrata ducha" – pisze o Zanussim znakomity filmoznawca o. Michał Legan. Z wiekiem reżyser jest coraz bardziej dosłowny. Anachroniczny i oderwany od nowych trendów. Dlatego jest niezrozumiały i odrzucany. Zanussi zawsze był bardziej ceniony na Zachodzie niż w Polsce (zachodni krytycy porównywali go do samego Bergmana). Dziś jednak jest sprowadzony do roli „przestarzałego dziadka". Niesłusznie. Wciąż ma ostry jak żyletka umysł. Otwarcie wypowiada się przeciwko politycznej poprawności i woła na puszczy, by polscy konserwatyści zrozumieli, czym jest mądry i przebiegły dialog w kulturze przejętej przez skrajną lewicę. Kard. Gianfranco Ravasi z Papieskiej Rady ds. Kultury pisał w przedmowie do pracy „Cierpienie i nadzieja w twórczości Krzysztofa Zanussiego", że reżyser zawsze kręcił filmy „brzemienne w znaczenia, nigdy nie powierzchowne". Dziś, w czasie dyktatury relatywizmu, znaczenia straciły moc. Prawda jest relatywna. Dobro zostało oderwane od Boga. Zanussi to dostrzega i postanawia o tym mówić własnym językiem. Dlatego jego wchodzący 30 listopada na ekrany kin „Eter" zostanie odrzucony. Nie tylko dlatego, że nie jest to wciąż film dorównujący takim perłom Zanussiego jak „Rok spokojnego słońca", „Życie rodzinne" czy „Spirala", ale dlatego, że prostolinijnie pokazuje archetypiczne zło. A może się mylę, skoro w prestiżowym „The Hollywood Reporter" dostał po festiwalu w Rzymie entuzjastyczną recenzję?

KINO NAZNACZONE FAUSTEM

Przez całą karierę Zanussi ciągnie temat diabelskiego kuszenia. Już w genialnej „Iluminacji" z 1977 r. mamy delikatnie zarysowany mit Fausta. A arcydzieło „Barwy ochronne"? Przecież to film o kuszeniu, walce o duszę idealisty. Wychodzący od przypowieści o św. Bernardzie z Clairvaux obraz „Życie jako śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową" (2000) to ostatni polski film tak głęboko penetrujący metafizykę śmierci. Jednak i tam przecież pojawia się postać młodego lekarza, który jest wystawiony na pokuszenie światopoglądem umierającego profesora ateisty. Zanussi rozwinął wątek rozdartego między wiarą a karierą młodego lekarza w „Suplemencie" (2002). Mefistofeles z „Doktora Faustusa" Tomasza Manna został przerobiony przez Zanussiego w „Dotknięciu ręki" (1992) z Maxem Von Sydowem w głównej roli. Tyle że mieliśmy odwrócenie diabelskiego paktu. Zanussi pokazał w pewnym stopniu pakt z aniołem. Do tej pory reżyser dyskretnie się z mitem Fausta zmagał. Teraz 79-letni filmowiec dotknął go bezpośrednio. Zdumiewająco dosłownie.

Motyw Fausta jest tak mocno obecny w zachodniej kulturze, że dziś znamy go głównie w kontekście jasełkowym. Zanussi chce zerwać z tym stanem rzeczy. W wywiadzie, który z nim przeprowadzałem, mówił, że zło ma konkretną twarz. Wcale niebanalną, jak pisała Hanna Arendt. Za banalnością ludzkich czynów kryje się coś, co ich do nich pchnęło. A to już banalne nie jest. Nie zło metaforyczne, ale realne, osobowe zło leżące naprzeciw dobra od zarania dziejów. Zło, które spowodowało wypchnięcie ludzi na wschód od Edenu. Dla Zanussiego modna w dzisiejszym kinie transgresja, przekraczanie tabu i wszelkich granic w imię wolności jest antywartością. Zanussi sam siebie woli nazywać liberałem, a nie konserwatystą. Jego liberalizm jest jednak klasyczny. Nieoderwany od odpowiedzialności i Dekalogu. Zanussi nie chce konserwować dzisiejszej kultury. Ona już w jego pojęciu upadła pod jarzmem nauk włoskiego komunisty Antonia

eprasa.pl c32ec8e9ed



Gramsciego, którego lekcji konserwatyści wciąż nie odrobili. Może więc jest wiecznym kontrrewolucjonistą? Zanussi dostrzega zgubne skutki wiecznego karnawału, w jaki wszyscy wpadliśmy. Zapomnieliśmy, że po karnawale powinien nastąpić post. My postu nie chcemy. Chyba że chodzi o budowanie kultu doskonałego ciała. Post duszy jest czymś niemodnym, obciachowym. „Dlatego patrzę na wszelkie nawoływania do transgresji z niepokojem. Z niepokojem patrzę na poprawność polityczną, która jest bardzo niebezpieczną zasłoną. Pozwala kiełkować najbardziej groźnym myślom bez konfrontacji z rzeczywistością" – pisał trafnie w swojej książce „Strategie życia, czyli jak zjeść ciastko i je mieć". W „Obcym ciele" Zanussi mierzył się z agresywnym feminizmem. W tym artystycznie niespełnionym filmie również dotykał motywu czysto religijnego. Zderzał miłość do Boga z miłością damsko-męską. Pustkę hedonizmu z bogactwem duchowego życia. Pokusa, cielesność, duchowość, walka z grzechem – to wieczne elementy kina Zanussiego. Kto za tymi grzechami stoi? Władca ciemności.

OSTATNIE KUSZENIE LEKARZA

Zanussi, decydując się w „Eterze" opowiedzieć o pakcie człowieka z diabłem, nie zerka w stronę współczesnego horroru, który jest pełen zinfantylizowanego obrazu kusiciela. Sięgnął do absolutnej klasyki. „Eter" jest bezpośrednio zainspirowany „Faustem" Goethego. Reżyser dodał do tematu doskonale pasującą muzykę Wagnera. Cofnął się do początków XX w. i rewolucji medycznej, która miała zaprzeczyć istnieniu Boga. Czyż dziś również nie żyjemy w czasie takiej samej rewolucji? Transhumanizm, zabicie Stwórcy, kult hedonizmu i powszechnego szczęścia. Człowiek w miejscu Boga.

Zabory. Podole. Tuż przed I wojną światową. Lekarz (Jacek Poniedziałek) fascynuje się działaniem eteru. To najnowszy cud medycyny uśmierzający ból. Już w pierwszych scenach medyk usypia, gwałci i zabija młodą kobietę. Zostaje za to skazany na śmierć. Unika stryczka i ucieka do zaboru austriackiego, gdzie może kontynuować swoje eksperymenty w wojskowej twierdzy dowodzonej przez komendanta (Andrzej Chyra). Obsesyjnie doskonali swoją wiedzę o eterze. Manipuluje bólem. Bawi się ludzkim pożądaniem. Ingeruje w wolę poddanych mu ludzi. Bawi się w Boga. Tyle w „części jawnej". „Część tajna" pokazuje, w jaki sposób lekarz odniósł (pozorny) sukces i jaka była cena uniknięcia kary za jego czyny.

Zanussi mocuje się z mitem Fausta. Eter w jego filmie jest, jak sam przyznaje, „pierwszym krokiem na drodze pozbawienia człowieka wolnej woli, a hipoteza o tym, że wypełnia przestrzeń kosmiczną, daje bohaterowi płonną nadzieję na władzę nad całym światem". Zanussi to ostatni religijny twórca wyjęty z kina minionych dekad. Wciąż interesuje go duchowość w rozumieniu chrześcijańskim. Dobro vs zło. Bóg vs diabeł. Wiara vs niewiara. A brak wiary to pustka, którą wypełnia się czymkolwiek. W przypadku filmowego lekarza jest to pragnienie pełni kontroli nad ciałem i umysłem.

„Eter" nie jest jednak kinem w duchu Terrence'a Malicka, wybitnego chrześcijańskiego bojownika zachodniej kinematografii. Brakuje malickowskiej niejednoznaczności i ukrytych znaczeń. Zanussi jest dosłowny. Diabeł nie jest u niego pokazany w półcieniu. Pojawia się w świetle, jak Louis Cyphre w „Harrym Angelu" Alana Parkera. Zbudowany jest zgodnie z archetypicznym wyobrażeniem o eleganckim i przystojnym Księciu Ciemności. Hollywood uwielbia taki wizerunek diabła. Zanussi nim się jednak nie bawi. Przenosi go z kina, które już nie istnieje. Z zupełnie innego świata, który mówił otwarcie o odwiecznej walce dobra ze złem.

Zanussi nie przeciwstawia nauki wierze. Nie potępia umysłu i wiedzy. Reżyser pokazuje, co się dzieje, gdy Boga zastępujemy kultem człowieka. Lekarz z „Eteru" chce panować nad bólem. Czy dlatego, że jest on nieodłączną częścią życia? „Po co ból ma uszlachetniać?" – pyta. To antropocentryzm w jego skrajnej odmianie. Antropocentryzm, który świadectwem zwalczał cierpiący na oczach milionów Jan Paweł II.

„Eter" jest filmem dobrze zagranym przez Jacka Poniedziałka (jego lekarz to pełen buty, ale jednocześnie lęku nikczemny łajdak, któremu jednak współczujemy), nastrojowo sfotografowanym przez Piotra Niemyjskiego. Czy „Eter" to wielki powrót mistrza? Nie, ale dowodzi, że Zanussi jest w formie by dać nam jeszcze jedno, ostatnie arcydzieło.

eprasa.pl c32ec8e9ed



Po co/dlaczego

Fot. Wojtek Szabelski



Przemysław **Skrzydelski**

Nie wierzę w toruńskiego „Hamleta" w reżyserii Pawła Paszty. Nawet jeśli jest w nim coś szlachetnego.

Zamysł był ciekawy, bo zawsze warto najpierw zastanowić się nad przestrzenią spektaklu: Paweł Paszta postanowił, że w tym „Hamlecie" Elsynorem stanie się nie tylko scena Teatru Horzycy, lecz i całe jej zaplecze, a widzowie zasiądą dużo bliżej aktorów.

Okazuje się, że ta na co dzień ukryta przed publicznością architektura robi swoje. Przypomina na pewno dziedziniec zamku, ale po trosze przywołuje też atmosferę teatru elżbietańskiego. Z kolei to, co uderza najbardziej, to czerń otoczenia, wyczuwalna, a także dosłowna. Niemal w tym kolorze są odsłonięte mury, zakamarki, no i stroje aktorów. To Szekspir żałobny, a może w ogóle opowiedziany przez starego Hamleta – jakbyśmy mieli spoglądać na świat z perspektywy jego trumny, a żałoba po nim naznaczała cały porządek rzeczywistości. I jakby to żałoba nie do przezwyciężenia ostatecznie pochłaniała również młodego Hamleta.

Jednak z przedstawienia Pawła Paszty poza ogólnymi refleksjami trudno wydobyć więcej. Dlaczego pianina, między którymi wszyscy w jakiś sposób ogrywają swoje kwestie, są aż tak istotne? Wyczuwalna jest tu fascynacja teatrem ruchu i tańca. Kłopot w tym, że w pewnym momencie zamienia się to w manierę. Poloniusz ukrywa się w pianinie, Klaudiusz i Gertruda stojąc na nim, zwracają się do Hamleta, inni budują wokół pianin własną choreografię, słowem – właściwie wszystko rozgrywa się w odniesieniu do tych instrumentów. To teatr, w którym dominuje jeden inscenizacyjny trik. Czy zatem łatwo odnaleźć się w nim Hamletowi Tomasza Mycana? Mimo że próbuje trafić do widza, pozostaje gdzieś w dalszym planie i chyba ma świadomość braku powodu oraz celu swojego wysiłku. Jednak reżyser powinien go wyposażyć w świadomość zgoła inną.

William Szekspir, „Hamlet", reż. Paweł Paszta, Teatr im. Wilama Horzycy (Duża scena), premiera: 27 października 2018 r.

Lekcja historii



Adam **Ciesielski**

Trzy płyty legendarnego tria bardów: Przemysław Gintrowski, Jacek Kaczmarski, Zbigniew Łapiński, składają się na rodzaj śpiewanego przewodnika po ojczystych dziejach. Od rozbiorów przez czasy komuny do solidarnościowego buntu, stanu wojennego i pierwszych lat po przemianach 1989 r.

Nigdy dość przypominania tej niezwykłej, atrakcyjnej literacko i muzycznie twórczości. Fenomenu, który zaistniał na przełomie lat 70. i 80. XX w. w klubach studenckich, w drugim obiegu, ale w dobie rewolty antykomunistycznej porywał tłumy w halach i na ulicach. Członków tria, mających też bogate indywidualne kariery, nie ma już wśród nas, a dla wielu współczesnych odbiorców Kaczmarski (1957–2004), Gintrowski (1951–2012) czy Łapiński (1947–2018) to postaci niemalże z muzealnych annałów. Wydany na stulecie odzyskania niepodległości trzypłytowy boks Polskiego Radia zachęca do zweryfikowania takiego stereotypu. Przywołuje klimat, urodę i historiozoficzne walory pieśni wykonywanych z niepowtarzalną ekspresją.

Szkoda, że nie ma w tym zbiorze „Obławy", za którą Kaczmarski (jeszcze w duecie z Piotrem Gierakiem) w 1977 r. otrzymał nagrodę główną Studenckiego Festiwalu Piosenki w Krakowie. Ale bogactwo repertuaru Jacka, Przemka i Zbyszka, w tym obecność utworów mało znanych lub publikowanych po raz pierwszy, budzi szacunek. Jest więc „Rejtan", „Krajobraz po uczcie", „Requiem rozbiorowe" „Wigilia na Syberii", „Jałta", dwie z kilku wersji „Naszej klasy", ale też np. „Powrót sentymentalnej panny »S«" i „Amanci Panny »S«", nawiązujące do wzoru Jana Krzysztofa Kelusa. No i są oczywiście inspirowane pieśnią Katalończyka Lluísa Llacha „Mury", które stały się hymnem „Solidarności".

76 piosenek to okazja zbliżenia się do żarliwych i mądrych strof tria. Wyjątkowa lekcja historii.



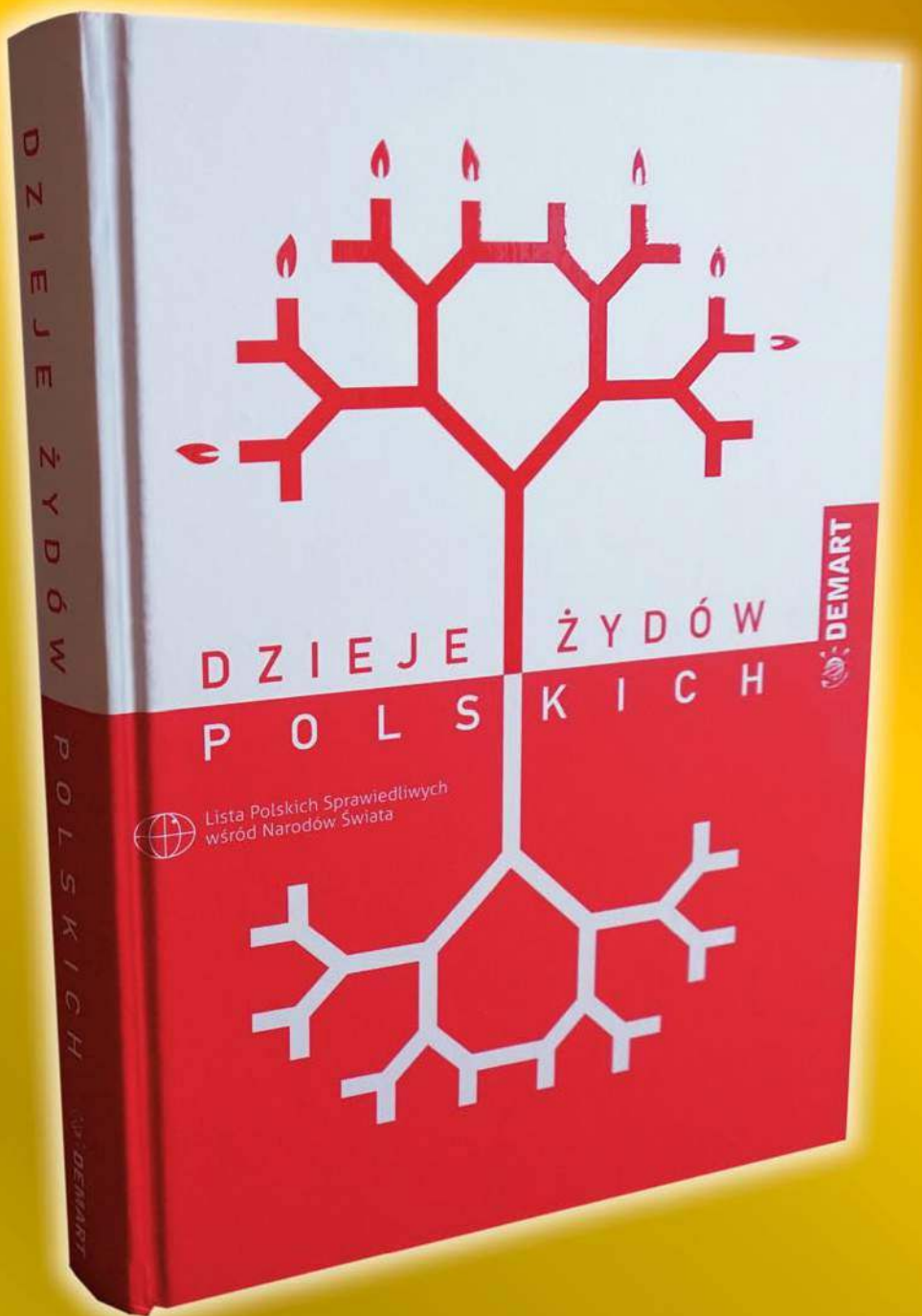
„Niepodlegli: Gintrowski, Kaczmarski, Łapiński", wyd. Agencja Muzyczna Polskiego Radia

62/1018/F

eprasa.pl c32ec8e9ed

Dzieje Żydów polskich

+ Lista Polskich Sprawiedliwych wśród Narodów Świata



DEMART

XXVII Targi Książki Historycznej
29.11–02.12.2018

www.demart.com.pl

eprasa.pl c32ec8e9ed



Szklane domy na Kresach

Od Wilna po Zaleszczyki można na szczęście wędrować nie tylko rzemiennym dyszlem, lecz i tropem polskiej przedsiębiorczości

Wojciech Stanisławski

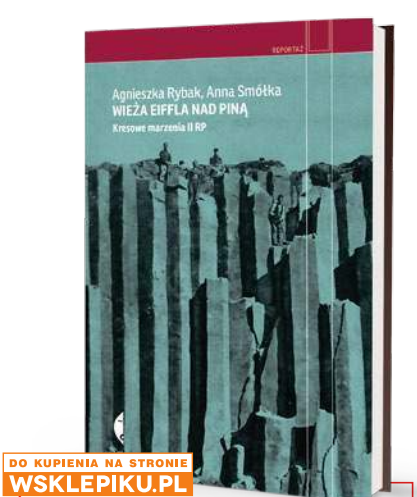
Kto pamięta „Sztafetę" Melchiora Wańkowicza? Niewznawiana w PRL, osiągała bajońskie ceny w antykwariatach. Chyba nie wszyscy, którzy ją kartkowali, byli aż tak ciekawi historii górnictwa i kolejnictwa w II RP, ale uroda typografii, twarda granatowa okładka, błyskotliwe kolaże Mieczysława Bermana (tak, powojennego autora najokropniejszych plakatów propagandowych!) pociągały niemal równie silnie jak smak owocu zakazanego. Dodatkowo bawiło to, że komuniści zakazują lektury najdoskonalszego produkcyjniaka, jaki kiedykolwiek napisano po polsku, bo niepodrabiany entuzjazm Wańkowicza dla osiągnięć Stalowej Woli, COP i magistrali węglowej jest zaraźliwy po dziś dzień.

„Wieża Eiffla nad Piną" nie jest produkcyjniakiem, ale jej autorki świadomie zdecydowały się na podobną prowokację, co swego czasu mistrz Melchior. Ten zbiór reportaży historycznych trafi bowiem najpewniej w księgarniach na półki poświęcone Kresom. A tam wiadomo: „Jak to na wojence", rozmaryn, „Nad Stochodem, gdzie w wojence padł". Białe kolumny dworków, poczciwi Poleszucy, powabne mołodycie, Żydzi jedynie w tle, rudzi i czarni. Powstańcza mogiła, karafka z dereniówką, żart starego szlagona. Żadna strona Polski nie doczekała się podobnej mitologizacji jak Kresy – ani Tatry, ani Kraków. To zrozumiałe, na bóle fantomowe i współczesna medycyna nie zna lekarstwa, ale ucukrowanie i przewidywalność wątków „kresowych" w tomach wspomnień, peregrynacji i nagradzanych dzieł literackich nuży.

Z tego znużenia wyrwać może właśnie „Wieża...", traktująca o fascynujących przedsięwzięciach gospodarczych, urbanistycznych, społecznych, jakich podejmowano się w najbardziej wyniszczonych stuleciem zaborów i kilkoma wojnami zakątkach Kresów. Jeśli Pińsk – to odbudowa flotylli rzecznej, z własnym biurem projektowym, stocznią i koszarami stanowiącymi zaczyn nowoczesności w sennym mieście. Jeśli Wilno – to najprężniejsza regionalna rozgłośnia radiowa, dzieło życia Witolda Hulewicza i wytwórnia Elektrit, eksportująca radioodbiorniki na cały świat. Jeśli Brześć (dziś „nad Bugiem", wonczas Litewski) – to projekt rozbudowy nowych osiedli, w niczym nieustępujący międzywojennym Żoliborzom, jeśli Mosty – to fabryka sklejki braci Konopackich, która – by tak rzec – uskrzydliła ówczesną Europę.

Oczywiście genius loci nie da się przegnać tak łatwo, o poleskiej replice wieży Eiffla (ostatecznie na szczęście niewzniesionej; drewniana kopia paryskiego piorunochronu pozostała jednym z wielu niespełnionych projektów miejscowego wydawcy gazet) mówiono – by tak rzec – z eleganckim, kresowym, tylnojęzykowym „el". Rozmach bohaterów, którzy stawiają wytwórnie niemal w szczerym polu lub upierają się uczynić nadgraniczne Zaleszczyki „polskim Meranem", jest trochę hurraoptymistyczny, a trochę straceńczy, nade wszystko zaś szlagoński. Połączenie entuzjazmu pokolenia, które odbudowuje kraj, kmicicowej fantazji i państwowotwórczych ambicji Warszawy dawało nieraz świetne rezultaty; autorki śledzą zresztą wiernie perypetie kresowych wizjonerów, usiłujących się zorientalizować na potęgę, jak choćby wspomniany Hulewicz, syn spokojnych ziemian z Wielkopolski.

Jeśli szukać pokrewieństw dla „Wieży Eiffla nad Piną", można to robić w długim



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL
Agnieszka Rybak, Anna Smółka, „Wieża Eiffla nad Piną. Kresowe marzenia II RP", Czarne, 2018

eprasa.pl c32ec8e9ed

szeregu dzieł, których autorzy starali się przekonać Polaków, że duch przedsiębiorczości nie musi być udziałem wyłącznie przebiegłych Niemców: perswadował to ks. Staszic i Mirosław Dzielski, dzieje polskiego przemysłu odtwarzał w swoich najlepszych książkach Stefan Bratkowski. No i mistrz Melchior. Ja jednak czytałem te reportaże historyczne w innym rytmie, innym tropem: to zarazem energetyk i epitafium.

Energetyk – bo autorki nie poszły na szczęście tropem mnożenia przypisów, suflują nam świat musujący jak zaleszczyckie wino, nie zamierzają stawiać tamy kipieli adresów, drobnych ogłoszeń, nazw pensjonatów; statki, pociągi i turbiny pędzą we wszechobecnym w książce praesens historicum.

Epitafium – bo historie kresowe rzadko kończą się dobrze. Fabryka sklejki funkcjonuje dziś jako Mostodrew, a entuzjaści kajakarstwa w Zaleszczykach nadal liczą na koniunkturę i plażowiczów. Ale dziedzice fortuny Elektritu, jeśli uniknęli Zagłady, rozpierzchli się po świecie, a dawne osiedle robotnicze w Janowej Dolinie, które padło ofiarą masakry UPA, porasta młody las.

Zrastanie

Przypuszczenie, że w drugiej połowie listopada tego roku czytelnicy mogą być odrobinę znużeni dziejami odrodzenia II Rzeczypospolitej, nie jest do końca bezzasadne. Zbiór szkiców wydanych przez Muzeum Historii Polski powinien jednak przetrwać rocznicową nawałnicę publikacji – dalibóg nie tylko ze względu na frapujący projekt okładki. Autorom tej pracy zbiorowej, którzy na szczęście zachowali w procesie obróbki redakcyjnej swoisty dla siebie ton i temperament, udało się bowiem uniknąć wyliczenia faktów, którymi pod koniec obchodów stulecia możemy czuć się nieco przesyceni. Polska Komisja Likwidacyjna... Spory o Śląsk Cieszyński... Skamandryci... Nędza Polesia... Lukstorpeda... Zamiast tych obrazków i kalendariów otrzymujemy kilka autorskich syntez, elektryzujących niczym Młodziakówna na korcie.

Wyzwaniem było już panoramiczne zestawienie stanu gospodarczego i demograficznego wszystkich ziem zrastającego się państwa w sposób, który zafrapowałby przeciętnego zjadacza historii: Andrzej Chwalba w „Bilansie otwarcia" zdołał na kilkunastu stronach wyczerpująco przedstawić stan rzeczy, charakteryzując przy okazji kulturę polityczną obywateli różnych obszarów porozbiorowych i przypominając zapominane na co dzień osobliwości – choćby to, że jedynym państwem, które po roku 1918 stanęło przed podobnym wyzwaniem integracyjnym co Polska, było Królestwo Rumunii. Bukareszt, pod którego władzą znalazły się ziemie należące przed 1914 do Imperium Rosyjskiego (Besarabia), korony Habsburgów (Bukownia) bądź wchodzące w skład Korony św. Stefana (Siedmiogród), poradził sobie jednak z zadaniem scalania bez porównania gorzej niż II RP.

Kolejni autorzy utrzymują poprzeczkę równie wysoko: Paweł Skibiński syntetycznie ujmuje międzynarodowy kontekst polityczny, w jakim stało się możliwe odrodzenie państwa, zwracając uwagę, że przypominana w tylu publikacjach „korzystna dla Polski koniunktura" jest jednak nieco przereklamowana, zważywszy na to, że na gruzach dwóch z rozbiorowych potęg wyrosły „dwa podmioty polityczne agresywnie nastawione wobec Polski: Republika Weimarska, kształtowana przez nihilizm i rewolucję społeczną [...], oraz bolszewicka Rosja [...], dysponująca gigantycznym potencjałem państwa carów i pozbawiona etycznych skrupułów". Włodzimierz Mędrzecki w świetnym, nieoczywistym szkicu „Oblicza II Rzeczypospolitej" ukazuje odmienność oraz przenikanie się różnych „stanów", środowisk społecznych (świetny passus o „emisariuszach i apostołach nowoczesności", warstwie urzędniczo-nauczycielskiej, przemieniających kresowe miasta i funkcjonujących w najlepsze obok świata „posttradycyjnego") i podstawowe wyzwanie modernizacyjne II RP: wchłonięcie sektora drobnotowarowego, rolników i handlarzy z pięciozłotowym kapitałem, przez świat nowoczesny.

Kolejni autorzy, od lat specjalizujący się w różnych zagadnieniach związanych z II RP, bez trudu mogliby powtórzyć swoje tezy, czyniąc z rocznicowej publikacji coś na kształt głębokiej szafy, gdzie w znajomym ordynku uszeregowane zostałyby kolejne „zagadnienia": obronność, spory narodowościowe, gospodarka i zacofanie („mimo że Gdynia się rozbudowuje"), wreszcie kultura i sztuka. Ale nie: Andrzej Chojnowski uświadamia nam sprzeczności polityki polonizacyjnej (niezbędnej, lecz antagonizującej) i powstałe w jej następstwie dysproporcje (Stepan Bandera mówi swobodnie po polsku, ale oskarżający go prokurator nie włada ukraińskim). Jan Kęsik ukazuje potencjał modernizacyjny i asymilacyjny Wojska Polskiego w dwudziestoleciu. Adam Lityński opisuje niemal nieznany wysiłek towarzyszący unifikacji systemów prawnych. Janusz Żarnowski („Szklane domy") charakteryzuje modernizację kraju nie tylko na poziomie Gdyni i lukstorpedy. Katarzyna Nowakowska-Sito, pisząc o sztuce, której przemiany najtrudniej zmieścić w „politycznych" ramach 1918–1939, pokazuje różne próby mierzenia się z nowoczesnością: od najbardziej znanych awangard (formiści, „Zwrotnica", Jung Jidysz, Strzemiński) po dokonania projektantów, dekoratorów, ludzi reklamy, przede wszystkim zaś może, nieraz zapominanej – polskiej odmiany art déco, święcącej sukcesy na kolejnych wystawach międzynarodowych.



„Oblicza Niepodległej", koncepcja: Michał Kopczyński i Wojciech Kalwat, Muzeum Historii Polski, 2018

Zabrakło Skamandrytów. Cóż, to dopiero pierwszy tom cyklu „Wokół Niepodległej".

eprasa.pl c32ec8e9ed

Adamski





VOD

Coenowie na Dzikim Zachodzie

Wróciłem właśnie z uroczego festiwalu filmowego Popoli e Religioni we włoskim Terni, gdzie miałem przyjemność porozmawiać z ikoną europejskiej telewizji Terence'em Hillem, który zagrał w „Lucky Luke" czy „Winnetou". Pojawiał się też w spaghetti westernach oraz wystąpił u boku Henry'ego Fondy w „Nazywam się Nobody". Hill powiedział mi, że nic ani nikt nie odbuduje już dawnego westernu spod znaku spaghetti. Nawet zanurzony ostatnio w westernie Quentin Tarantino. No, ale przecież western nie umarł. Sam Peckinpah, Sergio Leone czy Howard Hawks są na nowo odczytywani przez Hollywood.

Za jeden z najważniejszych amerykańskich mitów wzięli się również bracia Coenowie, którzy bez pudru i z ogromną dawką sarkazmu pokazali świat kowbojów w „Prawdziwym męstwie". Po ośmiu latach ponownie przywdziali kowbojki i wsiedli na konie. „Ballada o Busterze Scruggsie" miała być serialem Netflixa. Coenowie i serial o kowbojach? To musi być arcydzieło! Cóż, nie jest, co nie zmienia faktu, że bracia znów pokazali, jak odważnymi są artystami. Z serialu zrobił się film będący zbiorem luźno powiązanych z sobą westernowych historii, które potwierdzają słowa Hilla. Nie da się wskrzesić czasu, gdy Europejczycy rzucili Amerykanom w twarz westernami uderzającymi w fundamenty mitologii Johna Wayne'a. Można tylko się bawić bezczelnością Leone i Corbucciego.

Coenowie wszystko zatapiają w klimacie swoich najlepszych komedii. Ba, są nawet ich ulubieni Polacy, choć zamiast Lebowskiego i Sobczaka mamy... Cipolskiego! Ten film to jednak przede wszystkim zabawa elementami gatunku. Od dolarowej trylogii Leone po krwawe ballady Peckinpaha. Przemądrzały i przesiąknięty nihilizmem (jednocześnie anielsko śpiewający!) pyszny i zadufany rewolwerowiec trafia w końcu na groźniejszego ssaka z rewolwerem. Nie ma czerni ani bieli. Nie ma zła ani dobra jednoznacznie zarysowanego. Przewrotność braci nie jest jednak głęboka.

Ci filmowi geniusze mają po prostu frajdę z zaskakiwania widzów twistami akcji w krótkich historyjkach przepełnionych wyjątkowo barwnymi postaciami. „Ballada..." to maestria formy, a nie treści, jak w największych dziełach Coenów. Niemniej jednak wybrzmiewa, jak ostrogi przy butach, ich niechęć do krwiożerczego kapitalizmu. Przejmująca jest historia o niepełnosprawnym aktorze i kurze z niemym Liamem Neesonem – dostajemy w niej wykładnię o upadku wielkiej sztuki pod masową papką. Jest też fenomenalny Tom Waits jako poszukiwacz złota, na którego widok w przepięknych okolicznościach przyrody uciekają z rzeki nawet rybki. Zostaje sowa, która „jest tym, czym się wydaje" i pilnuje praw przyrody. Te są zbrukane przez ludzką chciwość.

Patos? W żadnym razie, skoro chciwość i buta są uosobione przez Bustera Scruggsa, genialnie zagranego przez redneckowego Tima Blake'a Nelsona, który kończy jak każdy pyszałek. No może nie każdy tak fruwa na skrzydłach. Dosłownie. Bracia pofrunęli tym filmem wyjątkowo wysoko. Ciekawe, czy ustrzeliłby ich za to Lucky Luke?

„BALLADA O BUSTERZE SCRUGGSIE" DOSTĘPNA NA NETFLIXIE

DVD

Młodzi herosi

Naznaczony wiecznym mrokiem DC powoli wychodzi ze swojego poważnego tonu, który tak różni jego produkcje o superbohaterach od luzackiego i autoironicznego Marvela. Po przezabawnym „Lego Batman. Film" przyszedł czas na kolejną produkcję DC dla najmłodszych. Kinowa wersja animowanego serialu Cartoon Network zachwyci wasze pociechy, a was rozbawi swoim zacięciem parodystycznym. Kim są Młodzi Tytani? To dzieciaki, które pod wodzą wiernego Batmanowi Robina starają się dorównać najważniejszym superbohaterom. Niestety złoczyńcy w Gotham widzą w nich jedynie rezerwową drużynę Ligi Sprawiedliwości i bohaterów memów. Ba, Hollywood nie chce nawet poświęcić im oddzielnego filmu. Dzieciaki muszą więc znaleźć wroga z intrygującym pseudonimem. To bezpretensjonalna kreskówka pełna autoparodii (żarty z nieudanych filmów DC), dogryzania konkurentowi (pojawia się nawet Stan Lee!) i żonglerki popkulturowymi symbolami. Gratka nie tylko dla fanów komiksowego kina!



„MŁODZI TYTANI. AKCJA! FILM", REŻ. AARON HORVATH, PETER RIDA MICHAIL, DYSTR. GALAPAGOS

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl c32ec8e9ed

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca



Urocze pożegnanie Redforda

Nie dziwi, że Robert Redford postanowił tym filmem zakończyć karierę aktorską. 82 lata na karku, ponad 70 ról filmowych, z których kilka weszło do historii kina. Redford zawsze lubił się wcielać w uroczych drani. „Żądło" oraz „Butch Cassidy i Sundance Kid" to jego najbardziej ikonograficzne role łobuzów rozbrajających otoczenie uśmiechem i blond czupryną.

Taki jest w swoim ostatnim filmie „Gentleman z rewolwerem". Łobuz nadal ma błysk w oku i chłopięcy urok. Różnica jest taka, że dobiega osiemdziesiątki i wciąż ucieka przed wymiarem sprawiedliwości. Forrest Tucker wsławił się nie tylko bezczelnymi napadami na banki, w których nie używał broni. On podczas skoków był wyjątkowym dżentelmenem. To zaskakujące, że dopiero teraz Hollywood zdecydowało się na film o Tuckerze, który swoje największe skoki robił w latach 80. XX w. Uroczy rabuś 18 razy uciekał z więzienia. Ba, w 1979 r. udała mu się ucieczka ze słynnego więzienia San Quentin.

David Lowery oparł swój film na słynnym artykule Davida Granna z „The New Yorkera" z 2003 r. Zmienił niewiele, ubarwiając jednak wątek romansu między Tuckerem i poznaną podczas ucieczki na autostradzie Jewel (Sissy Spacek). Romans mieszkającej na ranczo, ustatkowanej wdowy i kochającego przygody rabusia doskonale nadawał się na szkielet love story. W rzeczywistości Jewel była trzecią żoną Tuckera. Mieszkali razem na Florydzie.

Lowery opakował „Gentlemana z rewolwerem" w szaty lekkiej i wystylizowanej komedii. Zbliżenia na pokrytą zmarszczkami twarz Redforda nie odejmują uroku, do którego przyzwyczaił nas na przełomie trwającej ponad pół wieku kariery. Redford starzeje się jak Clint Eastwood, który notabene zagrał właśnie 90-letniego przestępcę. Ten film warto obejrzeć przede wszystkim dla nieśmiertelnego uroku Redforda, który tworzy obraz kolejnego sympatycznego złodzieja. Złodzieja z powołania. Człowieka kochającego kraść oraz bawiącego się w kotka i myszkę z policją.

Szkoda, że Lowery nie wykorzystał mocniej potencjału, jaki tkwił w męskiej rywalizacji między policjantem Johnem Huntem (Casey Affleck) i Tuckerem. Możliwe, że po seansie zostałoby coś więcej niż uśmiech widza podczas scen szarmanckiego złodziejstwa. Nie lubię demoralizującej mitologizacji złodziei. Jednak lider nazwanego przez policję Gangu Jednej Nogi po Tamtej Stronie mnie ujął. Na krótko. „Gentleman z rewolwerem" wyparował mi z głowy pod koniec pisania tej recenzji. Spędziłem jednak urocze półtorej godziny w sali kinowej. Czyż nie o to chodzi w rozrywkowym kinie?

„GENTLEMAN Z REWOLWEREM", REŻ. DAVID LOWERY, DYSTR. M2FILMS

Przepyszna komedia

VOD

„The Kominsky Method" to pierwsza rasowa tragikomedia Netflixa dla miłośników amerykańskich indie movies. Chuck Lorre, który jest jednym z najlepszych scenarzystów telewizyjnych komedii („Teoria wielkiego podrywu", „Dwóch i pół") za oceanem, tym razem odszedł od typowego dla siebie formatu. Ośmioodcinkowy serial o dwóch starzejących się przyjaciołach z show-biznesu to kawał inteligentnego i przeszytego ironią kina. „The Kominsky Method" jest 240-minutowym spójnym filmem podzielonym na półgodzinne odcinki.



Michael Douglas w roli przebrzmiałego aktora szkolącego młodych adeptów sztuki tworzy najzabawniejszą rolę w karierze. Alan Arkin od lat kreuje przepyszną postać zgorzkniałego i sarkastycznego dziadka, jednak to Douglas najmocniej odbija w Sandym Kominskym wszystkie lęki bojącego się starości playboya z Hollywood. Śmierć bliskich, problemy z prostatą, grzechy zaniechanego ojcostwa – o tym jest ten inteligentny i ironiczny serial. Plus za kapitalnego Danny'ego De Vito w epizodzie!

„THE KOMINSKY METHOD" DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl c32ec8e9ed

Wzór dla wszystkich samorządowców



Lech Kaczyński od pierwszego dnia pracy w warszawskim magistracie bardzo precyzyjnie realizował swój plan. Na pytanie, czy był dobrym prezydentem stolicy, najlepszą odpowiedzią były wybory na prezydenta Rzeczypospolitej w 2005 r. – mówi Janusz Kowalski, biograf śp. Lecha Kaczyńskiego, współautor książki „Lech Kaczyński. Biografia polityczna 1949–2005", w rozmowie z Tomaszem Plaskotą

Prezydentura prof. Lecha Kaczyńskiego w Warszawie (2002–2005) kojarzy się praktycznie tylko z budową Muzeum Powstania Warszawskiego. Czy to trafne i słuszne skojarzenie?

Janusz Kowalski: Nie można sprowadzać tej prezydentury wyłącznie do – ważnego dla świadomości narodowej dzieła – budowy Muzeum Powstania Warszawskiego, które na trwałe zmieniło politykę historyczną Polski. Przede wszystkim prof. Lech Kaczyński był niezwykle skutecznym menedżerem, który w sposób precyzyjny zaplanował i zrealizował w czasie rządów w Warszawie wiele projektów społecznych i inwestycyjnych. Najważniejsze z nich to budowa nowej administracji stolicy po reformie jej ustroju w 2002 r., wprowadzenie wieloletniego planu inwestycyjnego, strategii rozwoju miasta oraz uzdrowienie jego finansów. Na zrealizowanie swoich ambitnych planów nie miał pełnych czterech lat samorządowej kadencji. Wystarczyło mu zaledwie 1130 dni. Wielkie wyborcze zwycięstwo prof. Kaczyńskiego w 2005 r., kiedy został prezydentem Rzeczypospolitej, jest najlepszym dowodem na to, jak dobrze oceniane były trzy lata jego pracy w ratuszu. Nawet media krytyczne widziały w tej prezydenturze mnóstwo pozytywów. Z faktami trudno dyskutować, bowiem Kaczyński np. zwiększył wydatki o 550 proc. na służbę zdrowia, którą uzdrowił. Podniósł wydatki o 1000 proc. na domy dziecka, żłobki i przedszkola w porównaniu z czasami PO-SLD.

Wspomniał pan, że Lech Kaczyński po objęciu stołecznych rządów musiał zbudować miejską administrację. Wcześniej jej nie było?

W 2002 r. SLD i PO przeprowadziły reformę Warszawy. W jej wyniku stolica stała się jedną konstytucyjną gminą. Przed reformą administracyjną na terenie Warszawy istniało 14 jednostek samorządowych, jedenaście gmin, gmina Wesoła, powiat warszawski i związek miasta stołecznego Warszawy. Ustawa zlikwidowała jedenaście gmin. To Lech Kaczyński zbudował obecną administrację Warszawy. Jej kluczowym rozwiązaniem, fantastycznie przyjętym przez mieszkańców, były wydziały obsługi obywateli, tzw. WOM-y, działające w każdej dzielnicy. Tam obywatele w jednym miejscu mogli załatwić wszystkie urzędowe sprawy. Urzędnik załatwiający sprawy został oddzielony od tego, do którego składa się wniosek.

Dziś gdyby ktoś planował zbudowanie z kilkunastu gmin jednego systemu samorządowego wynająłby kilkanaście firm konsultingowych, aby przygotowały mu projekt, jak ma to zrobić. Proces byłby rozłożony zapewne na 10 lat. Lech Kaczyński zrobił to skutecznie i szybko, bo w ciągu kilkunastu miesięcy. Jego dzieło przetrwało do dziś. W historii polskiego samorządu było to zapewne jedno z najtrudniejszych zadań, z jakim musiał się zmierzyć nowo wybrany prezydent. To podręcznikowy przykład skuteczności zarządzania skomplikowanym procesem w niesprzyjających warunkach.

Powtarzany jest zarzut, że Lech Kaczyński, będąc prezydentem Warszawy, zatrzymał inwestycje.

Prezydentura Lecha Kaczyńskiego w Warszawie jest od strony faktów zakłamana. Jej przeciwnicy chcieliby ją sprowadzić jedynie do Muzeum Powstania Warszawskiego. Zbadałem i policzyłem inwestycje dokonywane w czasie jego prezydentury. Kiedy w 2002 r. został prezydentem stolicy, w urzędzie miasta nie było żadnych planów inwestycyjnych! Nie przygotowano np. projektu drugiej i trzeciej nitki metra. Nie było pomysłu na to, jak Warszawa ma wyglądać w przyszłości. Przez ostatnie dwa lata rządów PO-SLD w Warszawie realizowano inwestycje, których projekty powstały... w latach 1994–1998, ponadto realizowano je drogo i nieefektywnie w warunkach szalejącej korupcji.

Podam klasyczny przykład realizacji inwestycji przez PO-SLD. Na dzień przed wyborami samorządowymi w 2002 r. podpisano umowę na budowę odcinka Wału

eprasa.pl c32ec8e9ed

Miedzeszyńskiego w 2003 r. Inwestycja miała być zrealizowana na gruntach, na których 130 działek nie było wykupionych, chociaż Unia Wolności, a później PO wspólnie z SLD miały na to siedem lat. A umowa z wykonawcą została już podpisana, choć grunty pod nią nie były wykupione. I oczywiście za błędy PO-SLD atakowano... Lecha Kaczyńskiego.

Świetnie widać działalność inwestycyjną władz Warszawy na przykładzie liczb. Od 1990 r. do 2002 r. w stolicy wybudowano 426 mieszkań komunalnych. Kiedy Kaczyński rozpoczynał prezydenturę powstawało 176 mieszkań. Natomiast za jego prezydentury miasto ruszyło z budową aż 1576 mieszkań komunalnych! Dzięki temu Hanna Gronkiewicz-Waltz chwaliła się, ile mieszkań wybudowano za jej rządów. Ponadto w czasie trzech lat rządów Lecha Kaczyńskiego TBS oddało pod wynajem 1230 mieszkań.

Gigantyczny skok inwestycyjny.

Lech Kaczyński stawiał na inwestycje dla ludzi. Z uśmiechem słucham, kiedy podnosi się argument, że wybudował niewiele linii SKM. Ale to właśnie przecież on w lutym 2004 r. założył tę spółkę, odpowiadając na potrzeby mieszkańców! To Lech Kaczyński doprowadził do podpisania bardzo ważnego porozumienia, dzięki któremu do lotniska doprowadzono autostradę. Warto pamiętać, że to właśnie za prezydentury Kaczyńskiego rozpoczęto prace nad budową mostu Północnego, który wybudowała Hanna Gronkiewicz-Waltz. Spuścizną Lecha Kaczyńskiego są także m.in. odrestaurowane Krakowskie Przedmieście, Centrum Nauki Kopernik czy Muzeum Żydów Polskich.

Nie da się prowadzić inwestycji miejskich bez pieniędzy. W jakiej sytuacji w 2002 r. były finanse Warszawy?

W tragicznej. I to jest kolejny z zakłamanych faktów, które do tej pory są wykorzystywane w przemyśle pogardy przeciwko Lechowi Kaczyńskiemu. Byłem jedynym badaczem, który obliczył, jak wyglądały finanse stolicy przed reformą z 2002 r. i po niej. To trudne zadanie, bo wiele wydatków się dublowało. W ustroju sprzed reformy, w czasach tzw. układu warszawskiego, czyli rządów najpierw Unii Wolności, a później PO i SLD, sposób zarządzania Warszawą sprowadzał się do prywatyzacji majątku należącego do warszawiaków czy budowania z pieniędzy publicznych basenu dla prywatnej fundacji. Istotą „układu warszawskiego" było Lex Guzi.

Co to było „Lex Guzi"?

To miejskie prawo za czasów „układu warszawskiego" pochodzące od nazwiska polityka PO, Jerzego Guza, który wymyślił, że inwestycje miejskie należy prowadzić poprzez zakładanie spółek celowych, do których wyprowadzano atrakcyjną nieruchomość miejską. Robiono to, aby ominąć ustawę o zamówieniach publicznych. Dzięki temu rozwiązaniu w sposób aferalny realizowano Trasę Świętokrzyską, Złote Tarasy, ratusz Wilanów. W ten sposób chciano zbudować Królewski Port Żerań. Cechą „układu warszawskiego" było kompletnie nietransparentne zarządzanie finansami



Fot. Maciej Macierzyński/REPORTER

miasta. Politycy PO i SLD przeszacowywali inwestycje i zadłużali miasto, traktując je jak prywatną spółkę inwestycyjną. Wiele inwestycji było kompletnie bezsensownych, bo nie działali według żadnego planu. Wielkim osiągnięciem Lecha Kaczyńskiego było całościowe uporządkowanie stołecznych inwestycji.

Może pan przedstawić stan finansów Warszawy w liczbach?

Oczywiście. To one najlepiej obrazują stan finansów stolicy. 31 grudnia 2000 r. Warszawa była zadłużona na ok. 457 mln. Rok później już na miliard! Rok 2002 miasto zamknęło długiem w wysokości 1,6 mld zł. W tak trudnym okresie urząd prezydenta stolicy objął Lech Kaczyński. Po reformie samorządowej dochody Warszawy spadły o prawie 300 mln zł rocznie.

Najważniejszym zadaniem Lecha Kaczyńskiego w pierwszym roku prezydentury była sanacja finansów publicznych. Wielką rolę w tym procesie odegrała skarbnik, świetna fachowiec, pani Danuta Wawrzynkiewicz. Prezydent Lech Kaczyński pokazał, że budując nową administrację, można naprawić finanse publiczne. To cenny casus dla studentów Krajowej Szkoły Administracji Publicznej i studentów zarządzania finansami publicznymi. Złośliwie powiem, że prof. Balcerowicz powinien wykładać, jak jego partia, Unia Wolności, zdemolowała finanse Warszawy, które potem szybko i skutecznie uzdrowił Lech Kaczyński. Nie tylko studenci powinni się uczyć od Lecha Kaczyńskiego efektywnego zarządzania finansami publicznymi. To także świetny wzór do naśladowania dla wszystkich samorządowców. Dla mnie też było zaskoczeniem, jak radykalnie Lech Kaczyński skończył

eprasa.pl c32ec8e9ed

z kreatywną księgowością z czasów PO-SLD. Stąd ten atak środowisk, które na tej szarości sprzed 2002 r. korzystały i robiły interesy na nieruchomościach i na przepłacanych inwestycjach.

Za prezydentury Lecha Kaczyńskiego okazało się też, że drogi w Warszawie można budować taniej niż za poprzednich rządów. Przypadek?

Inwestycje były realizowane taniej i można było budować więcej, ponieważ nowy prezydent Warszawy zbudował system uczciwych przetargów i otworzył rynek dla nowych firm. Generalnie za rządów PO-SLD w Warszawie drogi były droższe o 15, a nawet 40 proc. W tym czasie dwie firmy realizowały zamówienia. Jeżeli jedna firma przegrywała, stawała się podwykonawcą drugiej. Przykładowo – w 2002 r. odcinek drogi, który według kosztorysu miał kosztować 1 mln zł był realizowany za 1,1-1,15 mln zł. Za czasów Lecha Kaczyńskiego ten sam odcinek drogi kosztował tylko 900 tys. zł, czyli o 20 proc. mniej.

Lech Kaczyński zgodnie z nowymi trendami, a przede wszystkim zgodnie z interesem warszawiaków przeniósł realizację zadań do spółek miejskich. O ile w 2001 r. przez spółki miejskie realizowano inwestycje w wysokości 178 mln zł, o tyle w 2005 r. już za 528 mln zł. Dawało to efektywniejsze możliwości realizowania inwestycji miejskich.

Nie pamięta się już o tym, że to prezydent Lech Kaczyński stworzył w ratuszu kadrę bezpartyjnych fachowców.

Wielką zasługą Lecha Kaczyńskiego, co podkreślali jego przeciwnicy, jest to, że zbudował apartyjny ratusz. Z 33 dyrektorów, których wybrał do współpracy w 2003 r., ani jeden nie był członkiem PiS. Pamiętajmy, że wówczas Lech Kaczyński był prezesem PiS. Zbudował niekorporacyjną ekipę profesjonalistów zaangażowanych w sprawy miasta. Stworzył świetny zespół prawników, o których potocznie mówiło się, że tworzą „kancelarię prawną miasta stołecznego Warszawy". Ten zespół wygrywał na rzecz miasta spory międzynarodowe z wielkimi kancelariami prawniczymi.

Dobór ludzi to jedno z największych osiągnięć Lecha Kaczyńskiego. Śp. Paweł Wypych fenomenalnie zbudował cały system polityki społecznej. Śp. Władysław Stasiak, zastępca prezydenta Warszawy, sprawił, że w ciągu trzech lat przestępczość w Warszawie spadła o 25 proc. Zreformował Straż Miejską i przywrócił jej etos. Zwiększono liczbę strażników miejskich z 1,1 tys. do 1,5 tys. Z 40 do 300 wzrosła liczba strażników pracujących w patrolach. Strażnicy przestali się zajmować wypisywaniem mandatów kierowcom, a zaczęli chronić mieszkańców. W 2002 r. Straż Miejska zatrzymała 1,5 tys. osób łamiących prawo. Trzy lata później już 7 tys. osób. I w końcu śp. Sławomir Skrzypek, który razem np. z Witoldem Słowikiem i Sławomirem Zawadzkim, pozostawił po sobie nie tylko uzdrowione finanse i inwestycje miasta, pozyskane prawie 2 mld zł z Unii Europejskiej na inwestycje, lecz przede wszystkim pierwszą w III RP kompleksową strategię rozwoju Warszawy.

Na czym polegała kreatywna księgowość „układu warszawskiego"?

W oficjalnych dokumentach przedstawiano, że w 2002 r. inwestycje były zrealizowane na poziomie 1,9 mld zł. Natomiast rzeczywiste wykonanie inwestycji było na poziomie 1,3 mld zł. Politycy PO i SLD przenosili wydatki na następny rok i sprawiali, że rzeczywiste wykonanie inwestycji było zafałszowane. Lech Kaczyński z tym skończył. W dokumentach zaczęły się pojawiać kwoty realnego wykonania inwestycji.

Lech Kaczyński walczył z korupcją, odkrył mnóstwo afer i nieprawidłowości. Ukrócił rozdawnictwo gruntów i mieszkań. Biografia Lecha Kaczyńskiego jako prezydenta Warszawy powinna być dla wszystkich samorządowców wzorem. Z tego, jak zarządzał miastem, wyciągnąłem własne zawodowe wnioski. Przykładowo nie dopuściłem, jako wiceprezydent Opola w latach 2014–2015, do sprywatyzowania Energetyki Cieplnej Opolszczyzny SA w moim rodzinnym Opolu. Chciał go zgodnie z planami PO wykupić niemiecki E.ON, partner Gazpromu w projekcie Nord Stream, po to, by razem z kontrolowaną przez siebie Szczecińską Energetyką Cieplną zbudować w Polsce dużą niemiecką grupę ciepłowniczą, która później mogła zostać sprzedana Rosjanom. Od Lecha Kaczyńskiego uczyłem się, jak planować strategicznie i rozwiązywać spory, które wygrywał dzięki swojej determinacji. Działalność Lecha Kaczyńskiego w Warszawie to świetna lekcja dla nowych samorządowców, którzy obejmują swoje funkcje. Po raz pierwszy będą mieć pięcioletnią kadencję, czyli więcej czasu na realizowanie swoich planów.

Lech Kaczyński wystawił Niemcom rachunek za zniszczenie Warszawy w wysokości prawie 55 mld dolarów...

Lech Kaczyński w roku wejścia Polski do UE przygotował raport o zniszczeniach Warszawy w czasie II wojny światowej. Była to skuteczna odpowiedź na żądania niemieckich środowisk ziomkowskich, dotyczące polskich nieruchomości. Dopiero po tych działaniach Niemcy jako państwo odstąpili od popierania roszczeń, których twarzą była Erika Steinbach. Dziś raport Kaczyńskiego o stratach wojennych Warszawy przygotowany przez zespół prof. Wojciecha Fałkowskiego powinien być pierwszym dokumentem wykorzystanym w egzekwowaniu od Niemiec przez polskie państwo materialnej odpowiedzialności za zniszczenia wojenne.

Czy Lech Kaczyński zostając prezydentem Warszawy, myślał już o tym, żeby w przyszłości zostać prezydentem kraju?

Tak. Lech Kaczyński od pierwszego dnia pracy w magistracie bardzo precyzyjnie realizował swój plan. Na pytanie, czy był dobrym prezydentem stolicy, najlepszą odpowiedzią były wybory prezydenckie w 2005 r. Wtedy nie tylko warszawiacy ocenili go jako świetnego prezydenta stolicy i dzięki temu został prezydentem Polski. Obserwując ostatnie wybory samorządowe, stwierdzam, że Warszawa musi jeszcze poczekać na godnego następcę prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

15/1118/F

eprasa.pl c32ec8e9ed



PZU Zdrowie otworzyło nową placówkę medyczną w Warszawie

26 listopada br. PZU Zdrowie uruchomiło nową placówkę medyczną w Warszawie przy ul. Puławskiej 145. Oficjalne otwarcie było okazją do zwiedzenia centrum medycznego, zapoznania się z jego ofertą oraz skorzystania z ministrefy zdrowia

Zdrowie jest jednym z kluczowych obszarów działalności Grupy PZU. Rozwój infrastruktury medycznej PZU Zdrowie wpisuje się w naszą strategię „Nowe PZU" zaprezentowaną na początku tego roku. Zakłada ona bliższy niż dotychczas kontakt z klientem, co w przypadku opieki medycznej ma szczególne znaczenie. Budujemy własną sieć placówek, aby zapewnić jak najlepszą jakość i dostępność usług medycznych pacjentom posiadającym nasze ubezpieczenia zdrowotne – mówi Paweł Surówka, prezes zarządu PZU SA.

Centrum Medyczne PZU Zdrowie Warszawa Puławska jest pierwszą, zbudowaną od podstaw placówką medyczną sieci własnej PZU Zdrowie. Zlokalizowana jest w nowoczesnym biurowcu na warszawskim Mokotowie, bezpośrednio przy wejściu do Metra Wilanowska. To placówka wielospecjalistyczna, oferująca szeroki zakres usług: konsultacje lekarskie (m.in. internisty, kardiologa, ginekologa, dermatologa, okulisty, laryngologa, onkologa klinicznego czy pulmonologa), diagnostykę laboratoryjną, diagnostykę obrazową (USG i EKG), zabiegi ambulatoryjne i szczepienia. Placówka posiada również wydzieloną część pediatryczną, gdzie pacjentów przyjmują m.in. pediatra i kardiolog dziecięcy.

– Cieszę się, że możemy przyjmować naszych pacjentów w tak nowoczesnej placówce. Jestem przekonana, że poziom świadczonych w niej usług spełni oczekiwania nawet najbardziej wymagających osób. Wystandaryzowana, własna sieć placówek zapewni jeszcze lepszą obsługę naszych pacjentów – podkreśla Julita Czyżewska, prezes zarządu PZU Zdrowie SA.

Wnętrza placówki zostały zaprojektowane zgodnie z obowiązującą w PZU Zdrowie koncepcją oznakowania i wystroju. Motywem przewodnim jest herbarium, które nawiązuje do tradycji medycyny. Dodatkowo wnętrza ocieplają wizualnie elementy drewniane oraz odcienie zielonego. Placówka posiada nowoczesny system nośników informacyjnych przed każdym gabinetem, w poczekalniach oraz w witrynie zewnętrznej. Dla komfortu małych pacjentów zaprojektowano kolorowe korytarze z kącikiem zabaw oraz gabinety lekarskie z motywami postaci z bajek.

eprasa.pl c32ec8e9ed

Tego samego dnia, w którym w Polsce wybuchła afera Chrzanowskiego, w czeskiej Pradze sensacją stała się publikacja rozmowy z synem premiera Andreja Babiša



JAN ROKITA

Polityczna operetka nad Wełtawą

Fot. Shutterstock

Rozmowę opublikowała w poniedziałek 12 listopada niezależna internetowa telewizja Seznam, założona przez czeskiego wynalazcę i biznesmena Ivo Lukačoviča. Dwójka dziennikarzy odnalazła 35-letniego Andreja Babiša juniora w Genewie, gdzie udało im się go skłonić do wynurzeń na temat własnych niedawnych losów i nagrać owe wynurzenia z ukrytej kamery.

„UPROWADZONY" NA KRYM

Z opowieści syna premiera wynika, że z inicjatywy ojca został wbrew swojej woli wywieziony z Czech do Moskwy, a następnie na Krym. Jego prześladowcami miało być małżeństwo Protopopowów, związanych z premierem szczechizowanych Rosjan, którzy najpierw wywieźli go z kraju, a następnie spro-

eprasa.pl c32ec8e9ed

kurowali nań psychiatryczne papiery. Miało im to przyjść tym łatwiej, że pani Protopopow jest właśnie psychiatrą w jednym z praskich szpitali, a obecnie także (po wyborach komunalnych sprzed trzech tygodni) radną z dzielnicy Praga 8, z ramienia założonej przez Babiša partii ANO.

Babiš junior opowiada dalej, iż w końcu jednak udało mu się uwolnić spod kurateli ojcowskich wysłanników i dostać do Genewy, gdzie mieszka jego matka – Beata Adamovičová, była żona premiera Babiša, z którą ów swego czasu rozwiódł się z powodu romansu z sekretarką i planowanego nowego małżeństwa. I jak się okazuje, tego właśnie miejsca pobytu syna premiera od roku nie mogła ponoć ustalić czeska policja, oficjalnie próbująca cały czas przesłuchać go w związku z aferą korupcyjną ojca. Dwójka reporterów Seznamu dokonała zatem tego, co z taką trudnością przychodziło policji. Pewnej pikanterii ich reportażowi dodaje to, iż owi reporterzy – Sabina Slonková i Jiři Kubik – to byli dziennikarze gazet z należącej do premiera grupy medialnej Mafra, którzy od lat tropią ciemne powiązania czeskich polityków z biznesem, i zarówno przez prezydenta Miloša Zemana, jak i premiera Babiša są nazywani z tego powodu „hienami". Praska ulica ukuła z kolei dla tej pary przydomek „Slonbik", a ich rozliczne przygody i perypetie (w tym nawet – jak to w Czechach – dość operetkowa próba zabójstwa Sabiny) od lat należą do polityczno-dziennikarskiego klimatu czeskiej stolicy.

Dlaczego Babiš junior miałby zostać „uprowadzony" do Moskwy, a potem na Krym? Gdyż w 2007 r. miał na życzenie ojca podpisywać dokumenty prawnie wyodrębniające słynną dziś w Czechach rezydencję Čapi Hnízdo (położoną ok. 50 km na południowy wschód od Pragi) z potężnego koncernu rolno-chemicznego Agrofert, którego twórcą i faktycznym właścicielem jest cały czas oligarcha, drugi na liście Forbesa najbogatszy Czech, a obecnie także premier Andrej Babiš. Dzięki owej fikcyjnej operacji wyodrębnienia rezydencji Babišom udało się wyłudzić od Unii Europejskiej dotację remontową (ok. 2 mln euro) przeznaczoną tylko dla małych i średnich firm. Gdy rzecz wyszła na jaw, śledztwo wdrożyła nie tylko czeska prokuratura, lecz także unijna antykorupcyjna służba OLAF, w wyniku czego parlament czeski pozbawił premiera immunitetu poselskiego, Agrofert zaś musiał zwrócić do Brukseli wyłudzone pieniądze.

DUUMWIRAT ZEMAN–BABIŠ

Prawdziwe polityczne kłopoty premiera Babiša miały się jednak dopiero po tym zacząć. Kiedy w październiku 2017 r. założona przezeń partia ANO wygrała w Czechach wybory z 30-procentowym poparciem, żaden z politycznych partnerów ani na prawicy, ani na lewicy nie chciał ze zwycięskim ugrupowaniem tworzyć rządu, domagając się wysunięcia innego kandydata na premiera aniżeli Babiš, oskarżany o korupcję, a także o współpracę z komunistyczną czechosłowacką bezpieką. Blokada oligarchy przez parlament okazała się jednak nieskuteczna, gdyż Babiš zawarł osobisty żelazny pakt z prezydentem Zemanem, do którego wyłącznej kompetencji należy w Czechach desygnowanie premiera. Mimo braku parlamentarnego wotum zaufania Babiš kierował zatem rządem czeskim przez pół roku jako nominat prezydenta, podczas gdy ów, bez owijania w bawełnę, mówił posłom, że choćby przegłosowali nie wiedzieć ile razy wotum nieufności, on i tak kolejny raz mianuje swojego faworyta szefem rządu. W końcu duumwiratowi Zeman–Babiš udało się złamać socjaldemokratów i komunistów, którzy dali swoje głosy Babišowi w zamian za całkowitą zmianę ideowej orientacji rządu. I tak kapitalista i liberał Babiš całkiem skuteczne został socjalistą, a jego nowy lewicowy rząd daje teraz wielkie podwyżki nauczycielom, obiecuje płacić w stu procentach za czas zwolnień lekarskich pracowników, a także (co nad Wełtawą przysparza mu szczególnie sympatii) zmniejsza VAT na piwo dystrybuowane w barach i knajpach.

W ten sposób rządzący jeszcze niedawno krajem socjaldemokraci z ČSSD zostali sprowadzeni do parteru. Już wcześniej Zemanowi (który wywodzi się z tej partii) udało się partię wewnętrznie skonfliktować i podzielić na frakcję „Europejczyków" oraz ludzi prezydenta. Ci ostatni murem stoją nie tylko za Zemanem, lecz i za jego faworytem Babišem. W wyborach komunalnych, które odbyły się 5–6 października, socjaldemokraci ponieśli sromotną klęskę, np. w Pradze, po raz pierwszy od 28 lat nie uzyskując ani jednego radnego. W morawskim Brnie ich wynik spadł z 18 proc. w poprzednich wyborach do 6 proc. obecnie. Nic dziwnego, że na myśl

REKLAMA



RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

51/1018/F

eprasa.pl c32ec8e9ed

o przedterminowych wyborach parlamentarnych polityków lewicy ogarnia panika, co sprytnie wykorzystuje Babiš, zmuszając do uległości także ową nieprzyjazną prezydentowi i jemu samemu partyjną frakcję „Europejczyków".

Warto przy tym pamiętać, że już dużo wcześniej Zeman odsunął od władzy i rozbił także czeskich konserwatystów z ODS. Ostatni konserwatywny premier Petr Nečas utracił władzę, gdy dyrektorka jego gabinetu, a zarazem kochanka, nakazała wojskowym służbom specjalnym śledzić... żonę premiera pod kątem jej hipotetycznych zdrad małżeńskich. 13 czerwca 2013 r. w środku nocy do kancelarii premiera wtargnęło czterystu agentów służb specjalnych, przeprowadzając rewizje i zajmując dokumenty rządowe. W tym czasie inna grupa aresztowała w domach prawicowych ministrów, posłów oraz szefa wywiadu wojskowego. Nigdy nie wyjaśniło się, kto i co spowodowało ówczesny faktyczny zamach stanu, który skutecznie obalił rządy prawicy. Ale ODS już piąty rok liże rany po tamtych zdarzeniach i dopiero obecnie udaje jej się stopniowo odzyskiwać dawne wpływy. W wyborach komunalnych partia zdobyła m.in. funkcję burmistrza Brna, w Pradze zaś stworzyła antybabišową koalicję z Partią Piratów, za której zawarcie musiała zapłacić radykalnym Piratom urzędem burmistrza czeskiej stolicy. Został nim Pirat i lekarz z wykształcenia – 37-letni Zdenek Hrzib. To bardzo charakterystyczna sytuacja dla obecnej czeskiej polityki.

KTO MÓWI PRAWDĘ?

Uderzenie dziennikarskiego duetu „Slonbik" także teraz nie osłabi zapewne panowania duumwiratu Zeman–Babiš, chociaż przynosi premierowi kolejną, zapewne nie ostatnią falę kłopotów. Po reportażu nadanym przez Seznam Babiš zaprzeczył faktom podawanym przez jego syna, argumentując, iż ten na Krymie znalazł się dobrowolnie i „był szczęśliwy, gdyż zaręczył się tam ze swoją ukraińską przyjaciółką", w Szwajcarii zaś przebywa teraz „pod nadzorem", gdyż choruje na schizofrenię i nie jest zdolny do życia bez owego nadzoru. Takie tezy najwyraźniej uraziły honor Babiša juniora, gdyż ten przysłał do Seznamu mail oskarżający ojca o to, iż: „nie tylko skłamał, ale przekroczył czerwoną linię". Babiš junior zaprzecza, aby w Genewie objęty był jakimś „nadzorem". „W Szwajcarii jestem całkiem wolny" – pisze.

Tymczasem ojciec podał do publicznej wiadomości, iż chory psychicznie jest nie tylko jego syn z pierwszego małżeństwa, lecz także córka Adriana, cierpiąca zdaniem Babiša na chorobę dwubiegunową, znaną jako syndrom maniakalno-depresyjny. Wiadomo, że także ona mogłaby być świadkiem w aferze Čapiego Hnizda. W zeszłą sobotę o świcie premier wyleciał do Genewy, aby rozmówić się z synem. Zdaje się jednak, że choć Babiš junior nieco chyba po tej rozmowie spokorniał, gdyż zerwał kontakty z dziennikarzami i nie wydaje już nowych oświadczeń przeciw ojcu, to jednak po powrocie do Pragi sam premier przyznał, iż jego syn nadal jest przekonany o fakcie swojego uprowadzenia na Krym. Szaleństwo Babiša juniora – według ojca – miało się ujawnić dopiero w roku 2015 (a więc siedem lat po tym, jak podpisywał dokumenty w sprawie Čapiego Hnizda), podczas gdy wcześniej pracował on jako pilot lotniczy, prowadząc m.in. samoloty Boeing 737.

Nie sposób w istocie rozstrzygnąć, który z dwóch Babišów mówi teraz prawdę, a który kłamie. Jasne jest tylko to, że z perspektywy premiera wizja złożenia formalnych zeznań przez syna w sprawie Čapiego Hnizda stanowi poważne polityczne niebezpieczeństwo. Babiš nie ma przecież immunitetu, a wobec żelaznego paktu z Zemanem łatwiej zapewne go aresztować, niźli usunąć z urzędu szefa rządu. Wtargnięcie setek uzbrojonych agentów do kancelarii premiera było już w Pradze praktykowane.

> Babiš junior twierdzi, że został „uprowadzony" do Moskwy, a potem na Krym, by nie zeznawać w sprawie wyłudzenia unijnych dotacji przez ojca

Atmosfera podniecenia po reportażu duetu „Slonbik" udzieliła się także praskiej ulicy. 17 listopada tłum zebrany dla uczczenia rocznicy „aksamitnej rewolucji", która 29 lat temu wyniosła Václava Havla na Hrad, ruszył w pochodzie przez most Karola i centrum Starego Miasta, aby zaprotestować przeciw rządom Zemana i Babiša. Wielotysięczny tłum skandował: „Máme toho dost!", a na transparentach można było przeczytać: „Odstup satane!", oraz zobaczyć portret premiera za więzienną kratą z podpisem „Bureš, za katr pode" (to w nawiązaniu do pseudonimu Babiša z czasów, gdy współpracował on z czechosłowacką bezpieką). Ale to nie jest pierwsza tego rodzaju demonstracja. W kwietniu w Pradze demonstrowało przeciw Zemanowi i Babišowi 40 tys. ludzi, a manifestacje miały miejsce niemal we wszystkich większych miastach. Premier jednak doskonale zdaje sobie sprawę, iż opozycja nadal jest w wyraźniej mniejszości, większość Czechów zaś akceptuje rządy nieco dziwacznego duumwiratu Zeman–Babiš. Tym bardziej że dotychczasowy liberał Babiš stał się teraz socjalistą i uprawia rozdawnictwo przywilejów socjalnych, podczas gdy świetnie prosperująca czeska gospodarka pozwala na to bez poważniejszych kłopotów.

Czechy, jako jeden z nielicznych krajów europejskich, mają bowiem stabilną nadwyżkę budżetową (w przeciwieństwie choćby do Polski), wzrost gospodarczy na poziomie 4,4 proc. PKB i minimalne jak na standardy unijne, dwukrotnie mniejsze od Polski, zadłużenie kraju (34 proc. PKB). A prezydent nadal nie kryje tego, że nikogo innego niźli jego faworyta nie zamierza zrobić czeskim premierem. Choć więc czeska demokracja wygląda dziś nieco operetkowo, a rządy prawa politycy nad Wełtawą traktują trochę z przymrużeniem oka, to władza w Czechach wygląda jednak na trwałą, a sami Czesi na dość zadowolonych z takiego stanu rzeczy.

51/0918/F

eprasa.pl c32ec8e9ed

TYGODNIK KATOLICKI „NIEDZIELA” POLECA

Z okazji 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości
Tygodnik Katolicki „Niedziela” prezentuje wyjątkową promocję:



Kalendarz Katolika Patrioty.
To nie tylko codzienne odniesienie do liturgii, świętych i błogosławionych.
W kalendarzu znajdziemy także dużo dobrego humoru,
wiele ciekawostek oraz przepisy kulinarne na polskie potrawy.

„100 modlitw za Polskę”. W modlitewniku zamieszczonych jest 100 modlitw wybranych spośród prawie 2 tys. tekstów nadesłanych na konkurs ogłoszony przez „Niedzielę”. Konkurs odbywał się pod narodowym patronatem Prezydenta RP Andrzeja Dudy. Modlitwy zostały napisane przez zwykłych Polaków dla zwykłych Polaków, dla wszystkich kochających Ojczyznę. Każdy Polak powinien sięgać do tego modlitewnika, bo Polsce potrzeba modlitwy, także w XXI wieku.

ZAMÓWIENIA:
Redakcja Tygodnika Katolickiego „Niedziela”
ul. 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa

telefonicznie: **34 365 19 17, 34 369 43 00, 34 369 43 52**
pocztą elektroniczną: **kolportaz@niedziela.pl**
www.ksiegarnia.niedziela.pl

KOSZT WYSYŁKI POKRYWA ZAMAWIAJĄCY

eprasa.pl c32ec8e9ed



Pełna koncentracja na dywersyfikacji

Z Piotrem Woźniakiem, prezesem PGNiG SA, o kontrakcie na gaz amerykański, dywersyfikacji dostaw surowców i powodach rezygnacji z kontraktu na gaz rosyjski, rozmawiają Jacek Karnowski i Maciej Wośko

Już od przyszłego roku Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo będzie regularnie sprowadzać do naszego kraju gaz ziemny z USA. Podpisana w listopadzie, w obecności prezydenta RP Andrzeja Dudy, 24-letnia umowa z firmą Cheniere na dostawy błękitnego paliwa do gazoportu w Świnoujściu jest realizacją pana zapowiedzi związanych z konieczną dywersyfikacją dostaw. Używa pan sformułowania o koncentracji na dywersyfikacji.

Piotr Woźniak: Obecny kontrakt podpisany z firmami Gazprom i Gazprom Export jest dla Polski niebezpieczny i niekorzystny. W ciągu 22 lat siedmiokrotnie odnotowaliśmy przerwy w dostawach, które nie były w żaden sposób zawinione z naszej strony. Po prostu Gazprom decydował, że gazu do nas nie dośle, i podawał różne powody, często nieprawdziwe. Jako odbiorca, który płaci regularnie, nie godzimy się na ponoszenie takiego ryzyka. PGNiG ma 7 mln odbiorców. To gospodarstwa domowe, małe i średnie firmy, energetyka i ogromna część przemysłu chemicznego, którym musimy zapewnić dostęp do gazu. Mamy obowiązek minimalizować ryzyko i robimy to – odsuwamy od siebie kontrahentów, którzy nie dają nam rękojmi dostawy ciągłej. Do tego koszty gazu rosyjskiego są dla nas niezwykle wysokie. Dlatego wnieśliśmy do Trybunału Arbitrażowego w Sztokholmie pozew przeciwko Gazpromowi z żądaniem obniżenia ceny w tym kontrakcie. W wyroku częściowym trybunał przyznał nam rację.

Gaz LNG, który przypłynie do nas ze Stanów Zjednoczonych, jest tańszy?

Kontrakty na zakup LNG zawieramy na dwa sposoby: FOB (free-on-board) lub DES (delivered ex-ship). W formule FOB kupujący przejmuje towar od sprzedawcy już w porcie załadunku. Od tego momentu odpowiedzialność za ładunek i jego transport do miejsca rozładunku jest po stronie odbiorcy. W formule DES to sprzedawca odpowiada za transport towaru z miejsca załadunku oraz związane z tym ryzyko i koszty. W przypadku kontraktu z firmą Cheniere mamy do czynienia z formułą DES. Koszt LNG – zarówno zakupionego w for-

eprasa.pl c32ec8e9ed



mule FOB, jak i DES – jest niższy niż ze wschodu.

Gaz ze wschodu jest zły?

Kontrahent ze wschodu jest zwyczajnie nieodpowiedzialny. Jedynym eksporterem gazu sieciowego, zgodnie z przepisami Federacji Rosyjskiej, może być Gazprom. Innego kontrahenta z tamtej strony nie ma i nie będzie. Ostatnia, ubiegłoroczna, przerwa w dostawach była bardzo ciekawa. Nie obniżono ciśnienia w gazociągu jamalskim, tylko wpuszczono wodę do gazu w takiej ilości, że surowiec przestał spełniać jakiekolwiek standardy jakościowe. Na szczęście otrzymaliśmy w porę ostrzeżenie, że gaz nie odpowiada specyfikacji. To znaczy, że do niczego się nie nadaje i jeszcze powoduje szkody w sieci niskiego ciśnienia. Wytrącają się hydraty i sieć się zatyka. Trzeba było zatrzymać odbiór ze względów bezpieczeństwa. W tym przypadku posłużono się metodą, na którą nie mamy remedium.

Niemcy mają stacje osuszania.

Tak, ale Polska już nie. Najbliższa stacja osuszania jest w Mallnow, po niemieckiej stronie granicy. Niemcy postawili taki warunek, że zanim powstanie gazociąg jamalski, musi zostać wybudowana stacja osuszania. Tak się stało. Zatem tylko my nie mogliśmy odbierać tego gazu.

Kontrakt z Gazpromem obowiązuje do roku 2022. Chcemy go zastąpić w 100 proc.? Czy wystarczy sama możliwość dywersyfikacji?

Naszym celem nie jest zbudowanie pozycji negocjacyjnej, żeby usiąść z Rosjanami do stołu i się potargować. Chcemy zastąpić gaz rosyjski surowcem z innych kierunków i uniezależnić się od wschodniego dostawcy. Dlatego m.in. zawarliśmy wiążące kontrakty z amerykańskimi spółkami Cheniere i Venture Global.

A kontrakt z Amerykanami nie jest zbyt „długoterminowy"?

Decyzje, które podejmujemy, muszą mieć uzasadnienie ekonomiczne, a partner, na którego się decydujemy, musi być wiarygodny. Potrzebujemy stałych dostaw. Deklaracja długoterminowych kontraktów z amerykańskimi partnerami jest wynikiem zimnej kalkulacji i twardych negocjacji z naszej strony. Podpisane umowy są doskonałym przykładem na to, że można robić dobry biznes i jednocześnie zapewniać bezpieczeństwo energetyczne kraju.

A cena lepsza od tej w Gazpromie o 20–30 proc.

Każdy kontrakt, który podpisujemy musi być lepszy od tego z Gazpromem, przede wszystkim musi być opłacalny. Nie zamierzamy przepłacać. W przypadku kontraktów z firmami z USA cena oparta jest na rynkowych notowaniach gazu w amerykańskim hubie Henry Hub.

Zużycie gazu w Polsce rośnie. W 2017 r. było to 17 mld m sześc. W 2018 r. będzie już 18 mld... Tymczasem w terminalu LNG będziemy mieli moce regazyfikacyjne na 7,5 mld m, a dziś jest to 5 mld. Czyli bez gazu norweskiego, bez Baltic Pipe jesteśmy skazani na Gazprom.

Baltic Pipe powstanie przed upływem 2022 r. – takie zapewnienie otrzymaliśmy ze strony Gaz Systemu, polskiego operatora gazociągów. Mamy znakomite warunki, by korzystać z gazu norweskiego. Francuzi, Belgowie, Niemcy i Brytyjczycy mają bezpośrednie gazociągi z szelfu Morza Północnego już od dawna i im się to opłaca. 25 proc. gazu eksportowanego do Europy pochodziło w 2017 r. właśnie z Norwegii. Kierunek dostaw Wschód-Zachód już mamy, teraz budujemy alternatywę Północ-Południe. I choć Rosjanie wciąż powtarzają: „Eto nie wazmożna", my pokazujemy, że „wazmożna".

PGNiG inwestuje na szelfie norweskim

Tak, ale nie inwestujemy na Morzu Północnym, żeby uzasadnić budowę Baltic Pipe, co pojawia się w niektórych komentarzach, tylko po to, by mieć konkurencyjne ceny i źródło surowca. To Baltic Pipe jest po to, by obsłużyć nasze złoża. Potrzebujemy infrastruktury na europejskim poziomie, żeby korzystać z naszych zasobów w Norwegii i kupować gaz od tamtejszych partnerów – chcemy ten surowiec mieć w Polsce dla naszych klientów, przetransportowany bez ryzyka i możliwie najniższym kosztem. Oba portfele – norweski i LNG – dają nam pewność stabilnych dostaw. Terminal w Świnoujściu powstał dlatego, że otworzył się rynek LNG. PGNiG będzie maksymalnie wykorzystywać ten potencjał. Uruchomiliśmy biuro handlowe w Londynie, żeby budować swoją pozycję na międzynarodowym rynku LNG.

Możemy być jedynym krajem w tej części Europy, który jest niezależny gazowo od Rosji?

Plan jest taki, żeby przede wszystkim dbać o nasze polskie interesy, ale też pozytywnie oddziaływać na rynek gazu w Europie. Jest wybór, są inni dostawcy, mamy gaz z krajowego wydobycia. Lekcja z Rosjanami nauczyła nas jednego: trzeba koniecznie rozpraszać ryzyko.

eprasa.pl c32ec8e9ed

Rekordowy Kongres 590

Trzecia edycja Kongresu 590, odbywającego się w dniach 15–16 listopada w Jasionce koło Rzeszowa, była rekordowa pod względem liczby uczestników. Aż 6 tys. osób dyskutowało o tym, jak uwolnić potencjał polskiej gospodarki

Rzeszów jest dobrym przykładem możliwości, jakie drzemią w polskiej gospodarce: to jedno z najszybciej rozwijających się miast w Polsce, ośrodek nowoczesnego przemysłu. Mówił o tym Władysław Ortyl, marszałek województwa podkarpackiego, który otworzył Kongres 590.

- Mogę zapewnić, że to dobry wybór. Miejsce, w którym jesteśmy, jest potwierdzeniem dobrego rozwoju regionu Podkarpacia – powiedział.

Gośćmi Kongresu 590 byli prezydent RP Andrzej Duda, który objął honorowy patronat, oraz prof. Adam Glapiński, prezes Narodowego Banku Polskiego.

- Mamy naszą Strategię na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Mamy w związku z tym realizowanych w tej chwili wiele programów. Jak można ten rozwój do tej pory ocenić? Myślę, że dobrze. A dzisiaj miałem możliwość usłyszeć, że nawet bardzo dobrze. Spotkałem się przed chwilą z przedstawicielami polskich przedsiębiorców, tzw. aniołami biznesu. I zapytałem o tę ocenę w stosunkowo wąskim gronie, więc każdy mógł się wypowiedzieć i każdy mógł szczerze powiedzieć, co sądzi na temat obecnej sytuacji – mówił Andrzej Duda otwierając Kongres.

Z kolei prezes NBP zwracał uwagę na szybki wzrost gospodarczy, jaki mamy w kraju, który jednocześnie odbywa się w sposób wyjątkowo stabilny. – Nasza gospodarka pędzi jak lokomotywa" – mówił prof. Adam Glapiński. – Jesteśmy najszybciej rozwijającą się i jednocześnie najbardziej stabilną częścią Europy. Na dodatek należymy do krajów, które są najbardziej inkluzywnym obszarem wzrostu. Nasz wzrost najlepiej rozkłada się na całe społeczeństwo" – podkreślał prezes NBP.

Najważniejsze na każdym kongresie są panele i debaty, jakie odbywają się w jego trakcie. Porządek Kongresu 590 był wypełniony po brzegi, a poza ministrami, ekspertami gospodarczymi, przedstawicielami rządowych instytucji, z grupą PFR na czele, przez globalnych przedsiębiorców, we wszystkich właściwie debatach udział brali też reprezentanci polskich narodowych czempionów – PKO BP, Orlenu, PKP, Pekao SA, PZU, KGHM, czy spółek energetycznych.

Pierwszy dzień zakończyła wieczorna gala Nagród Gospodarczych Prezydenta RP. Nagrodami ustalonymi przez kapitułę zostały uhonorowane najlepsze podmioty gospodarcze w kraju, które przyczyniają się do rozwoju naszej gospodarki, promują Polskę na arenie międzynarodowej oraz



Fot. materiały prasowe urzędu marszałka woj. podkarpackiego

stanowią wzór dla innych firm. W kategorii Lider Małych i Średnich Przedsiębiorstw prezydent RP nagrodził firmę Ultratech. W kategorii Narodowy Sukces wyróżniono firmę Ceramika Paradyż, w kategorii Międzynarodowy Sukces nagrodę zdobyła firma Vigo System. PKO Bank Polski zaś został laureatem w kategorii Odpowiedzialny Biznes. W kategorii Firma Rodzinna nagrodzono MB – Pneumatyka. W kategorii Start-up.PL wygrała firma Photon Entertainment. Start-up jest twórcą i producentem pierwszego na świecie interaktywnego robota edukacyjnego dla dzieci, który rozwija się wraz z dorastaniem dziecka. W kategorii specjalnej Badania i Rozwój zwyciężyła firma Astronika. Laureatem Indywidualnej Nagrody Gospodarczej Prezydenta RP został Zbigniew Grycan. Ponadto przyznano Nagrodę z okazji 100-lecia Odzyskania Niepodległości dla polskiej firmy, która działa na rynku od co najmniej 100 lat. Otrzymała ją Warszawska Fabryka Platerów Hefra.

Niewątpliwie najważniejszym wydarzeniem drugiego dnia Kongresu 590 było wystąpienie premiera Mateusza Morawieckiego. – Uwolniliśmy potencjał polskiej gospodarki. Najszybszy wzrost gospodarczy w Unii Europejskiej w tym kolejnym kwartale, który podał Eurostat. Jest się z czego cieszyć – mówił premier. – Zaproponowany przez rząd model wzrostu gospodarczego jest modelem zrównoważonego wzrostu. O to właśnie nam chodzi – aby gospodarka i społeczeństwo jechały na jednym wozie. Chcemy, żeby szybko rosły wynagrodzenia naszych pracowników. Wierzymy, że wtedy pracodawcy i przedsiębiorcy będą jeszcze bardziej ich doceniać" – dodał Morawiecki.

MS

24/1018/F

eprasa.pl c32ec8e9ed

5 90 KONGRES
III Edycja

Dziękujemy naszym Partnerom

Partnerzy Strategiczni

Bank Polski · ORLEN · KGHM Polska Miedź · Grupa Cedrob · Grupa PKP

Oficjalny Bank Kongresu 590

Bank Polski

Partnerzy Główni

BGK · PGE Polska Grupa Energetyczna · PZU · Totalizator Sportowy · Chopin Airport Development · Porty Lotnicze

PGL · Polska Agencja Żeglugi Powietrznej Polish Air Navigation Services Agency · GAZ system · Huawei · KRUK · Polregio · PGNiG · PLL LOT · Unity Line · Tauron

Partnerzy

accenture · American Chamber of Commerce in Poland · Arłamów Hotel · arp · CRIDO · digitalpoland · Energa · EY · FAKRO

foreign personnel service · GE · Google · Hasco-Lek · HRE Investments · Górnośląsko-Zagłębiowska Metropolia · GPW · Zakłady Automatyki Kombud SA · agat

Grupa ZUE · tracktec · KOWR · Polska smakuje · Kraków Airport · Lewiatan · Lotto Ekstraklasa · NUVALU · PayU · PERN · PHN

PKP Energetyka · PSE · PWPW · PZL Mielec · PZL-Świdnik · RED IS BAD · synthos · VISA · Wielton

Partner Technologiczny

orange

Mecenas Koncertu

MARVIPOL

Partner Strefy MSP

Bank Polski

Partnerzy MSP

braintri · INDIGO · LEX Kancelaria Finansowa

Sagitum · Salesbook · YOSHI

Partnerzy Merytoryczni

Narodowa Rada Rozwoju · Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Finansów · Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii · Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego · Narodowy Bank Polski · Narodowe Centrum Badań i Rozwoju · NAWA · Ośrodek Przetwarzania Informacji · PORT Polski Ośrodek Rozwoju Technologii

Krajowy Fundusz Kapitałowy · PFR · arp · PARP Grupa PFR · PFR Fundacja · PFR Nieruchomości · PFR TFI · PFR Ventures · Podkarpackie · KNF Komisja Nadzoru Finansowego

Instytut Jagielloński · WEI · ibris · ZPP · PTG · Pracodawcy RP · upedi · Warsaw Institute

Główny Partner Medialny

TVP · TVP INFO

Główny Portal Ekonomiczny

money.pl

Główny Patron Radiowy

Polskie Radio

Główny Patron Prasowy

Dziennik Gazeta Prawna

Partnerzy Medialni

PAP Polska Agencja Prasowa · Trójka · 24 · Rzeczpospolita · Fakt · nowiny

Polska · Sieci · Gazeta Bankowa · niedziela · Polish Market · Super Biznes · Do Rzeczy · Gość Niedzielny · Forbes · NP · Manager

Wprost · Business Insider Polska · wGospodarce.pl · My Company · rynek inwestycji · Strefa Biznesu · Kapitał · przedsiębiorcy.eu · wnp.pl · wPolityce.pl

BZA · niezależna · Polskie Radio Rzeszów · W Polsce.pl · Republika · inwestorzy.tv

eprasa.pl c32ec8e9ed



Uczestnicy debaty „Filary trwałego rozwoju przedsiębiorstw. Wizja, surowce, talenty”

O fundamentach trwałego rozwoju przedsiębiorstw. Jak dbać o wizję, surowce i talenty w firmie?

O istnieniu uniwersalnych zasad, które mogą pozwolić firmom na unikanie sytuacji kryzysowych m.in. poprzez przewidywanie megatrendów, rozmawiali paneliści na Kongresie 590 w Jasionce koło Rzeszowa. Asumptem do debaty był m.in. raport „Filary trwałego rozwoju przedsiębiorstw. Wizja, surowce, talenty”

Jeden z autorów raportu, dr Adam Czyżewski, główny ekonomista PKN Orlen, przypomniał, że pytania o to, jak się zachować wobec zmieniającej się rzeczywistości i niepewnej przyszłości, stanowią główne wyzwania dla wielu firm.

„Okazuje się, że jeśli będziemy patrzeć w odległą przyszłość, to dostrzeżemy ścieżki, którymi warto podążać,

eprasa.pl c32ec8e9ed



14/1118/F



Dr Adam Czyżewski, główny ekonomista PKN ORLEN SA

oraz te, których lepiej unikać. Dzisiaj, w dobie rewolucji przemysłowej 4.0, gospodarka globalna rozwija się coraz szybciej, przybywa coraz więcej ludzi, a skutki są takie, że zużywamy coraz więcej surowców i coraz bardziej zanieczyszczamy środowisko. To są bariery, które firmy napotkają w przyszłości" – wspominał dr Czyżewski.

Zdaniem ekonomisty strategie trwałego rozwoju firm opisywanych w raporcie zaczynają się od wizji rozwoju społeczno-gospodarczego w obszarach aktualnych działalności, nawiązującej do globalnych megatrendów i odpowiedzi na pytanie, czy możliwa jest kontynuacja.

„Firmy te koncentrują się na surowcach, bo tych będzie brakować, a ich ceny pójdą w górę, więc trzeba nimi oszczędnie gospodarować. Drugą stroną medalu surowcowego są odpady i rosnące koszty ich recyklingu. Chodzi zatem o takie projektowanie produktów, aby nie generować odpadów. Żeby zużyte produkty nadawały się do ponownego przerobienia. W ten sposób ogranicza się zużycie surowców i ekspozycję na wzrost ich cen oraz na wzrost kosztów ochrony środowiska" – mówił dr Czyżewski.

Trzeci i najważniejszy filar trwałego wzrostu to potencjał ludzki. „To właśnie oni [ludzie – dop. red.] tworzą te wszystkie strategie, więc gdy znajdujemy utalentowanego pracownika, który ma pomysły i chce je realizować, zatrudnijmy go i dajmy mu możliwość wykazania się w ich realizacji, a nie zmuszajmy do robienia prezentacji w Power Poincie" – przekonywał ekonomista.

Obecni na panelu eksperci debatowali także o ryzykach i zagrożeniach, które stanowią obecnie największe wyzwania dla firm. Według Artura Waliszewskiego, dyrektora Google Polska, jednym z nich jest brak ludzi, „którzy będą wystarczająco wykształceni i wystarczająco innowacyjni, żeby te problemy rozwiązywać".

Przedstawiciel internetowego giganta przekonywał, że jednym z najważniejszych obszarów konkurencji nie są zasoby fizyczne. „Tam też jest co prawda duża rywalizacja, ale największa jest tam, gdzie są zasoby ludzkie, szczególnie w segmencie najbardziej utalentowanych i najzdolniejszych pracowników" – mówił Waliszewski.

Według Jana Staniłki, dyrektora Departamentu Innowacji w Ministerstwie Przedsiębiorczości i Technologii, dla polskich firm największym zagrożeniem są obecnie koszty energii. „Jeżeli spojrzymy na cały schemat regulacyjny, w którym funkcjonuje Polska i jej przyszłość, to gospodarka z ceną prądu ponad 400 zł za MWh jest ciekawym zjawiskiem. Pytanie, jak ta gospodarka będzie się zachowywała" – zaznaczył Staniłko. Przedstawiciel ministerstwa zgodził się, że brak wykształconych kadr jest wyzwaniem, ale przyznał także, iż ta sytuacja jego zdaniem nie jest charakterystyczna dla naszych czasów. „Nigdy nie było tak, żeby była wystarczająca liczba superwykształconych inżynierów" – mówił Staniłko.

Według Rocha Baranowskiego, przedstawiciela międzynarodowej firmy doradztwa strategicznego, jedyną odpowiedzią na kurczącą się siłę roboczą jest automatyzacja. Są jednak ryzyka, które wiążą się z tym procesem. „Z jednej strony spodziewamy się, że to może dać kopa inwestycyjnego, de facto podażowego nawet na kilka lat. Jednak z drugiej – automatyzacja uderza nieproporcjonalnie w ludzi o słabych kwalifikacjach i tradycyjne zawody klasy średniej, co w pewnym momencie ograniczy siłę popytową i konsumpcję pewnej części społeczeństwa. Wtedy nastąpi taki kac po boomie inwestycyjnym, w którym mamy rozbujałą podaż i kurczący się popyt, a w efekcie podstawę do dużego kryzysu" – zauważył Baranowski.

Na innego typu zagrożenia wskazywał Jacek Borek, dyrektor Accenture Technology w Polsce, który zwracał uwagę na potencjalne problemy z rewolucją cyfrową: „Ten trend zmienia obecnie bardzo dużo. Z jednej strony jest zagrożeniem. Z drugiej strony to ogromna szansa dla powstawania zupełnie nowych firm i koncepcji biznesowych. To widać nie tylko na rynku firm IT, lecz również w branży FMCG, branży kosmetycznej" – mówił Borek.

eprasa.pl c32ec8e9ed

De minimis,

czyli wielki program dla mikro, małych i średnich firm

Gwarancje de minimis to jeden z tych programów, z którego istnienia czasem nie zdają sobie sprawy nawet jego odbiorcy. Jednocześnie jest tym programem, który w ciągu kilku lat swojego działania przyczynił się do rozwoju wielu polskich mikro, małych i średnich firm oraz stał się jednym z kół zamachowych gospodarki

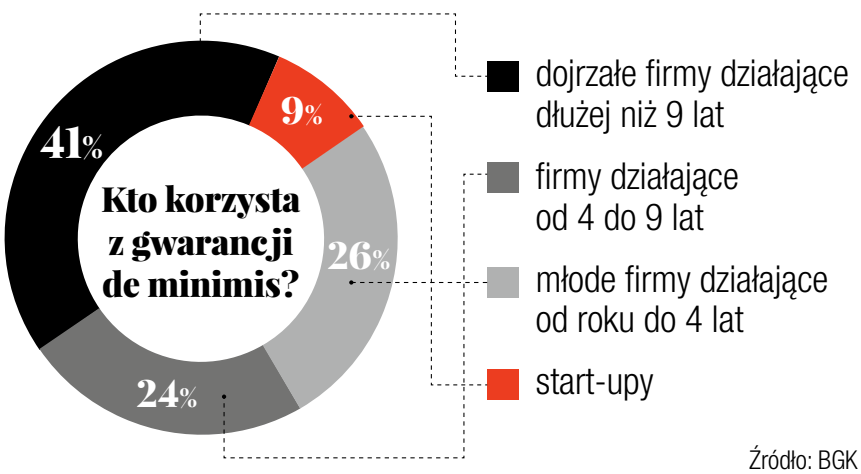
„To flagowy program banku, prowadzony od 2013 r." – powiedział członek zarządu Banku Gospodarstwa Krajowego Wojciech Hann w Rzeszowie, podczas Kongresu 590, rozpoczynając prezentację raportu z badań efektów i wpływu gwarancji de minimis na firmy.

Jak dodał Mateusz Walewski, główny ekonomista BGK, wciąż zdarzają się firmy, które nawet nie zdają sobie sprawy z tego, że korzystają z rządowego programu gwarancji de minimis.

Powodem, dla którego program bywa nieznany nawet jego odbiorcom, jest jego konstrukcja. BGK, który zajmuje się udzielaniem gwarancji, stoi z tyłu, za bankami, które „dodają" gwarancje do kredytów dla firm.

„Nasza rola jako banku rozwoju polega na uzupełnianiu oferty banków komercyjnych, a nie na ich zastępowaniu. To banki komercyjne udzielają kredytów firmom, ale to my udzielamy zabezpieczenia tego kredytu w postaci gwarancji. W programie de minimis kooperujemy z 20 bankami" – mówił Wojciech Hann.

Program polega na tym, że BGK udziela gwarancji na kredyty zaciągane w bankach komercyjnych przez przedsiębiorców. Konstrukcja tego instrumentu jest bardzo prosta – gwarancja może zabezpieczać zarówno kredyt inwestycyjny, jak i obrotowy, nie wymaga ona również skomplikowanej dokumentacji ani procedur. Kryteria dostępu do gwarancji nie ograniczają firm ze względu na branżę czy specyfikę działalności, co powoduje, że może z niej skorzystać każdy mikro, mały czy średni przedsiębiorca, który nie wykorzystał limitu pomocy de minimis. Takie zasady programu gwarancyjnego powodują, że jest on niebywale skuteczny.



Źródło: BGK

„Wartość udzielonych gwarancji w ciągu pięciu lat działania programu to 52 mld zł i 93 mld zł zabezpieczonych nimi kredytów" – mówił Wojciech Hann. „Dotychczas skorzystało z nich już niemal 141 tys. polskich firm".

„Program jest już widoczny w skali makro, bo wygenerowany kredyt w relacji do rocznego PKB sięgnął 1 proc. To dużo, podobnie jak znaczący jest odsetek przedsiębiorstw, które z gwarancji de minimis korzystają" – wyjaśniał Mateusz Walewski. „Udział kredytów ze wsparciem gwarancji w całości kredytów dla mikro, małych i średnich firm to 12 proc. Dla przykładu niemiecki bank KfW uzyskał udział na poziomie 25 proc., chociaż zajmuje się wyłącznie udzielaniem takich gwarancji. W naszym przypadku to jeden z wielu programów" – dodawał.

Gwarancje de minimis wyróżniają się także bardzo dużą efektywnością, wynoszącą nawet 40 zł faktycznego finansowania na każdą zaangażowaną przez BGK złotówkę.

Celem programu jest zmniejszenie luki finansowej, czyli ułatwienie mikro, małym i średnim firmom dostępu do zewnętrznego finansowania. I to działa. Z badania przeprowadzonego przez BGK wynika, że aż 54 proc. przedsiębiorstw miałoby ograniczony dostęp do

eprasa.pl c32ec8e9ed

finansowania, gdyby nie uczestniczyły w programie gwarancji de minimis. Z tego 34 proc. to firmy, które bez gwarancji BGK w ogóle nie otrzymałyby kredytu. Gdyby nie program, nie byłoby 29 mld zł kredytów dla tych firm.

Gwarancje poprawiły również sytuację firm, które i bez wsparcia uzyskałyby kredyt, ale na gorszych warunkach (stanowiły one 20 proc. ankietowanych).

„Ta sytuacja jest bliższa temu, co się dzieje w Niemczech" – mówił Walewski. „Tam bowiem firmy mają pieniądze na zabezpieczenie finansowania zewnętrznego, ale dzięki gwarancjom obniżają cenę finansowania. U nas przede wszystkim brakuje pieniędzy na zabezpieczenie kredytu, a cena ma mniejsze znaczenie".

Z programu korzystają także te firmy, które otrzymałyby kredyt i bez gwarancji, i to na takich samych warunkach, jakie wstępnie zakładały. Dla nich gwarancje oznaczają większe bezpieczeństwo działania i możliwość zwiększania inwestycji, w tym tych bardziej ryzykownych – innowacyjnych.

Dużą zaletą programu gwarancji jest również jego elastyczność. Dociera on do firm młodych, funkcjonujących na rynku od roku do czterech lat (stanowią one 26 proc. beneficjentów), do tych, które już mają doświadczenie (czyli funkcjonują od czterech do dziewięciu lat – 24 proc. beneficjentów), do firm dojrzałych, z doświadczeniem dłuższym niż dziewięcioletnie (aż 41 proc. biorących udział). Ale nie tylko.

„Warto zwrócić uwagę na to, że nasz program dociera również do start-upów. Aby pozyskać gwarancję jako zabezpieczenie kredytu, należy przejść przez normalną ocenę zdolności kredytowej w banku komercyjnym. Z tej perspektywy udział w programie start-upów, które najczęściej nie posiadają historii kredytowej, jest osiągnięciem" – powiedział główny ekonomista BGK.

Jeśli wziąć pod uwagę rozmiar przedsiębiorstw korzystających z gwarancji de minimis, to dominują mikrofirmy (76 proc.), a dalej firmy małe (18 proc.) i średnie (6 proc.).

Chociaż celem programu było wyłącznie ułatwienie pozyskania finansowania, wpłynął on na wiele innych aspektów działania firm. Przede wszystkim na miejsca pracy, jako sektor mikro, małych i średnich przedsiębiorstw zatrudnia w Polsce aż 70 proc. pracowników.

„Szacujemy, że dzięki programowi udało się stworzyć lub zachować aż 200 tys. miejsc pracy" – poinformował Walewski.

Firmy, które korzystają z programu, zaciągają przede wszystkim kredyty obrotowe. Dzieje się tak dlatego, że ten rodzaj finansowania jest najbardziej elastyczny i najwygodniejszy dla przedsiębiorców. Jednak to, że kredyt jest obrotowy, nie oznacza, iż wpływa wyłącznie na usprawnienie finansowania bieżącego działalności czy usuwania zatorów płatniczych. Kredyty obrotowe zabezpieczone gwarancją de minimis u większości firm (86 proc.) ustabilizowały ich sytuację finansową na tyle, że zdecydowały się one na różnego rodzaju działania rozwojowe. Znakomita większość firm dzięki finansowaniu z gwarancją poprawiła pozycję rynkową (66 proc.) lub ją utrzymała (dalsze 31 proc.). Wpłynęło ono również na potencjał inwestycyjny firm i ich zdolność do wprowadzania innowacji, nie tylko na poziomie organizacji, lecz także globalnym.

> Kryteria dostępu do gwarancji nie ograniczają firm ze względu na branżę czy specyfikę działalności

Program jest na tyle popularny, że pojawiają się pytania o to, czy nie zbliża się do granic swoich możliwości. W ostatnim czasie wzrost kwot kredytów udzielonych z gwarancją nieco spowolnił. Wiadomo jednak, że polskie małe firmy mniej chętniej niż duże korzystają z finansowania zewnętrznego, posiłkując się głównie środkami własnymi.

„Liczba firm korzystających z gwarancji zaczyna się stabilizować. Dochodzimy do pułapu, który jest określony przez zapotrzebowanie MŚP na kredyt. Ukredytowienie gospodarki jest stosunkowo niskie i trzeba to zmienić, choćby poprzez docieranie, we współpracy z bankami komercyjnymi, do przedsiębiorców i przekonywanie ich do zalet korzystania z kredytu" – powiedział Wojciech Hann.

Ale – jak wynika z rozmów, które przedstawiciele banku przeprowadzili przy okazji badania wykorzystania gwarancji de minimis – ten program ma spory potencjał edukacyjny.

„Widać, że w firmach powoli zmniejsza się wykorzystanie środków własnych na korzyść kredytu. Dzieje się to m.in. właśnie dzięki gwarancjom de minimis, które ułatwiają pozyskanie finansowania" – mówiła Agnieszka Kowalczyk, współautorka badania i raportu o programie gwarancji. „Dodatkowo gwarancje sprawiły, że małe firmy poczuły się pewniej w kontekście jego pozyskiwania i robią to już nie z jednego banku, jak było dotychczas, ale nauczyły się analizować, który z nich może dostarczyć lepszą dla nich ofertę finansowania razem z gwarancją".

To – zdaniem Agnieszki Kowalczyk – daje nadzieję, że udział kredytów w finansowaniu małych i średnich firm będzie rósł, a więc poszerzy się także grupa korzystających z programu gwarancji.

„141 tys. firm, które już wzięły udział w programie, to sporo, ale mamy apetyt na więcej" – powiedział Hann.

Argumentem, który przemawia za poszerzaniem programu przez BGK, jest również to, że kredyty, do których gwarancje są dodawane, okazują się bardzo dobrze spłacane. „Cały czas monitorujemy szkodowość kredytów, które dostały naszą gwarancję. Obecnie wynosi ona 2,6 proc. To bardzo mało" – mówił członek zarządu BGK. „Wynika to stąd, że niewielkie kredyty, udzielane małym przedsiębiorcom, spłacają się lepiej niż te udzielane dużym klientom".

Program de minimis nie jest oczywiście jedynym programem, jaki BGK prowadzi z myślą o firmach. Bank m.in. wspiera polskich eksporterów, udziela kredytów i poręczeń. Zajmuje się także dystrybucją funduszy unijnych.

9/1118/F

eprasa.pl c32ec8e9ed

Kolej się zmienia – na torach, w wagonach i na dworcach

Obecność prezesów większości spółek Grupy PKP na Kongresie 590 w Rzeszowie naturalnie sprawiła, że tematyka związana z inwestycjami kolejowymi w dużej części zdominowała debaty podczas kongresowych paneli. Szefowie spółek kolejowych rozmawiali o strategii, o dominującej roli pasażerów w podejmowanych przez spółki działaniach, o współdziałaniu w procesach modernizacji taboru i sieci kolejowej



59/1118/F

Do końca 2023 r. PKP S.A. zamierza zmodernizować lub wybudować od nowa ok. 200 dworców kolejowych. To największe tego typu przedsięwzięcie w historii polskiej kolei. W tym samym czasie trwa największa od lat akcja modernizacji taboru. Realizowany na polskich torach Krajowy Program Kolejowy (KPK) PKP Polskich Linii Kolejowych S.A. jest dokumentem, w którym zawarto ponad 220 kolejowych inwestycji infrastrukturalnych o wartości ponad 66 mld zł.

Jakie będą efekty programu i inwestycji, rozmawiali podczas panelu pt. „Kolej 2023" Andrzej Bittel – podsekretarz stanu w Ministerstwie Infrastruktury, Bogdan Rzońca – poseł na Sejm RP, przewodniczący Komisji Infrastruktury, prezes Zarządu PKP S.A. – Krzysztof Mamiński, Zbigniew Tracichleb – prezes Zarządu PKP Linii Hutniczej Szerokotorowej sp. z o.o., Mateusz Mroz – członek Zarządu Xcity Investment Sp. z o.o., Ireneusz Merchel – prezes Zarządu PKP Polskich Linii Kolejowych S.A., Marek Chraniuk – prezes Zarządu PKP Intercity S.A.

„Sektor kolejowy wciąż jest liderem w wykorzystaniu środków unijnych. PLK prowadzą Krajowy Program Kolejowy, którego realizacja jest na dobrym poziomie – 30 mld zł zaangażowanych środków, 8 mld to środki rozliczone. Nie tracimy jednak czujności, trzeba intensywnie pracować, aby nie zgubić tego dobrego rytmu" – mówił wiceminister Andrzej Bittel.

UNIA CHCE NA TORY

Nowa perspektywa unijna po 2020 r. od jakiegoś czasu jest swoistym benchmarkiem, punktem granicznym dla inwestycji transportowych. Jednak – jak wynika z wypowiedzi posła Bogdana Rzońcy – wcale nie musi być gorzej.

„Trwa proces budowania nowego budżetu unijnego. Jeśli wczytamy się w te dokumenty, okazuje się, że wynika z nich potrzeba przeniesienia przewozów towarowych z dróg na kolej. To oznacza, że pieniędzy na kolej zabraknąć nie może" – tłumaczył Rzońca. „Realizujemy obecny budżet, o co martwili się kilka lat temu nasi przeciwnicy polityczni. Mamy dobre wydatkowanie środków mimo kumulacji inwestycji. Muszą się jednak pojawić nowe, efektywne inwestycje związane z nowymi korytarzami transportowymi w Europie, choćby Via Carpatia, o którą tak zabiegamy. Także w kontekście bu-

eprasa.pl c32ec8e9ed

dowy Centralnego Portu Komunikacyjnego mówimy o budowie nowych linii kolejowych. Spółki Grupy PKP mają dobre wyniki finansowe, co jest dobrym wyjściem do kolejnych inwestycji" – chwalił przewodniczący Komisji Infrastruktury.

Ciekawą propozycję poddał pod dyskusję prezes PKP S.A. Krzysztof Mamiński, zwracając uwagę na firmy, które są wykonawcami inwestycji, choć w rzeczywistości „wykonawcami nie są". „Najbliższe tygodnie, miesiące to moment, w którym kolejne 100 dworców wejdzie do programu inwestycyjnego w perspektywie wykraczającej także poza 2023 r. Nie możemy mówić, że po tym roku, po obecnej perspektywie nie wiemy, co będzie się działo. My wiemy. Program jest realizowany – nie ma zagrożeń po stronie finansowej ani po stronie zamawiającego – PKP S.A. Jeśli jest problem, to po stronie kurczącego się rynku wykonawców" – wyjaśniał prezes PKP S.A. „Trzeba się zastanowić, jak rozwiązać problem takich firm jak Astaldi, bo dlaczego nie moglibyśmy mieć takich kompetencji u siebie w organizacji i zamawiać usługi bezpośrednio u rzeczywistych wykonawców? To trzeba rozważyć, bo pracy będzie bardzo dużo".

Program realizowany przez PKP S.A. obejmuje niemal 200 dworców na terenie całego kraju, a jego wartość szacowana jest na 1,5 mld zł. Inwestycje zakładające modernizację i budowę nowych obiektów są na różnych etapach realizacji – począwszy od prac projektowych, przez postępowania przetargowe na wybór wykonawców, aż po realizację robót budowlanych. Tylko w tym roku spółka oddała do użytku dworce: Siechnice, Święta Katarzyna, Żerniki Wrocławskie, Żarów, Poznań Główny (Dworzec Zachodni) i Poznań Garbary. Do końca grudnia spółka zamierza udostępnić pasażerom jeszcze dwa obiekty – w Jaworze i Strzelinie.

AMBITNE PLANY

By podjąć takie rozwiązanie, konieczne jest planowanie w długiej perspektywie, by wykonawcy mogli zaplanować zakupy maszyn, pozyskiwanie pracowników, rozwój firm... To – jak mówił prezes Mamiński – kwestia pewności zleceń i długiej perspektywy inwestycji. „Mamy znacznie więcej inwestycji – zatem to nie rynek wykonawców się skurczył, ale wzrosła liczba zleceń" – wyjaśniał minister Bittel. „Po to tworzymy plan, strategię inwestycyjną, by wykonawcy mieli szansę się przygotować. To przecież przedsiębiorcy dbający o swój biznes. Nie wykluczam, że w przyszłym roku będzie kumulacja inwestycji na kolei, ale przypominam, że taki nierównomierny program został uchwalony w 2015 r. i dziś skutecznie rozwiązujemy ten problem".

„Inwestycje na kolei to konieczność jednoczesnego prowadzenia prac i utrzymania, zgodnie z rozkładem, ruchu pociągów pasażerskich oraz towarowych" – podkreślał prezes PKP Polskich Linii Kolejowych S.A., Ireneusz Merchel.

„Działalność inwestycyjna ma wpływ na 8–10 proc. wszystkich opóźnień na sieci kolejowej. Oczywiście dążymy wszyscy do tego, żeby opóźnień było jak najmniej, choć podwoiła się liczba inwestycji" – mówił prezes Merchel. „Na placach budowy jest w tej chwili zaangażowanych ok. 32 mld zł. Tam, gdzie Astaldi zeszło z placu budowy, prace są już kontynuowane. Wykonawcy na inwestycjach kolejowych doskonale sobie radzą, bo rozbudowują potencjał. Również PLK kupują nowe maszyny, nowoczesny sprzęt. Przygotowujemy się do zakupu pociągów do wymiany podtorza, by wspierać wykonawców. Chcemy przyspieszyć, poprawić jakość prac i wprowadzić na tory nowoczesne technologie, choćby prefabrykaty. To pomoże znacznie skrócić czas wykonania inwestycji".

Przed koleją stoi też ogromne wyzwanie związane z jedną z największych inwestycji współczesnej Polski – Centralnym Portem Komunikacyjnym. Temat „nowej Gdyni" i budowy Portu Solidarność pojawiał się właściwie we wszystkich debatach kongresowych w Rzeszowie, nie zabrakło go zatem i w rozmowach na temat najbliższych kilku lat na kolei.

„Od początku współpracujemy z całym zespołem przygotowującym projekt Centralnego Portu Komunikacyjnego. To oczywiste, że sieć kolejowa jest nierozerwalnie związana z tym projektem. Korygujemy nasze działania projektowe na liniach wchodzących w skład inwestycji w CPK" – mówił prezes Merchel.

STANDARD NA MIARĘ XXI w.

Oczywiście najbardziej widoczne dla pasażera są inwestycje w tabor kolejowy, zwłaszcza ten kursujący w PKP Intercity. To spółka łącząca całą Polskę. Jak sam mówił prezes PKP Intercity Marek Chraniuk – pytanie o wi-fi w Pendolino wraca w każdej debacie na temat kolei i jakości usług w pociągach.

„Bez wi-fi w XXI w. nie da się wygodnie funkcjonować. Ale wiedzą już państwo, że to efekt niewłaściwej umowy podpisanej dawno temu. Mamy już przygotowany harmonogram instalacji z firmą Alstom i zapowiadałem, że pierwsze składy z zamontowaną łącznością bezprzewodową wi-fi wyjadą na tory jeszcze w tym roku" – zapewniał prezes Chraniuk. „Do 2023 r. chcemy mieć 80 proc. nowoczesnego taboru – po modernizacji i nowo zakupionego. Większość oczywiście modernizujemy, ale warto wiedzieć, że remonty są bardzo rozległe, wagony wyglądają jak nowe. Będzie oczywiście klimatyzacja, będą wygodne fotele, wi-fi, gniazdka, będzie ładowanie indukcyjne dla telefonów komórkowych. Znacznie wzrośnie komfort dla podróżnych. W przyszłym roku pojawi się na torach nowy wagon combi – ułatwiający podróż osobom niepełnosprawnym, rodzinom z dziećmi, turystom przewożącym rower lub narty".

Kolej się modernizuje. Jak mówił prezes Chraniuk – tam, gdzie PLK remontują tory, tam też PKP Intercity modernizuje i zmienia tabor. Oferta przewozów ma stać się spójna i powtarzalna, by pasażerowie wiedzieli, co znajdą w pociągu klasy Premium, a co w TLK.

Z pewnością modernizacja, a właściwie wszystkie niezwykle szeroko traktowane inwestycje w Grupie PKP należą do strategicznych. Bez względu na to, czy mówimy o komforcie pasażerów, szybkości i niezawodności, czy też o wciąż rosnących liczbach przewożonych koleją towarów i osób. Jak mówił prezes Mamiński, najbliższe lata to intensywne inwestycje, a potem trzeba zadbać o to, by kolejnych inwestycji było jeszcze więcej.

(mac)

eprasa.pl c32ec8e9ed



Rządzący dziś obóz polityczny słusznie rozbudza aspiracje obywateli do tego, by Polska stała się krajem wysoko rozwiniętym technologicznie. Nie chcemy wciąż tylko czerpać z rozwiązań segmentu hi-tech opracowanych i opatentowanych przez innych, ale wspierać, rozwijać, wdrażać i eksportować własne patenty. Angażując się w technologiczny wyścig, nie powinniśmy jednak zapominać o naszych narodowych skarbach wytwarzanych często w sposób mało innowacyjny, a wręcz tradycyjny. Przykładem takiego skarbu jest bez wątpienia polska żywność – od kilkunastu lat coraz wyżej ceniona na świecie za jakość

Polska żywność atutem globalnych marek

Fot. Andrzej Wiktor

Eksport polskiej żywności w latach 2004–2017 zwiększył się o 421 proc., co oznacza wzrost wartości o 22 mld dol. Oczywiście większość polskich produktów trafia na stoły konsumentów w Unii Europejskiej, ale nasza żywność podbija także rynki dalekowschodnie, a nawet afrykańskie. Żywność produkowana w naszym kraju staje się rozpoznawalną marką, którą zagraniczni klienci definiują jako zdrową, ekologiczną, wytwarzaną w naturalny sposób i bez genetycznych modyfikacji. Warto zauważyć, że potencjał, jaki ma silna marka polskiej żywności, nie ogranicza się tylko do pojedynczych producentów, lecz stanowi również silny atut dla globalnych marek. Jednym z pierwszych globalnych graczy, którzy dostrzegli potencjał polskiej żywności, był McDonald's. Znana chyba wszystkim sieć restauracji serwujących dania, które mają smakować tak samo i każdemu na całym świecie, opiera swój biznes w naszej części Europy głównie na polskim przemyśle spożywczym.

Zamawiając w McDonald's hamburgera z frytkami, zjadamy bułkę z Grodziska Mazowieckiego, wołowinę z Ostródy, sałatę z Legnicy, warzywa wyhodowane w jednym z polskich gospodarstw rolnych, z którymi współpracuje dostawca z Niepruszewa koło Poznania, a frytki z Lęborka. Dodajmy do tego ryby z Koszalina, jaja spod Łodzi i polską firmę z mazowieckiego, której flota ciężarówek rozwozi to wszystko do ponad 410 restauracji w Polsce. Aby mieć pełen obraz, warto wspomnieć jeszcze, że opakowania drukuje dla McDonald's polska firma poligraficzna, meble budują polscy stolarze, a budynki restauracji – średnio 20 nowych rocznie – powstają dzięki polskiej firmie budowlanej. Dodajmy też, że ubrania dla 24 tys. pracowników restauracji są szyte przez polską firmę odzieżową.

– W ciągu minionego ćwierćwiecza na dobre wpisaliśmy się w ekonomiczną i społeczną panoramę Polski. Nie szukamy dróg na skróty podyktowanych krótkoterminową korzyścią. Zależy nam na rozwoju naszych dostawców, licencjobiorców. Zatrudniamy niemal 24 tys. osób, 100 proc. jest zatrudnionych na podstawie umów o pracę. W 2016 r. wygenerowaliśmy ok. 206 mln zł podatków dochodowych, a wartość dodatkowej sprzedaży wygenerowanej w polskiej gospodarce w ubiegłym roku wyniosła prawie 4 mld zł – mówi Adam Pieńkowski, dyrektor generalny McDonald's Polska.

eprasa.pl c32ec8e9ed



Charakterystycznym modelem biznesu dla McDonald's jest franczyza. Licencjobiorcy prowadzą aż 330 spośród 410 restauracji z literą „M" w Polsce. Korporacja chętnie dzieli się swoim know-how z polskimi przedsiębiorcami, poddając ich na wstępie wyczerpującym, kompleksowym szkoleniom. Franczyzobiorcy z kolei chętnie rozwijają sieć zarządzanych przez siebie restauracji. Największym franczyzobiorcą McDonald's w Polsce jest aktualnie dolnośląski przedsiębiorca Bogusław Maziarz, który zarządza aż 15 restauracjami.

– Współpracę z McDonald's rozpocząłem w 1998 r. od rocznego szkolenia, w czasie którego dowiedziałem się wszystkiego o prowadzeniu restauracji tej sieci. Wcześniej nigdy nie byłem związany z branżą gastronomiczną. Franczyzę McDonald's wyróżnia bardzo długi czas, na jaki podpisywana jest umowa. Perspektywa współpracy przez 20 lat sprawia, że restauracja staje się właściwie firmą rodzinną, w którą każdy biznesmen w pełni się angażuje. Dodatkowo McDonald's oferuje wewnętrzny program Next Generation, który umożliwia wyszkolenie i wprowadzenie do biznesu naszych dzieci oraz ubieganie się o sukcesję w prowadzeniu restauracji – mówi Bogusław Maziarz.

Opracowanie dogodnych zasad sukcesji w prywatnym biznesie to jeden z projektów, nad którymi pracuje obecny rząd. Zbyt często bowiem w Polsce dochodziło do sytuacji, w której emerytura lub śmierć właściciela firmy oznaczała jej unicestwienie. Wewnętrzne rozwiązanie McDonald's jest więc tożsame z planami rządu premiera Mateusza Morawieckiego, który jeszcze jako minister rozwoju i finansów zadeklarował jednoznacznie, że będzie znosił bariery rozwojowe dla polskich przedsiębiorców. Pakiet ułatwień i zmian w ustawach regulujących prowadzenie działalności gospodarczej był przełomowy na tyle, że otrzymał nawet nazwę „Konstytucji biznesu". Niestety, jak to często z przełomowymi projektami bywa, najtrudniej nadążyć za nimi urzędnikom niższego szczebla, na których deklaracje premiera Morawieckiego o przyjaznym dla przedsiębiorców państwie, pewności prawa – polegającej m.in. na niestosowaniu przepisów wstecz – zdają się czasem nie robić wrażenia.

Przekonali się o tym na własnej skórze franczyzobiorcy McDonald's, którzy jeszcze kilka lat temu doliczali do cen swoich produktów 5-procentową stawkę podatku VAT na dania gotowe. Robili tak wszyscy restauratorzy, łącznie ze stacjami benzynowymi sprzedającymi hot dogi i inne przekąski. Gdy Ministerstwo Finansów zmieniło interpretację przepisów i nakazało płacić wyższą, 8-procentową stawkę VAT, którą objęte są usługi restauracyjne, właściciele punktów gastronomicznych dostosowali się do przepisów. Nadgorliwi urzędnicy skarbowi nie zadowolili się tym jednak i rozpoczęli naliczanie rzekomo zaległych podatków, ewidentnie niszcząc w ten sposób ideę Konstytucji biznesu i podważając zaufanie przedsiębiorców do państwa.

– Jedną z generalnych zasad Konstytucji biznesu jest klauzula pewności prawa. 5-procentowa stawka VAT na tzw. fast foody została przyjęta przez cały rynek na podstawie interpretacji indywidualnych i praktyki urzędów skarbowych. Urzędnicy skarbowi mają prawo wymagać stosowania 8-procentowej stawki od dnia wydania interpretacji ogólnej. W moim przekonaniu egzekwowanie tej stawki wstecz narusza Konstytucję biznesu – mówi Adam Abramowicz, rzecznik małych i średnich przedsiębiorców, którego biuro powstało właśnie jako jedna z obietnic zawartych w Konstytucji biznesu i ma pilnować jej przestrzegania.

– Do biura rzecznika wpłynęła skarga restauratorów i podjąłem już działania. Mam deklarację ze strony Ministerstwa Finansów, że ta sprawa będzie przeanalizowana i zostaną podjęte kroki, aby zwrócić uwagę urzędnikom niższych szczebli na ten problem. Wygląda na to, że część z nich nie zrozumiała Konstytucji biznesu albo uważa, iż można ją ignorować. Zostałem powołany przez premiera Mateusza Morawieckiego m.in. po to, aby takim przypadkom zapobiegać – dodaje Adam Abramowicz.

Niewykluczone, że część urzędników uznała, iż za amerykańskim szyldem – McDonald's powstał w 1940 r. w Kalifornii – kryje się amerykański kapitał, którego być może nie obejmuje Konstytucja biznesu. Tymczasem nawet w powszechnie dostępnej Wikipedii można przeczytać, że korporacja już od 1955 r. rozwija system franczyzowy. W Polsce oznacza to tyle, że kiedy podjeżdżamy pod okienko McDrive lub przekraczamy próg restauracji, otrzymujemy polską żywność, którą sprzedaje nam polski przedsiębiorca płacący w Polsce podatki. I dlatego, jeżeli ktoś kieruje się w swoich wyborach tzw. patriotyzmem konsumenckim, to może z czystym sumieniem zajadać się Big Makiem. A jeśli komuś zależy na znoszeniu barier rozwojowych dla polskich firm, powinien kibicować, by sieć restauracji z żółtym „M" nadal się dynamicznie u nas rozwijała.

Kajetan Kutnowski
Współpraca: Piotr Filipczyk

eprasa.pl c32ec8e9ed

Przyszłość palenia bez spalania

Redukcja szkód wywołanych paleniem papierosów to jedno z najważniejszych wyzwań branży tytoniowej. Dzięki pracy laboratoriów takich jak instytut BAT w Poznaniu rozwijany jest rynek wyrobów tytoniowych i nikotynowych nowej generacji



Naukowcy zatrudnieni w koncernach tytoniowych cały czas pracują nad alternatywnymi produktami zachowującymi wszystkie te cechy, które oddają odczucia związane z paleniem przy jednoczesnym zmniejszeniu jego szkodliwości dla zdrowia. Redukcja szkód wywołanych paleniem tytoniu to strategia zdrowia publicznego wielu państw, ale również strategia British American Tobacco (BAT).

AEROZOL ZAMIAST DYMU

– Nasze zaangażowanie w redukcję szkód zdrowotnych znajduje odzwierciedlenie w strategii „Transforming Tobacco", która zakłada oferowanie dorosłym palaczom wielu produktów potencjalnie zmniejszonego ryzyka. Jednym z nich jest technologia glo, która powstała w efekcie pracy 100 naukowców z pięciu kontynentów. W glo tytoń nie jest spalany, ale podgrzewany do około 240°C. Jego użytkownik zaciąga się aerozolem powstającym w wyniku podgrzewania specjalnych wkładów tytoniowych. Urządzenie nie zostawia popiołu i generuje mniej zapachu niż tradycyjne papierosy – mówi David O'Reilly, członek zarządu ds. naukowych i badań w BAT. W koncernie cały czas opracowywane są w laboratoriach nowe metody naukowe, aby ocenić potencjał zmniejszonego ryzyka niektórych produktów następnej generacji w porównaniu z paleniem tradycyjnych papierosów. W sumie BAT zainwestowało od 2012 r. w rozwój i badania nad alternatywnymi produktami około 2,5 mld dolarów.

W zmianach branży tytoniowej mamy jako kraj spory udział – centrum laboratoryjne BAT w Poznaniu to ważny ośrodek zajmujący się badaniem i rozwojem produktów nowej generacji.

Na blisko 500 mkw. laboratoriów instytutu (mikrobiologicznych, analitycznych oraz elektronicznych) i w hali produkcyjnej zespół młodych naukowców zajmuje się technologiami związanymi z innowacyjnymi systemami dostarczania nikotyny. Tylko w 2017 r. przeprowadzono tu ok. 2 tys. specjalistycznych analiz i badań urządzeń oraz 15 tys. analiz płynów nikotynowych i uwalnianego aerozolu. Instytut ma własne osiągnięcia w zakresie nowatorskich rozwiązań chronionych prawem patentowym, a do globalnych innowacji, które śmiało konkurują z pomysłami inżynierów z najbardziej innowacyjnych ośrodków na świecie, należą np. systemy zabezpieczeń układu ładowania ogniw czy sterowania pracą baterii urządzenia i sygnalizacji. Polski ośrodek odgrywa kluczową rolę w pracach naukowo-badawczych nad rozwojem nowych produktów, a rozwiązania wypracowane przez zespół naukowców z Poznania wykorzystywane są również przez innych wiodących światowych producentów branży papierosów elektronicznych.

MNIEJSZE RYZYKO DLA ZDROWIA

Światowym trendem na rynku nikotyny jest koncepcja harm reduction (zmniejszanie szkód). Polega na podejmowaniu działań, których celem jest minimalizacja rozmaitych zagrożeń związanych z ryzykownymi zachowaniami, takimi jak palenie papierosów. – Zasada redukcji szkód polega na tym, że w porównaniu z kontynuowaniem palenia tradycyjnych papierosów lepiej jest przestawić się na produkty, które mogą potencjalnie zmniejszyć ryzyko dla zdrowia i takie właśnie urządzenie stworzyliśmy na podstawie wieloletnich badań – tłumaczy O'Reilly. Obecnie powszechnie się uznaje, że większość szkód zdrowotnych związanych z paleniem jest spowodowana działaniem substancji toksycznych znajdujących się w dymie. Zamiast więc spalać tytoń, lepiej jest go

eprasa.pl c32ec8e9ed



Technologia podgrzewania tytoniu glo dostępna jest dzięki BAT na polskim rynku od końca września

podgrzewać – takie rozwiązanie oznacza zmniejszenie emisji substancji toksycznych o 90–95 proc. w porównaniu z tradycyjnymi papierosami. Potwierdziło to krótkoterminowe badanie kliniczne przeprowadzone w Japonii, w którym wzięło udział 180 uczestników. – Wyniki tego badania wskazują, że gdy palacze całkowicie przestawili się z tradycyjnych papierosów na glo, ich narażenie na pewne substancje toksyczne zostało znacznie zmniejszone, a w niektórych przypadkach redukcje były porównywalne z obserwowanymi u osób, które całkowicie zaprzestały palenia. Chociaż potrzebne są długoterminowe testy, wyniki badań sugerują, że glo może potencjalnie zmniejszyć ryzyko zachorowania na różne choroby związane z paleniem tradycyjnych papierosów – uważa O'Reilly. Testy wykazały także, że poziom substancji toksycznych w aerozolu produkowanym poprzez podgrzewanie tytoniu w glo jest znacznie zmniejszony w porównaniu z dymem z konwencjonalnego papierosa. – Nasi naukowcy wykazali również, że aerozol glo w porównaniu z dymem papierosowym ma znacznie mniejszy lub żaden wpływ biologiczny na komórki – mówi przedstawiciel BAT.

> W glo tytoń nie jest spalany, ale podgrzewany do około 240°C. Urządzenie nie zostawia popiołu i generuje mniej zapachu niż tradycyjne papierosy

PIERWSI W PRODUKTACH ALTERNATYWNYCH

BAT w Polsce działa od 1991 r., systematycznie realizując długoterminową strategię inwestycji. BAT rozbudowuje zakład w Augustowie, zwiększa zatrudnienie, współpracuje z licznymi firmami nie tylko w województwie podlaskim, lecz i w całym kraju. Do tej pory BAT zainwestowało w sumie 2,5 mld zł, z czego w ostatnich dwóch latach 450 mln zł w oddanie nowej hali produkcyjnej w fabryce w Augustowie. W 2015 r. BAT jako pierwsza firma tytoniowa w Polsce zaczęło inwestować w produkty alternatywne dla tradycyjnych papierosów poprzez przejęcie Grupy Chic, lidera rynku papierosów elektronicznych. Obecnie BAT zatrudnia w Polsce łącznie 3,6 tys. pracowników, z których prawie połowa – około 1,5 tys. osób – zajmuje się rozwojem i sprzedażą nowoczesnych wyrobów tytoniowych i nikotynowych. Liczba pracowników stale rośnie – jeszcze sześć lat temu było ich w całej firmie 1,1 tys. BAT jest także jedyną firmą tytoniową nad Wisłą z własnym zapleczem naukowo-badawczym zajmującym się produktami nowej generacji, a także nowoczesną fabryką płynów nikotynowych.

SzSz

eprasa.pl c32ec8e9ed



Zdjęcia Andrzej Skwarczyński

Bez innowacji nie ma branży farmaceutycznej

W Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju nadano właściwą rangę problemom kondycji społeczeństwa i jego zdrowia w kontekście gospodarki. Istotnym aspektem jest zwiększanie wydatków na badania i rozwój oraz inwestycje, wdrażanie nowoczesnych technologii oraz usprawnień związanych z profilaktyką, diagnostyką i leczeniem polskich pacjentów. Jak na tej scenie widzą siebie firmy farmaceutyczne dostarczające leki dla polskiego pacjenta? Jak układa się współpraca biznesu z administracją?

W debacie zorganizowanej przez redakcje „Gazety Bankowej" i tygodnika „Sieci" wzięli udział przedstawiciele administracji państwowej: minister zdrowia Łukasz Szumowski, zastępca dyrektora Departamentu Programów Wsparcia Innowacji i Rozwoju w Ministerstwie Inwestycji i Rozwoju Katarzyna Kaczkowska oraz zastępca dyrektora Departamentu Świadczeń Opieki Zdrowotnej Narodowego Funduszu Zdrowia Andrzej Śliwczyński. Punkt widzenia biznesu przedstawiali: prezes Polskiego Związku Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego Krzysztof Kopeć, wiceprezes Polskiego Związku Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego, a jednocześnie dyrektor ds. relacji zewnętrznych i ekonomiki zdrowia firmy Adamed Katarzyna Dubno, wiceprezes Polskiego Związku Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego i dyrektor ds. relacji zewnętrznych Grupy Polpharma Barbara Misiewicz-Jagielak oraz dyrektor generalna Servier Polska Joanna Drewla.

• ***Mamy bardzo dobrze rozwijający się przemysł farmaceutyczny w Polsce. Czy resort zdrowia zwraca uwagę na to, kto i jak produkuje leki na polski rynek?***

– Najważniejsza jest szerzej rozumiana kontrybucja danej firmy w gospodarkę kraju. Nie chodzi tylko o produkcję, nawet wręcz przeciwnie: dziś jest tak, że substancję czynną firmy sprowadzają właściwie od jednego producenta – pierwszy zabrał głos minister zdrowia Łukasz Szumowski.

– Z punktu widzenia stymulacji gospodarki narodowej najbardziej interesujące są działy R&D, na ile firma prowadzi badania w Polsce i na ile firma prowadzi innowacyjną działalność w Polsce. Z drugiej strony z punktu widzenia rządu i wszystkich obywateli ważne są aspekty ekonomiczne, czyli czy firma płaci podatki w Polsce, ile trafia do rodzimego budżetu, ile daje miejsc pracy, ile inwestuje w bezpieczeństwo pacjenta – wyliczał minister.

• ***Czy Ministerstwo Zdrowia bierze to pod uwagę przy decyzjach refundacyjnych?***

– Jako regulator z jednej strony kładziemy nacisk na maksymalnie efektywne wykorzystanie środków publicznych, czyli obniżkę cen, a z drugiej strony mamy nadrzędny cel – zapewnienie bezpieczeństwa polskim pacjentom. Chodzi o pewność dostawy leków. Zdarza się, że firmy grożą zaprzestaniem dostarczania leków, kiedy cena jest zbyt niska. Ministerstwo maksymalizuje korzyść dla pacjenta ze środków publicznych, czyli prowadzi negocjacje cenowe, jednocześnie jednak próbujemy – na ile się da – uwzględnić element wkładu do polskiej gospodarki. To nie jest proste: na otwartym rynku europejskim nie możemy promować firm ze względu na pochodzenie produkcji

eprasa.pl c32ec8e9ed

czy własność. Pracujemy nad tzw. RTR, czyli Refundacyjnym Trybem Rozwojowym. To będzie podstawa wszelkich decyzji – tłumaczył minister Szumowski.

– Czekamy bardzo na RTR. Dla każdego producenta – czy to krajowego, czy zagranicznego – mechanizm gwarantujący przejrzystość i stabilność dla inwestycji ma sens. Tylko rozmawiamy o tym RTR od dwóch lat i końca nie widać – wyraziła obawy dyrektor generalna Servier Polska Joanna Drewla.

– Spotkaliśmy się z wiceministrem przedsiębiorczości i technologii Marcinem Ociepą. Obiecał przygotować projekt RTR do połowy grudnia. To tak naprawdę ostatnia chwila. Boję się, że mechanizm nie powstanie, a jeśli przegapimy ten moment, nasz kraj ominą innowacje farmaceutyczne, nowe technologie, bo one nie mogą wiecznie na nas czekać. Nikt nie będzie u nas inwestował, tylko sprzedawał leki. Przykro mi, że nikt nas nigdy nie zapytał: co by się wam przydało, abyście mogli więcej inwestować w innowacje, żebyście więcej eksportowali? Administracja wymyśla to za nas – stwierdziła dyrektor ds. relacji zewnętrznych Grupy Polpharma Barbara Misiewicz-Jagielak.

– RTR jest jak Yeti. Rozmawiamy o nim, dostarczamy analiz, jak miałby wyglądać, ale nikt go jeszcze nie widział – zażartował prezes Polskiego Związku Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego Krzysztof Kopeć.

– Sam pomysł RTR wyszedł z Ministerstwa Zdrowia trzy lata temu. Potem słuch po nim zaginął. Informacja o tym, że ma zostać wprowadzony, pojawiła się niedawno w przyjętej przez rząd „Polityce lekowej Państwa na lata 2018–2022". Może się okazać, że RTR jest takim papierkiem lakmusowym, który pokaże, czy naprawdę chcemy mieć inwestycje w produkcję i innowacje w sektorze lekowym, czy nie – dodał już zupełnie poważnie prezes PZPPF.

– Obawiam się, że jeżeli RTR nie zostanie opracowany szybko, stanie się w ogóle niepotrzebny: krajowy przemysł farmaceutyczny zamiast się rozwijać, będzie się zwijał, jak mówią nam analizy – podsumowała bez ogródek dyrektor ds. relacji zewnętrznych i ekonomiki zdrowia firmy Adamed Katarzyna Dubno.

● ***Na wspieraniu współpracy z firmami farmaceutycznymi zyskamy wszyscy: i gospodarka, i biznes, i pacjenci. Czy to, że branża farmaceutyczna jest jednym z filarów Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, wiąże się z jakimiś konkretnymi działaniami, programami?***

– Każdy inwestor – czy polski, czy zagraniczny – szuka oferty najlepszej dla swojego biznesu, to normalne rynkowe zachowanie. Po stronie administracji leży stworzenie zachęty dla inwestorów, szczególnie tych, którzy chcą realizować największe inwestycje o dużej wartości dodanej – związane z badaniami czy pracami rozwojowymi – tak rolę państwa widzi zastępca dyrektora Departamentu Programów Wsparcia Innowacji i Rozwoju w Ministerstwie Inwestycji i Rozwoju Katarzyna Kaczkowska.

– Cele w SOR są jasno określone, chodzi m.in. o wzrost innowacyjności. I nasze instrumenty pomagają ten cel osiągnąć. Mamy na to ponad 8,5 mld euro z funduszy europejskich w Programie Inteligentny Rozwój. SOR wskazuje między innymi, które branże mają już dziś największy potencjał, a jednocześnie mogą stanowić lokomotywy wzrostu na przyszłość. Krajowa Inteligentna Specjalizacja pokazuje 17 takich obszarów, w tym „zdrowe społeczeństwo" – dotyczący szeroko rozumianej medycyny, m.in. wytwarzania nowych leków. Projekty z tych obszarów mogą liczyć na finansowanie z Programu Inteligentny Rozwój. „Zdrowe społeczeństwo" to jeden z najpopularniejszych tematów projektów – ponad 10 proc. projektów zarówno ilościowo, jak i pod względem wartości wsparcia mieści się właśnie w tej tematyce. Polska ma tu zatem naprawdę duży potencjał – dodała pani dyrektor.



Innowacje są ważne. W tej chwili mamy rynek badań klinicznych na poziomie 1,3 mld zł, a z szacunków porównawczych wynika, że powinien on sięgać 3 mld zł. To jest istotny komponent gospodarki zdrowotnej, który chcemy wzmocnić. ***Łukasz Szumowski***

– Ten potencjał widoczny jest również w charakterze projektów: finansujemy zarówno mniejsze przedsięwzięcia, jak i duże inwestycje typu centra badawczo-rozwojowe lub duże projekty badawcze. Te przedsięwzięcia warte są często kilka, a nawet kilkadziesiąt milionów złotych. Nasze finansowanie nie przekracza zwykle 50 proc. wydatków, zatem resztę kosztów ponosi firma. Skoro przedsiębiorcy się na to decydują, wiemy, że chcą być dłużej obecni na polskim rynku, tutaj prowadzić badania, tworzyć nowe leki czy terapie. Taką aktywność widzimy również wśród firm z kapitałem polskim – ostatnio w jednym z programów akceleracyjnych partnerem wiodącym był Adamed – opowiadała Katarzyna Kaczkowska z MIiR.

● ***Adamed to firma z ogromnym potencjałem, której hasłem jest „Tu polska innowacja ma swój początek". Czego potrzebujecie, aby się rozwijać? Jakiego wsparcia oczekujecie od administracji państwowej?***

– Adamed jest na polskim rynku od ponad 30 lat, mamy dwa zakłady produkcyjne w kraju, osiem przedstawicielstw, 65 rynków na całym świecie i chcemy rozwijać eksport, co jest ważne z punktu widzenia polskiej gospodarki. Dużo inwestujemy w innowacje, badania i rozwój – 1 mld 200 tys. zł od 2001 r.

RTR/ITR

Jak informuje wiceminister zdrowia Marcin Czech, Refundacyjny Tryb Rozwojowy przekształca się obecnie w Innowacyjny Tryb Rozwojowy.

Do trwających od dwóch lat prac nad modelem pomiaru zaangażowania podmiotów w gospodarkę krajową dołączyło Ministerstwo Finansów jako ekspert od spraw podatkowych. Prowadzącym projekt jest Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii, z pomocą Ministerstwa Zdrowia. Pod uwagę brane są następujące kryteria: nakłady na badania podstawowe, przedkliniczne i kliniczne, nakłady na badania dotyczące nowych rozwiązań informatycznych, infrastruktura badawczo-rozwojowa (własne ośrodki), liczba zgłoszeń patentowych i uzyskanych patentów, wielkość produkcji, wielkość inwestycji, wielkość zatrudnienia (liczba pracowników), odprowadzone podatki (CIT), działalność eksportowa/wpływ na bilans handlowy, liczba projektów badań klinicznych 1 i 2 fazy na terytorium Polski.

eprasa.pl c32ec8e9ed

W przyszłym roku chcielibyśmy zainwestować 237 mln zł. Krajowe firmy farmaceutyczne przełamują monopole wielkich koncernów międzynarodowych, wprowadzając odpowiedniki leków i generując istotne oszczędności dla budżetu państwa. To zwiększa dostępność terapii dla polskich pacjentów – wymienia Katarzyna Dubno z Adamedu.

– Jesteśmy w tej chwili w bardzo trudnym momencie. Inwestycje w branży farmaceutycznej są długofalowe, wieloletnie, przy lekach innowacyjnych zajmują one nawet 15–20 lat. Musimy je z czegoś finansować i robimy to z naszej codziennej działalności, z przychodów



Musimy zabezpieczyć pacjenta jak najlepiej. Ale widzimy też, że dzięki firmom innowacyjnym w Polsce bardzo dużo udało się zrobić. Współpracujemy z sobą: administracja i biznes. *Andrzej Śliwczyński*

z leków, które sprzedajemy. Potrzebujemy przewidywalności otoczenia biznesowego i zaufania do organów państwowych. Jesteśmy w trakcie renegocjacji decyzji refundacyjnych i nie wiemy, jak będzie wyglądała nasza sytuacja w nowym roku. A to oznacza, że nie wiemy, czy będziemy w stanie zrealizować nasze plany związane z inwestycjami. O RTR rozmawiamy już dwa lata. MPiT potwierdziło, że projekt jest gotowy od sierpnia. A wszyscy wiemy, że wciąż go nie ma. Jednocześnie Komisja Ekonomiczna koncentruje się jedynie na cenie. To krótkowzroczna polityka – punktuje pani dyrektor.

– W procesach refundacyjnych diabeł tkwi w szczegółach. Nie może być też tak, że skoro firma jest polska, to ceny może mieć wyższe – ripostował minister Szumowski.

– Nie wolno tak do tego podchodzić. Państwo uważają, że administracja czy członkowie komisji opiniujących leki na kolejnych etapach powinni inaczej traktować firmy polskie w stosunku do „niepolskich"? – pytał retorycznie Andrzej Śliwczyński z Narodowego Funduszu Zdrowia.

– Tymczasem nie wiemy, co to jest „firma polska": czy to ta firma, która ma siedzibę w Polsce, a zakłady gdzie indziej, czy ta, która tutaj wytwarza, ma centra. A może przedstawicielstwo firmy zagranicznej, które jest w Polsce i płaci tu podatki, to też firma „polska"? Przepisy polskiego prawa, ale także unijnego, zobowiązują nas do jednakowego traktowania swoich adwersarzy po drugiej stronie stołu. Dopóki nie mamy definicji, co to znaczy „firma polska", trudno, abyśmy prowadzili wobec takich firm działania. Z punktu widzenia płatnika zaś najważniejsza jest oczywiście cena, a dzięki oszczędnościom zabezpieczamy terapię innym pacjentom i możemy przeleczyć ich więcej. Niezbędna jest definicja, wskazanie w przepisach prawa, które firmy są dla polskiej gospodarki ważne, wtedy urzędnik będzie mógł tym prawem się posługiwać – powiedział przedstawiciel NFZ.

– Z punktu widzenia polityki krajowej przede wszystkim jednak liczy się to, czy firma płaci podatki w Polsce i inwestuje tutaj. A definicję „przyjaciela polskiej gospodarki" przygotowuje właśnie MPiT. Chcemy uzyskać listę 10–20 firm zweryfikowanych z punktu widzenia gospodarki i przekazać ją komisji ekonomicznej – nie ustępował Łukasz Szumowski.

– Co do negocjacji: gdzieś trzeba się spotkać, zwykle jest pole do znalezienia konsensu. Bardzo potrzebne są spotkania, rozmowy, negocjacje. Chcę tutaj zadeklarować chęć spotkania ze wszystkimi interesariuszami razem, a potem również z każdym z państwa osobno, bo poza pracą nad wspólnymi dla branży potrzebami jesteście przecież państwo konkurentami – obiecał minister zdrowia.

● ***Czy narodowe firmy farmaceutyczne są potrzebne polskim pacjentom? A jako krajowi producenci – polskiej gospodarce?***

– Dla pacjenta najważniejsze jest to, by otrzymać skuteczny i bezpieczny lek w aptece – potrzebuje bezpieczeństwa lekowego. To jest nasza podstawowa rola, aby takie leki produkować w Polsce i aby ich cena była przystępna – uważa Barbara Misiewicz-Jagielak z Grupy Polpharma.



Rolą administracji jest stworzenie atrakcyjnych zachęt dla inwestorów, szczególnie tych, którzy chcą realizować w Polsce inwestycje o dużej wartości dodanej, związane z badaniami i pracami rozwojowymi. Takie projekty finansujemy w Programie Inteligentny Rozwój. *Katarzyna Kaczkowska*

– Polpharma jest największym producentem leków w Polsce. Co siódme opakowanie leku refundowanego pochodzi z naszych fabryk. Mamy własną fabrykę substancji czynnej w Starogardzie. Wiele lat była to produkcja nierentowna, ale przetrwaliśmy i dziś zapewniamy dostawy nie tylko na polski rynek, lecz i za granicę. Produkujemy leki, które nie mają żadnych odpowiedników. Dlatego, że są tak tanie. Ale my je produkujemy i nadal będziemy, bo tak narodowy producent powinien traktować swoich pacjentów. Pacjenci nie zastanawiają się nad tym, że leku mogłoby zabraknąć. W przeszłości, podczas różnych kryzysów wiele państw to odczuło, dlatego potrzeba produkcji jak największej ilości leków tu, na miejscu. Dlatego jesteśmy tak potrzebni polskim pacjentom – przyczyniamy się do zapewnienia bezpieczeństwa lekowego i działamy w sposób odpowiedzialny – wyjaśniła pani dyrektor.

– Jesteśmy też bardzo potrzebni polskiej gospodarce. Jak zauważył premier Morawiecki: Polska, aby wspiąć się szczebel wyżej, musi postawić na gałęzie innowacyjne, oparte na wiedzy, nowoczesne. Takim jest przemysł farmaceutyczny. Wszystkie kraje wspierają swoich czempionów go-



Administracja chce podejmować decyzje za pacjenta. A to on powinien iść do apteki i mieć wybór, co kupi, i jeśli zechce okazać swój patriotyzm gospodarczy, wybrać leki krajowych producentów. Miliony pacjentów cenią te leki – nie możemy im odbierać możliwości wyboru. *Krzysztof Kopeć*

eprasa.pl c32ec8e9ed

spodarczych. Dzięki nim zwiększa się potencjał eksportowy. Duża firma ma siłę, strukturę i środki, aby przebić się za granicą. Za nią podążają te mniejsze. Wokół czempionów narodowych budowane są ekosystemy. Łańcuchy dostaw są coraz dłuższe. Dzięki inwestycjom w innowacje budują przewagę konkurencyjną kraju. Polska potrzebuje takich czempionów. Polpharma jest jednym z nich (szósta w rankingu Polityki Insight), ale powinno takich czempionów być dużo więcej, bo jest ku temu szansa. Jednak sami tego nie zrobimy. Jesteśmy przepychani od jednego resortu do drugiego, choć cały czas słyszymy, jak bardzo jesteśmy potrzebni polskim pacjentom i gospodarce. Potrzebna jest wspólna strategia – rządowa, a nie każdego z ministerstw osobno. My musimy brać udział w jej opracowywaniu, bo nikt nie wie lepiej od nas, co nam przeszkadza w rozwoju – dodała.



Zainteresowaniem cieszą się leki biologiczne. Są skuteczne, ale drogie i trudne w produkcji. Polpharma zdecydowała się zainwestować w tę kosztowną i ryzykowną dziedzinę. Za chwilę pojawią się na rynku leki biorównoważne produkowane w Polsce. *Barbara Misiewicz-Jagielak*

• ***Dlaczego międzynarodowy koncern zainwestował właśnie w Polsce? Jak ocenia pani porozumienie branży z administracją? Wydaje się – jak wynika z poprzednich wypowiedzi – że cele są wspólne.***

– Czujemy się polską firmą, ostatnio dołączyliśmy do Polskiego Związku Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego. Robimy wszystko to, o czym wspominał minister: zatrudniamy tutaj ludzi, płacimy tutaj podatki, mamy tutaj mury, jesteśmy więc tak naprawdę pracodawcą polskim – wyliczyła Joanna Drewla z Servier Polska.

– Nasza produkcja opiera się na bazie substancji czynnej sprowadzanej z Unii Europejskiej, a nie z Chin. To gwarantuje, że milion naszych polskich klientów jest leczonych lekiem najwyższej jakości. Naszym corebiznesem jest działalność badawczo-rozwojowa. A dzisiejsza sytuacja nie odbiega od tej, w jakiej są pozostałe negocjujące firmy. Nasze ceny na polskim rynku są znacznie niższe od tych na europejskim. Propozycje składane dzisiaj są dla nas nie do zaakceptowania, stawiają nas pod murem. Nie są racjonalne. Jednocześnie w centrali firmy walczymy o kolejne inwestycje w Polsce. Jeśli z nowym rokiem utracimy miliony złotych dochodu, do tych inwestycji na pewno nie dojdzie. Taka sytuacja zawieszenia jest niedopuszczalna, a powtarza się przy każdych kolejnych negocjacjach. W negocjacjach refundacyjnych bardzo brakuje merytorycznej wymiany zdań. Jest tylko rozmowa o cenie. Padają propozycje z obu stron. Ale tak naprawdę po prostu musimy się zgodzić na propozycję ze strony administracji – dodała pani dyrektor generalna.

• ***Kto jest partnerem: producent leku czy pacjent? A może nie należy tego stawiać w kontrze?***

– Cieszę się, że powstają regulacje prawne, które pozwolą powiedzieć, iż pewni producenci ze względu na swój wkład w gospodarkę kraju powinni być traktowani priorytetowo. Ale trzeba pamiętać o tym, że Narodowy Fundusz Zdrowia jest przedstawicielem pacjentów. Dbamy o to, aby za pulę posiadanych pieniędzy dla polskich obywateli kupić jak najwięcej zdrowia. Podchodzimy do tego ekonomicznie, starając się zyskać jak najwięcej dla Polaków – wskazał konkretnie Andrzej Śliwczyński z Narodowego Funduszu Zdrowia.

– Musimy zabezpieczyć pacjenta jak najlepiej. Ale widzimy też, że dzięki firmom innowacyjnym w Polsce bardzo dużo udało się zrobić. Współpracujemy z sobą: administracja i biznes. Spory zawsze będą się zdarzać, ale decyzje w końcu zawsze się wykluwają. W 2005 r. mieliśmy 13 programów lekowych, z których część teraz jest już w standardowym leczeniu. Dziś tych programów jest niemal 70. To dowód na to, że proces jest wykonalny – dodał przedstawiciel NFZ.



W negocjacjach refundacyjnych bardzo brakuje merytorycznej wymiany zdań. Jest tylko rozmowa o cenie. A tak naprawdę po prostu musimy się zgodzić na propozycję ze strony administracji. *Joanna Drewla*

– Kiedy państwa słucham, to nie mogę przestać się dziwić, dlaczego – skoro jest tak dobrze – jest tak źle... – wtrącił prezes Polskiego Związku Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego Krzysztof Kopeć.

– Premier zaledwie tydzień temu mówił, że dążymy – wzorem Niemiec czy Francji – do tego, aby Polacy leczyli się lekami produkowanymi tu, na miejscu. To wymaga od nas ciągłych inwestycji. Trudno mi to sobie wyobrazić, kiedy musimy bez przerwy oszczędzać, bo leki mamy sprzedawać najtaniej. Fachowców najlepiej więc zatrudniać bez wypłaty? Tak się nie da. Gospodarkę napędza pieniądz. Kupując leki, inwestujemy i tylko od nas zależy, czy w Polsce, kupując krajowe leki, czy w Azji, kupując leki azjatyckie. Nie zawsze chodzi o to, aby kupić tanio. Warto przede wszystkim kupić mądrze – przekonywał prezes PZPP.



Krajowe firmy farmaceutyczne, wprowadzając odpowiedniki leków zagranicznych koncernów, zwiększają dostępność nowoczesnych terapii dla polskich pacjentów i generują istotne oszczędności dla budżetu państwa. *Katarzyna Dubno*

– Nie możemy się bez przerwy porównywać do innych krajów. Każdy z nich ma inny system ochrony zdrowia, inne bariery, inne problemy – polemizował Andrzej Śliwczyński z Narodowego Funduszu Zdrowia.

– Limity wyliczane są na podstawie analiz, nie są wzięte znikąd. Ale jednocześnie pragnę podkreślić, że z każdym producentem chcemy rozmawiać: o kosztach, o organizacji. Mamy przecież wspólny cel: aby polski pacjent miał jak najlepiej – powiedział na podsumowanie dyskusji.

44/1018/F, 42/1118/F, 43/1118/F, 45/1118/F

eprasa.pl c32ec8e9ed

LUCYNA ĆWIERCZAKIEWICZOWA PIERWSZA KRÓLOWA POLSKIEJ KUCHNI

Pani od obiadów



Trzęsła warszawską socjetą końca XIX w. Bywała na salonach, nadawała ton dyskusjom i balom. Żadna inna kobieta w Królestwie Polskim nie odniosła takiego sukcesu jak Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

„365 obiadów za 5 złotych" (pierwsze wydanie ukazało się w roku 1860) było najchętniej czytaną polską książką tamtego okresu i zajmowało honorowe miejsce w tysiącach polskich domów, tuż obok Biblii. Nakłady kolejnych jej książek kucharskich były wyższe niż dzieł Mickiewicza i Słowackiego, a prowadzony przez nią salon przy Królewskiej odwiedzały największe osobistości stolicy. Za zarobione pieniądze mogła kupić trzy majątki ziemskie!

Bolesław Prus tak pisał o jej bestsellerze: „Do zawarcia małżeństwa niezbędne są trzy warunki: pełnoletniość obojga, ich wolna, nieprzymuszona wola oraz... »365 obiadów za 5 złotych« Ćwierczakiewiczowej".

Przez wiele lat była niekwestionowaną królową polskiej kuchni. Proponowała przepisy, podpowiadała sprawdzone sposoby na wydobycie najpełniejszego smaku potraw. Na przykład mielonych klopsów, które zyskują, gdy do mięsa doda się startego czosnku, upieczoną i startą cebulę oraz garść kaparów. Z kolei siekany czy bity kotlet cielęcy, zamiast w jajku, najlepiej zamoczyć w roztopionym maśle, posypać tartą bułką, odsączyć, a potem wrzucić na wrzące już, lecz jeszcze niezrumienione masło. Najlepszy sposób na kurczęta? Koniecznie upiec je na rożnie (bo w piecu stają się łykowate), ale też wcześniej nadziać je „bułką tartą wymięszaną z młodem surowem masłem i siekaną zieloną pietruszką".

Lucyna Ćwierczakiewiczowa podkreślała: „Powtarzalność przy stole jest nudna. Jedzenie jest jak życie. Wymaga urozmaicenia, inaczej robi sie mdłe". I docierała z tymi uwagami do imponującej liczby czytelniczek.

Wielu współczesnych zazdrościło jej pozycji osiągniętej dzięki pracowitości oraz żyłce do marketingu i interesów. Szukało jej słabych punktów. Niewysoka (ledwie półtora metra wzrostu) i mocno korpulentna Ćwierczakiewiczowa była osobą charyzmatyczną i energiczną, ale też głośną. Jej cięty język prowokował m.in. takie komentarze: „Panoszy się na mieście jak pawie pióro w kapeluszu".

Skuteczność jej działań i talent do autopromocji też nie budziły jedynie pozytywnych reakcji. Mówiono o niej: „Jest jak rtęć, wszędzie się wciśnie". A oszczędność pielęgnowana niezależnie od systematycznie rosnących dochodów sprawiała, że nazywano ją „Ćwierciakiewiczową".

Była kobietą pracującą, przekraczała bariery, łamała konwenanse (rozwód, nietypowe, jak na jej czasy, partnerskie małżeństwo, praca w redakcji czasopisma, pomysł na pierwszy poradnik kulinarny i kolejne, finansowa samodzielność...). W XIX-wiecznej Warszawie wszyscy ją znali, ale nie wszyscy byli jej życzliwi. Przyszedł czas, gdy wpleciona w sieć intryg stołecznego towarzystwa, mimo niewątpliwych zasług (była też filantropką, skuteczną organizatorką zbiórek dla najuboższych i zsyłanych na Syberię), musiała walczyć o dobre imię.

Nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazała się właśnie książka pt. „Pani od obiadów. Historia życia". Jej autorka – Marta Sztokfisz – zaserwowała czytelnikom wyborną biografię. Doprawiła ją ze smakiem zdjęciami, rycinami i przepisami.

Jolanta Gajda-Zadworna



Szarlotka z jabłek pieczonych

Upiec jabłka w piecu, obrać ze skórki i pestek, wymieszać z cukrem, skórką cytrynową, pomarańczową lub cynamonem. Wziąć kwaterkę mąki i tyle wgnieść w tę mąkę masła młodego, ile przyjmie w siebie, i łyżkę cukru, rozwałkować cienko, wysmarować i wysypać rondel bułeczką; wyłożyć tym ciastem, a w środku jabłka, przekładając gdzieniegdzie konfiturami i skórką pomarańczową, w cukrze smażoną; przykryć ciastem i wstawić w piec dobrze ciepły.

eprasa.pl c32ec8e9ed

SŁODKO-SŁONY

Głowa do gotowania

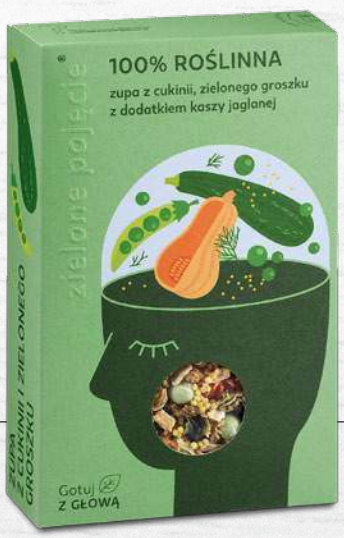
ANNA MONICKA

„Zielono mam w głowie i fiołki w niej kwitną sadzone na klombach mych myśli za młodu” – przypomniałam sobie ostatnio ten wiersz Kazimierza Wierzyńskiego w dość nieoczekiwanych okolicznościach, muszę przyznać. Otóż zauważyłam w sklepie półkę z bardzo ciekawie wyglądającymi opakowaniami. Kolorowe tekturowe pudełka z okienkiem, żeby każdy mógł zobaczyć, co jest w środku, i rysunek głowy wypełnionej ziarnami kasz, grochu, zielonymi listkami.

Hasło „Gotuj z głową” oraz zestaw składników w opakowaniu skłonił mnie do zakupów i przeprowadzenia minitestu konsumenckiego z koleżankami w pracy.

Zupa z ciecierzycy i soczewicy – idealna na taką pogodę, jak ostatnio – pachnie orientalnymi przyprawami prawie jak marokański oryginał. Nic dziwnego, doprawiona została kurkumą, kolendrą, kminem, cynamonem, gałką muszkatołową, czosnkiem, pieprzem cayenne, prażoną cebulką. Postępujemy z nią jak ze zwykłą zupą w proszku, choć ta mieszanka nie ma nic wspólnego z gorącymi kubkami i innymi tego typu daniami instant. Ciecierzyca jest już podgotowana, więc danie gotowe jest szybko, bo czerwona i zielona soczewica oraz kuskus nie potrzebują więcej niż 20 min. Wygląda i smakuje doskonale, trzeba ją tylko ciut dosolić i dodać odrobinę oliwy albo kropelkę oleju sezamowego – co kto lubi.

Marka Mam Zielone Pojęcie – bo mam zielone pojęcie o zdrowym jedzeniu, skoro sięgam po ten wegański produkt – podbiła tą zupą mój żołądek. Przy okazji – kupując ten produkt, przekazałam 10 gr na rzecz Stowarzyszenia Otwarte Klatki i walkę z okrucieństwem wobec zwierząt. Niby niewiele, ale w ciągu 10 dni przetestowałam już kolejne dwie zupy – cukiniową z kaszą jaglaną i zielonym groszkiem oraz pomidorową z bulgurem. Potem zrobiłam jeszcze całkiem spore zamówienie, bo doszłam do wniosku, że przed świętami nie muszę codziennie sterczeć przez parę godzin nad garnkami, a rodzina musi przecież zjeść coś porządnego.



Twórcy tej młodej wegańskiej marki podkreślają, że kuchnia roślinna jest drogą do lepszego świata – bez cierpienia, zanieczyszczeń i chorób cywilizacyjnych. Też tak uważam.



WILCZYM OKIEM

Miód nie jest tym, czym się wydaje

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Historia miodu to historia niczym z thrillera. Wszystko zaczęło się w lesie, czyli w naturalnym środowisku pszczoły miodnej *Apis mellifera*. Tysiące lat przed wynalezieniem przez człowieka sposobu na hodowlę pszczół owady te zamieszkiwały knieje, zakładając gniazda w dziuplach drzew. Miód – słodka, działająca przeciwbakteryjnie substancja, był tak pożądany, że oparte na naturalnym wspomaganiu pszczół bartnictwo szybko wyewoluowało w pszczelarskie hodowle, których symbolem jest ul.

Pszczela epopeja w takim charakterze mogłaby nieprzerwanie trwać kolejne tysiąclecia, gdyby nie żywioł chiński. Akcja z lasu przenosi się na internetowy portal Alibaba. Przykładowe dane z Alibaby: cena kilograma miodu akacjowego „Chinese acacia honey” to 59 centów. Minimalne zamówienie – 100 ton. Lokalizacje: Zhejiang, Guangxi, Xinjiang, Shanxi lub Hunan oraz inne, rozsiane po całym Państwie Środka „pasieki”. Moce przerobowe jednego z producentów: 2,5 tys. ton tygodniowo. Miód dostarczany jest w 290-kilogramowych, metalowych beczkach. Na rozmaitych aukcjach można kupić miód, w jakiej tylko komu formie pasuje, np. na rynek polski od razu w słoikach wyglądających jak te, w których w latach 80. każdy trzymał domowe przetwory. Albo w przypominających baryłeczkę, pięknie wyglądającą na ekologicznej półce.

Jak konkurować z taką ofertą, hodując tradycyjnie pszczoły w ulu? Pokusa sięgnięcia po chiński miód zapewne jest duża. Nie wnikam przy tym w kwestię jakości, nigdy jej nie analizowałem; po prostu stwierdzam fakt – chiński miód produkowany jest i oferowany do sprzedaży w niewyobrażalnie wielkich ilościach i na pewno nie ulatnia się jak kamfora.

O ile tendencja opisana powyżej jest zastanawiająca, o tyle inna, również dotycząca tematyki pszczelej, jest niepokojąca: to zmniejszanie się liczebności pszczół na świecie.

Może odpowiedzią na obie tendencje będzie powrót pszczół do leśnych korzeni? Polskie Towarzystwo Leśne, jedna z najstarszych organizacji zrzeszających leśników na świecie, pracuje nad przywróceniem pszczół do lasów, do barci w pniach sosen i dębów – z korzyścią dla przyrody i dla miodu.

eprasa.pl c32ec8e9ed

Świnie wróciły do rury

PIOTR SKWIECIŃSKI

Na filmiku widać, jak na bożonarodzeniową choinkę stojącą w jakimś centrum handlowym wdrapują się mężczyźni o śniadej cerze. Zrywają z niej bombki i inne przedmioty. Dookoła radosny tłum, w którym można zauważyć kobiety w muzułmańskich burkach. Akcja filmiku jest z reguły umiejscawiana w Szwecji.

Inne nagranie, pochodzące z Berlina. Oto po schodach wiodących do metra zaczyna schodzić kobieta. Za nią przechodzi grupka mężczyzn, oczywiście śniadych. Nagle jeden z nich, skądinąd z butelką w ręku, bez jakiejkolwiek zrozumiałej przyczyny, czyli bez żadnej wymiany zdań z kobietą, bez próby napaści seksualnej czy rabunkowej, z rozmachem kopie ją w plecy. Ku jego i jego kolegów widocznej satysfakcji dziewczyna przewraca się i spada ze schodów, na twarz. Z iluś stopni, więc obrażenia mogła odnieść poważne.

Oba filmy łączy to, że tzw. powszechna opinia uznała je za obrazujące „muzułmańską agresję". Oba były umieszczane w internecie niezliczoną ilość razy i oba, odpowiednio skomentowane, wzbudzały (i wzbudzają, i jestem pewien, że wzbudzać będą, bo nie wierzę w przerwanie tego ciągu) skierowane przeciw „bezkarnym w umierającej Europie islamistom" emocje. Bo tak łatwo uwierzyć w coś, co się niby widzi na własne oczy, a co potwierdza wizję świata, w którą oglądający głęboko wierzy. Patrzy się wtedy w ekran i widzi się coś, czego sens jest dla nas oczywisty.

I bardzo trudno uznać, że to wszystko nieprawda.

A to wszystko właśnie nieprawda, choć oba filmy są całkowicie prawdziwe. Napastnikiem w Berlinie nie był żaden tam Arab ani w ogóle muzułmanin, tylko Bułgar. Cygańskiego pochodzenia, co komunikuję dla otarcia łez rozczarowanych faktem, że nie „ciapaty". Wiadomo, bo policja go znalazła i siedzi. Dostał trzy lata.

Sprawa choinki zaś jest bardziej skomplikowana, ale też została rozszyfrowana. To nie jest Szwecja, w której choinki nie atakowali muzułmanie. Natomiast sprawa istotnie ma coś wspólnego z tym krajem. Bo to stamtąd pochodzi stary obyczaj kończenia sezonu świątecznego zabawą, w trakcie której młodzi mężczyźni wdrapują się na specjalnie do tego celu przygotowaną choinkę, by zerwać z niej, co się da (ten brutalny demontaż drzewka oznacza koniec okresu Świąt), a przede wszystkim zdobyć umieszczone tam specjalnie fanty – nagrody, o które współzawodniczą. Dwa lata temu ten zwyczaj, w ramach radosnej globalizacji, introdukowała pewna egipska sieć luksusowych supermarketów i ustawiła choinkę w galerii w Kairze. O oznaczonej godzinie specjalnie wzmocnione drzewko otoczył wesoły tłum, paru chłopaków wdrapało się na nie i zdobyło nagrody. Po czym stało się, nieoczekiwanie dla samych siebie, kimś w rodzaju negatywnych celebrytów europejskich i amerykańskich portali tożsamościowych.

I teraz czas na pointę, którą łatwo byłoby ograniczyć do krwawego wyśmiania prymitywów, którzy w takie coś wierzą, dowodząc w ten sposób własnej głupoty. Tylko że to też byłaby nieprawda.

Bo ja pamiętam czasy komunizmu i zupełnie nieprawdopodobne informacje, w które wierzyło wtedy wielu ludzi, w tym część zdecydowanie inteligentnych. Plotka o tym, że rurociągiem „Przyjaźń" przepędzane są do ZSRR stada polskich świń, była opowiadana tylko jako dowcip. Ale już w to, że strajkujący robotnicy zatrzymali jadący do Rosji pociąg, otworzyli wagony zapełnione eksportowanymi puszkami z etykietami „farba", potem same te puszki i znaleźli w nich szynkę... O, to opowiadano na poważnie. I w to wierzono całkiem na serio. W internecie o tym nie pisano tylko dlatego, że go nie było.

A kiedy takie miejskie legendy przestały kursować? Wtedy, kiedy przestano też słuchać rozgłośni zachodnich, czyli wtedy, kiedy przestał istnieć system blokady niewygodnych informacji i ludzie mogli zacząć ufać oficjalnym mediom. Na ile słusznie to uczynili, to inna dyskusja. Ale uczynili. I wtedy te świnie z rury zdematerializowały się.

Zdematerializowały jednak, jak teraz wiemy, z punktu widzenia już nawet nie historii, ale człowieka, tak jak ja pięćdziesięcioparoletniego, jedynie na krótko. Gdy przestano ufać oficjalnym mediom (a były powody, żeby przestać) i gdy zaczęto wyczuwać istnienie nowego systemu blokady niewygodnych informacji (a zaczęto wyczuwać najzupełniej słusznie), świnie powróciły do rury w wielkim stylu.

I doprawdy nie ma się co dziwić ludziom, że wierzą w rzeczy wprawdzie totalnie nieprawdziwe, ale za to takie, które i nie są nieprawdopodobne, i – gdyby były prawdziwe – naprawdę byłyby ze wszystkich sił wyciszane oraz usuwane z systemu informacyjnego. A zatroskanym tym stanem rzeczy tropicielom fake newsów powiedziałbym: macie rację, ale wasz trud jest trudem Syzyfa. Jeśli naprawdę chcecie zaniku fake newsów, to nie walczcie z objawami, tylko rąbnijcie w przyczyny zła. Spowodujcie, żeby w całym zachodnim świecie stało się to, co na początku lat 90. w bloku wschodnim.

Czyli zlikwidujcie cenzurę. To takie proste.



Trud tępicieli fake newsów pozostanie syzyfowy. Jeśli... nie zabawią się w Gorbaczowa

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl c32ec8e9ed

Jak zwyciężać mamy



W walce najważniejsze nie są wcale pięści ani bicepsy, ale głowa i nogi. Chłodna ocena, mądrość taktyki i umiejętność zajęcia właściwej pozycji. A to znaczy cios i odskok, cios i unik. Zmęczenie przeciwnika, zbieranie punktów, budowanie przewagi

Zwyciężanie to trudna sztuka, nigdy za wiele nauki. Wytęskniony przez kibiców powrót Roberta Kubicy do ścigania się w Formule 1 jest jego wielkim zwycięstwem. Mistrz świata w kilku formułach wyścig F1 zdążył wygrać tylko raz (mając na kasku napis JP2), ale wszyscy są zgodni, że jest jednym z największych wyścigowych talentów. I że spotkał go niewyobrażalny pech. Osiem lat temu miał już podpisany kontrakt z Ferrari, a to – z jego talentem – praktycznie oznaczało, że byłby mistrzem świata, może wielokrotnym. I wtedy, u progu bajecznej kariery, uległ wypadkowi. Metalowa szyna wbiła się w samochód, centymetry decydowały, że nie rozorała mu serca. Ale zmiażdżyła rękę, długo nie było wiadomo, czy nie będzie amputacji. Przeszedł kilkanaście operacji rekonstrukcji dłoni i przedramienia. Przebywając na OIOM-ie, poprosił o relikwie Jana Pawła II. I otrzymał je od kardynała Dziwisza (kroplę papieskiej krwi i fragment sutanny). Po tak koszmarnej kontuzji, po ośmiu latach powrót do ścigania wśród najlepszych kierowców świata jest swoistym cudem. To efekt jego tytanicznej pracy, uporu, konsekwencji, siły charakteru. Coś takiego wydarza się w Formule 1 po raz pierwszy w historii. Uradowało wszystkich.

No, może prawie wszystkich, bo miejsce w F1 stracił Rosjanin Siergiej Sirotkin. Ten, który zablokował Kubicy powrót do F1 rok temu, gdy putinowski oligarcha Boris Rotenberg wyłożył na stół kilkanaście milionów dolarów. Stajnia Williamsa przyjęła kasę i posadziła za kierownicą bolidu Sirotkina. W całym sezonie zdobył on 1 pkt i zajął ostatnie miejsce, podobnie jak team Williamsa. Ta klęska nie wystarczyłaby jednak, jak nie wystarczał talent Kubicy, by mógł on powrócić do F1. Potrzebny był sponsor. Dobrą decyzję podjął Orlen, przyjmując tę rolę. Narodowy koncern paliwowy właśnie tak powinien się zachować, także dlatego, że obecność w świecie F1 jest idealnie wycelowanym przekazem marketingowym, pokazuje globalne ambicje firmy.

Mamy więc w powrocie Kubicy dwa zwycięstwa: pracy i konsekwencji wybitnego sportowca oraz strategicznej mądrości narodowego koncernu. Tak właśnie mamy zwyciężać – wspierając się wzajemnie.

Zwyciężanie to trudna sztuka. W polskim hymnie, który uwielbiam, są słowa, których nie uwielbiam: „Dał nam przykład Bonaparte, jak zwyciężać mamy...” Ejże! Dopiero Korsykanin dał nam przykład? Nie było wcześniej Cedyni, Grunwaldu, Kircholmu, Kłuszyna, Oliwy, Chocimia, Wiednia i dziesiątek innych wygranych przez Polaków bitew i kampanii? Dlaczego Józef Wybicki, pisząc te słowa w roku 1797, uznał, że dopiero od Napoleona musieliśmy się uczyć zwyciężania? 28-letni generał Bonaparte nie był jeszcze wtedy ani cesarzem, ani nawet pierwszym konsulem republiki. Potarmosił Anglików pod Tulonem, pobił Austriaków w kampanii włoskiej i egipskiej, bił Francuzów broniących monarchii. Ale największe zwycięstwa – Marengo, Austerlitz, Wagram czy Jena były jeszcze przed nim. Także klęski i polityczne błędy. Wiek XVIII był jednak w znacznej mierze stuleciem polskich swarów, egoizmów, klęsk i politycznych nieumiejętności. Może więc dlatego Wybicki nam Bonapartego wstawił do hymnu – jako wezwanie do rycerskiego przebudzenia. I nie zwycięstw pojedynczych, ale trwałych.

Zmarły tydzień temu wielki trener polskich mistrzów boksu Andrzej Gmitruk podobnie jak jego wielki poprzednik, twórca polskiej potęgi, Feliks Stamm, uczył, że w walce najważniejsze nie są wcale pięści ani bicepsy, ale głowa i nogi. Chłodna ocena, mądrość taktyki i umiejętność zajęcia właściwej pozycji. A to znaczy cios i odskok, cios i unik. Zmęczenie przeciwnika, zbieranie punktów, budowanie przewagi.

Wymuszoną na Polsce przez Brukselę nowelizację ustawy o Sądzie Najwyższym traktujmy jak taktyczny bokserski odskok. Podobnie deklarację NBP płynnościowego wsparcia banków TW Ernesta Czarneckiego, co w pierwszej chwili wyglądać może na wymuszone szantażem dotowanie gangstera. „Plan Zdzisława” Sokala nie jest złodziejstwem, ale działaniem na rzecz klientów. TW „Ernest” był wobec klientów – co sam przyznał – agresywny, winien ponieść konsekwencje. Odskok i cios. Tak właśnie mamy zwyciężać. Nie zawsze w bitwach, zawsze w wojnach.

Maciej Pawlicki

eprasa.pl c32ec8e9ed

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Utrzymać własną cywilizację



Polska nie powinna brać udziału w planach tworzenia wspólnej europejskiej armii

Autor słynnej pracy „Koniec historii?" Francis Fukuyama usuwa ze swojego Twittera fałszywe komentarze wraz ze zdjęciami ukazującymi wielki Marsz Niepodległości w Warszawie 11 listopada jako manifestację faszystów i nazistów. Świadczy to dobrze o jego zawodowej uczciwości, ale bardzo źle o kwalifikacjach naukowych. Gdyby Fukuyama choć trochę znał europejską historię, wiedziałby, że w Polsce nigdy nie było i nie ma totalitarnej faszystowskiej ideologii, tym samym nie ma w naszym kraju tysięcy jej zwolenników. Ale to właśnie historię jako sprawcę dziejów Fukuyma odrzucił w swoich politologicznych rozważaniach. Tak rozumiana historia miała przejść do historii wraz z końcem realnego socjalizmu i zwycięstwem w większości państw świata tzw. liberalnych demokracji, których pozycję miały gwarantować międzynarodowe prawa (ludzkie, obywatelskie, człowieka) o zasięgu globalnym.

Przywilejem wykładowcy renomowanych amerykańskich uniwersytetów jest tworzenie wizji świata i upieranie się przy niej, jak i rezygnacja oraz odejście od wcześniej postawionych tez. Nie znam książki Fukuyamy pt. „Ostatni człowiek", ale z tego, co poczytałem w internecie, wynika, że chyba przewidział obecne wydarzenia we Francji. Obserwujemy tam coraz większą dominację obywateli bogatszych nad biedniejszymi, a poczucie wyższości liberalnych elit nad populistyczną większością społeczeństwa staje się źródłem poważnych konfliktów. Taki konflikt – jak pisze Fykuyama – może być nawet zarzewiem przyszłych wojen. Nie trzeba być naukowym wizjonerem, aby nie sądzić, że sześciomilionowa populacja muzułmanów we Francji zaakceptuje liberalne metody rządzenia, tym bardziej że to od ich głosów zależy utrzymanie się dominującego politycznego kursu, nie tylko zresztą we Francji.

Bardziej cenne są uwagi Fukuyamy na temat rewolucji technologicznej, szczególnie informatycznej. Tu już toczy się wojna o postawy i opinie, a więc o interesy, ale nie międzynarodowych, globalnych podmiotów, tylko konkretnych państw, które wolą przeznaczać na wzmocnienie swojej pozycji w cyfrowej przestrzeni nakłady większe od wydatków na konwencjonalne zbrojenia.

Zamiast więc czytać Francisa Fukuyamę, lepiej zajrzeć do prac jego kolegi z Uniwersytetu Harvarda Samuela Huntingtona. Choćby do książki „Zderzenie cywilizacji", w której odnajdujemy myśli prof. Feliksa Konecznego, choć autor nie miał na tyle odwagi, a może raczej uczciwości, aby przywołać z nazwiska jakiegoś tam polskiego historiozofa z Krakowa. Czeka nas starcie (zderzenie) cywilizacji na tle różnic kulturowych, a w zasadzie różnic religijnych – twierdził Huntington. Lepiej wykłada to Feliks Koneczny, formułując swoje „prawa dziejowe". Po pierwsze, każda cywilizacja – dopóki jest żywotna – dąży do ekspansji. Po drugie, cywilizacje żywotne na tym samym terytorium muszą wchodzić w konflikt, a nawet wojnę. Po trzecie, nie jest możliwa synteza między cywilizacjami. Dodajmy czwarty warunek, opisany dawno temu przez Mikołaja Kopernika, a pasujący do naszych rozważań – cywilizacja gorsza wypiera lepszą. Ale żeby te prawa zrozumieć, nie tyle nawet zaakceptować, to trzeba się pogodzić z istnieniem we współczesnym świecie, w epoce globalizacji, dobrze nam znanych, wciąż historycznych, starych cywilizacji.

Antidotum na zagrożenie wojną znalazła ostatnio kanclerz Niemiec Angela Merkel. Oświadczyła w Strasburgu, że powinniśmy mieć „prawdziwą europejską armię", wówczas „nie będzie wojny". Oczywiście dodała, że armia taka nie ma być przeciwko NATO. Prezydent Francji Emanuel Macron poszedł dalej i uzupełnił, że taka europejska armia „chronić nas będzie przed Chinami, Rosją, a nawet Stanami Zjednoczonymi". Człowiek, który zakłada na konferencję prasową buty różnego koloru, Jean-Claude Juncker, szef Komisji Europejskiej, już wcześniej przeciwstawiał NATO „europejskim ambicjom".

Tak oto kończy się posthistoria, a zaczyna Realpolitik. Słusznie zauważa Antoni Macierewicz, że „mamy do czynienia z całkowitym odwróceniem sojuszy". Dlatego Polska nie powinna brać udziału w planach tworzenia wspólnej europejskiej armii, gdyż nasze bezpieczeństwo jest związane z sojuszem z USA i oczywiście wzmacnianiem własnej siły zbrojnej. Należy się też zgodzić z Macierewiczem, że nowy projekt niemiecko-francuski pod nazwą „armia europejska" jest wymierzony w bezpieczeństwo Polski. Zabiegamy usilnie o budowę na naszym terytorium amerykańskich baz wojskowych, także z tego powodu, aby utrzymać naszą cywilizację. To dlatego Polska jest grillowana w niemiecko-francuskiej Unii Europejskiej.

www.wojciechreszczynski.pl

eprasa.pl c32ec8e9ed

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Przesłanie Pana Mendacium *(napisano 18 marca 2010 r.)*



Witold Gadowski

Idź dokąd poszli lepsi do pięknego kompromisu
po złoty piasek sytości twoją pierwszą nagrodę
idź pokłoniony wśród tych co cię oceniają
wśród wyniesionych na cokoły i ustrojonych w wawrzyn

powstałeś po to aby tyć
masz dużo czasu musisz dać rękojmię
bądź wyrachowany gdy rozum zawodzi bądź wyrachowany
w dzisiejszym rozrachunku jedynie to się liczy

a gniew twój niech będzie jak uśmiech
ilekroć usłyszysz głos zbuntowanych i z własnej winy oszukanych

niech nie opuszcza ciebie twoja siostra Tolerancja
dla pogmatwanych życiorysów łagodnych dewiacji i rozsądnego odstępstwa oni wygrali
kiedyś pójdą na twój odczyt i z szacunkiem wygłoszą pochwały
a bielinek kapustnik napisze twój jedyny życiorys

i nie myśl o przebaczeniu zaiste nie w twoich kompetencjach
jest myśleć o tych których ukarano milczeniem

strzeż się jednak niezależności niepotrzebnej
oglądaj w lustrze swoją miękką twarz
powtarzaj: zostałem awansowany – czyż nie było bardziej gorliwych

strzeż się niedojrzałości serca kochaj pantofle poranne
nowy samochód ogródek
fajerwerki ku czci trzeźwość sufitu
one potrzebują twojej codziennej pokory
są po to aby mówić: jesteś bezpieczny

czuwaj – kiedy tytuł w gazecie daje znak – wstań i potęp
dopóki krew obraca w piersi twoją dobrą gwiazdę

miej dystans do tego co mówią starzy ludzie, do bajek i stereotypów
bo tak będziesz bardziej użyteczny
powtarzaj modne hasła, powtarzaj je z innymi
jak ci najlepsi ojcowie naszej mądrości

a nagrodzą cię za to antycznym wawrzynem
wybaczeniem i pełną sławy biografią

idź bo tylko tak będziesz przyjęty
do grona najpierwszych
autorytetów bez skazy których wielkością jest była skaza
obrońców królestwa rozsądku i miasta konsumpcji
bądź posłuszny idź

...Wielki Człowieku, spoglądający ze swojej niebieskiej wyżyny, przebacz mi ten niedoskonały zabieg. Jeśli dobrze cię zapamiętałem, to wiem, że teraz z delikatnym uśmiechem palisz papierosa. Szkoda, że nie cieszysz nas dziś swoimi słowami. Brakuje...

Europejska armia Merkel



Lech Makowiecki

Po „antypolskim" rurociągu Nord Stream i spraszaniu do Europy V kolumny dżihadu kanclerz Merkel (wspierana przez prezydenta Macrona) przedstawiła kolejny kuriozalny pomysł: powołanie europejskiej armii. Po co? Przecież na rozwój własnego wojska Niemcy nie przeznaczają deklarowanych przez państwa NATO 2 proc. PKB. Ale to akurat jest OK; w razie wojny z Rosją Berlin i tak nam nie pomoże (bo Putin przykręci kurek z gazem!), ale też nie będzie mógł zaszkodzić. Bundeswehra się sypie, a młodzi Germanie nie garną się już do służby wojskowej. Nasuwają się zatem pytania: kto miałby służyć w tej unijnej armii? Może migranci? A kto by ją finansował? Kto dowodziłby tym multikulturowym zbrojnym ramieniem Europy? I przed kim najemnicy UE mieliby bronić Starego Kontynentu? Może przed polskim „faszyzmem"? Węgierskim „nacjonalizmem"? Włoskim „nazizmem"? Kolejnymi „exitami"?

Ścieranie się globalnych interesów doprowadzi w końcu do wybuchu wojen również w Europie. Odpowiedzialni przywódcy państw już powinni wdrażać racjonalną politykę obronną. Rozbudowa i unowocześnianie armii, powoływanie lokalnych formacji samoobrony (WOT), masowe szkolenia strzeleckie i surwiwalowe dla wszystkich zdrowych mężczyzn, powszechna edukacja patriotyczna (zwłaszcza młodzieży), połączona z podnoszeniem sprawności fizycznej – to skutecznie odstraszy potencjalnego agresora. I nikt nie będzie musiał tutaj ginąć!

Iluzję układów i paktów przerabialiśmy już w 1939 r. Aktualnie wyborem najmniejszego zła zdaje się militarno-gospodarczy sojusz z USA. Stany Zjednoczone, wypychane z Europy przez Francję i Niemcy, mają (na razie!) interes we wspieraniu przyjaznej im Rzeczypospolitej. Ten czas trzeba wykorzystać do wybicia się na prawdziwą niepodległość.

PS Komu dziś przeszkadza odradzanie się polskiego patriotyzmu, moda na męskość i waleczność Polaków? Chyba tylko wrogom Polski. Niemcy dwukrotnie rozpętały już piekło wojen światowych. Do trzech razy sztuka?

eprasa.pl c32ec8e9ed

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Coś więcej niż socjal



Aleksander Nalaskowski

Każdy z nas odbiera nieco inaczej wszelkie obietnice polityczne. Oczywiście mowa tu o tych, które dają nadzieję, że zostaną spełnione, a ci obiecujący niczym szczególnym się nie skompromitowali. To bowiem, co często pogardliwie nazywamy obietnicami, a w szyderczej wersji obiecankami, tak naprawdę jest przełożeniem jakiegoś określonego programu na konkrety.

Dobra zmiana jest taką obietnicą. Następuje. Najbardziej widać to w kwestiach socjalnych, w których Polska może być jednym z wzorów troski o rodzinę i poziom życia. Widać to także w przestawieniu akcentów debaty historycznej. Już nie tylko Piłsudski, ale także Haller czy Dmowski doczekali się właściwego miejsca w historii i drodze do świadomości wielu Polaków. Ożywiły się badania nad relacjami polsko-żydowskimi. A ostatnio widzieliśmy także ogromny Marsz Niepodległości. W tym zawiera się też działalność prof. Szwagrzyka i historia powązkowskiej Łączki. Poznaliśmy mnóstwo przemilczanych bohaterów. Tu także trwa dobra zmiana. Z polityki historycznej i przestawienia akcentów wynika też poniekąd nasza polityka zagraniczna. Dobra zmiana ma tu pod górkę, ale konsekwentnie trwa. Wyśmiewana, wyszydzana, hejtowana – trwa.

Mamy nieźle wykształconą inteligencję, ale nie mamy elit

Jak łatwo dostrzec, nie używam czasu przeszłego dokonanego. Bo dobra zmiana dopiero zaczyna brzmieć. I brzmi nieźle, ale wciąż jest in statu nascendi. Nie tylko nie jest zakończona, lecz wciąż, moim zdaniem, jest w fazie rozbiegowej. Trudno ją uznać za skończoną i zamkniętą. Bo najważniejsze zadanie przed nią. Prawdą jest, że wystarczy nie kraść, aby zapewnić takie dochody państwa, z których będzie można wesprzeć tych najbardziej rozwojowych i najbardziej potrzebujących. Owo „wystarczy nie kraść" to wszak ogromna robota, tysiące zabiegów, ale ten element dobrej zmiany jest dość prosty, rzec by nawet można mechaniczny. Wystarczy wola. Podobnie jest z historią. Trzeba tylko otworzyć archiwa i dać szansę badaczom. To także niezbyt skomplikowane, wystarczy się nie bać i mieć czystą biografię.

Jednakowoż są takie zadania, które wymykają się prostym zabiegom. A je także wyczytałem czy usłyszałem w wyborczych obietnicach. Dla mnie nie skończyły się one bowiem na „dobrym rozdawaniu" czy „dobrym podziale dóbr". Nie jestem tu beneficjentem, bo nie jestem emerytem, dzieckiem ani rodzicem małego dziecka. Ale też nikomu nie zazdroszczę. Czekam jednak na mechanizmy, zabiegi, warunki, a wreszcie konkretne kroki na drodze do odtworzenia obecności polskich elit w polskim życiu. I piszę to arcypoważnie. Bowiem w tym zakresie wciąż ciągnie się za nami długi cień wojny i komunizmu. Najpierw ogromne straty wśród polskiej inteligencji – profesorów, duchownych, artystów, publicystów i polityków. Hekatomba wojenna odebrała nam też znaczną część młodzieży, a mówiąc językiem pisarza, niemal całe pokolenie Kolumbów. Czego nie zrobili Niemcy i Sowieci, dokończyła mniej lub bardziej rodzima ubecja. Tzw. socjalizm wygnał resztki inteligencji na margines, na emigrację albo uciszył. Słabych zmusił do współpracy. Każdy, kto czyta ten felieton, wie, o czym piszę.

Odbudowaliśmy Warszawę, naprawiliśmy trakcje kolejowe, powołaliśmy uczelnie, ostatecznie znieśliśmy cenzurę i przegoniliśmy PZPR. Wybory są demokratyczne. To prawda. Ale nawet nie podjęliśmy próby odtworzenia elit, tego narodowego, rodzimego, samoreprodukującego się think tanku i sumienia. Mamy nieźle wykształconą inteligencję, ale nie mamy elit. Nie umiemy sobie poradzić z okupującymi ich miejsce „autorytetami", „ekspertami", ale także politykami, profesorami, artystami. Nie myślę tu o tzw. opozycji. W takim środowisku elity się nie tworzą. Moja mama mawiała: „Wrona orła nie urodzi". Tam tworzą się co najwyżej gangi i mafie. Oni mają swoje gazety, swoich mentorów, swoich aktorów, ekspertów i swoją służbę nienawiści. Ale martwię się tu naszą krótką ławką rezerwowych. Elity to naprawdę nie tylko stołeczność i nie tylko episkopat. Przyjrzyjmy się uważnie tym polskim prawicowym elitom, ile w nich lizusostwa, gęb pełnych frazesów, woli trwania za wszelką cenę i banalnych złotych myśli, ile słomy wystającej z butów. Popatrzmy czasem w dół. Do powiatów i gmin zajrzyjmy. Zobaczmy „nawrócone" na prawicowość miernoty po prawej stronie Sejmu, sejmiku, rad gmin.

Zachwyciło nas ćwierć miliona na marszu, ale był to marsz ku czci dawno zmarłych autorytetów i zmarłych elit. Bardziej tęsknota niż radość. A były tam jakieś teraźniejsze elity? Widział ktoś? A istnieją w ogóle? Wybory w wielkich miastach przegraliśmy, bo nie mamy widocznych i wyrazistych elit, nie mamy autorytetów. Nie mylić z politykami! Dlatego wygrały cwaniaczki. Nie miały z kim przegrać. Przyjrzyjmy się też uważnie młodzieży i jej wychowawcom, zabiegom wokół szeroko pojętego szkolnictwa, a w tejże samej chwili zrozumiemy, że dobra zmiana jeszcze daleko przed nami.

24/1118/F, 40/1118/F, 41/1118/F

eprasa.pl c32ec8e9ed

PRZEZ ŚWIETLIK

Eurokrokodyl

To nieprawda, że chłopaki nie płaczą. Nieprawda też, że krokodyle łzy są łzami fałszywymi. Krokodyl ma duże oczy, więc i łzy ma większe. Jego łzy są bardziej znaczące i poruszające niż inne. Tę nieznaną prawdę biologiczną uświadomiła mi najbardziej światowa z naszych europosłanek. Za sprawą nieocenionej Madame Thun dowiedzieliśmy się, że niekiedy łza w oku kręci się u samego Fransa Timmermansa.



Wiktor Świetlik

Tak, tego Timmermansa. Jak wyjaśniła pani Róża, ten pozornie bezduszny i brutalny komisarz ma łzy w oczach, „kiedy mówi o Polsce". Możemy się tylko domyślać, co się dzieje, kiedy pan Frans zostaje sam na sam ze sobą. Przecież przy kobiecie, pani Rózi, nie okaże swoich emocji do końca. Nie uzewnętrzni się, musi sprawiać wrażenie twardziela. Nie może zapłakać rzewnie także po to, by inne jego polskie dzieci: panowie Boni, Lewandowski czy Tusk, nie straciły wiary w to, że jeszcze będzie tak, jak było. Że jeszcze to oni będą zajmować się przetargami na autostrady, reprywatyzacją, ustawiać służby specjalne, zakładać podsłuchy i grozić dziennikarzom ustami wiernego Giertycha. Timmermans musi ich w tej wierze podtrzymywać. Ale gdy te pozory się kończą, gdy w głębi ducha wrażliwy Frans zostaje sam na sam ze sobą, zaczyna ryczeć jak bóbr. Potok łez spływa i wypełnia kieliszki pozostawione przez Jeana-Claude'a Junckera, a potem Timmermans dyskretnie je opróżnia, by nie zdradzić się ze słabością.

Ponoć to nie pierwszy taki płaczący nad Polską zachodni mąż stanu. Płakał cesarz Fryderyk Barbarossa, gdy ze swoją armią przywracał legalny porządek w państwie Piastów. Łzy nad naszym zacofaniem i sankcjami, które ze smutkiem trzeba było wprowadzać, ronili krzyżaccy zakonnicy i austriacka cesarzowa Maria Teresa, gdy pomagała Polakom, podpisując rozbiór Rzeczypospolitej. Płakali rozmaici Habsburgowie, Hohenzollernowie, płakał brytyjski premier Lloyd George, który w 1918 r. chciał, by państwo polskie było rozmiarów województwa. I płakał kanclerz Schröder, gdy podpisywał z Rosjanami umowę gazową z pominięciem Polski. Wszyscy oni płakali z troski o nas.

Ale Timmermans płacze bardziej niż wszyscy oni. W tak szlachetnym oku musi to być łza rodem z wiersza wieszcza: czysta i rzęsista. Bardziej tylko ponoć płakał Saddam, kiedy donieśli mu, że w Kuwejcie szyby naftowe płoną, ale to było dawno. Dlatego zapłaczmy wraz z Fransem Timmermansem. A jeśli nam nie jest do płaczu, to chociaż pośmiejmy się z pani Róży.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

Człowiek Wolności tygodnika SIECI

Zapraszamy Czytelników, by razem z nami wybierali **Człowieka Wolności 2018**.
Prosimy wypełnić kupon i **przesłać go do 30 listopada 2018 r.** na adres: Fratria Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa, z dopiskiem „Plebiscyt". Głosować można również na **www.wsieciprawdy.pl**. Tam też dostępny jest regulamin plebiscytu.

KUPON ZGŁOSZENIOWY – Plebiscyt Człowiek Wolności 2018 tygodnika SIECI

imię i nazwisko kandydata . . . . . .

uzasadnienie . . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

imię i nazwisko czytelnika . . . . . .

e-mail . . . . . telefon . . . . . .

Akceptuję regulamin plebiscytu dostępny na stronie www.wsieciprawdy.pl oraz w siedzibie redakcji tygodnika Sieci w Warszawie przy ul. Finlandzkiej 10.

☐ *Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych zawartych w kuponie zgłoszeniowym do przeprowadzenia Plebiscytu pod nazwą „Człowiek Wolności 2018 tygodnika Sieci" przez Administratora - Fratria sp. z o.o. z siedzibą w Gdyni w celu przeprowadzenia Plebiscytu.
Potwierdzam, że zgodnie z art. 13 ogólnego rozporządzenia o ochronie danych osobowych z dnia 27 kwietnia 2016 r. (Dz. Urz. UE L 119 z 04.05.2016) zapoznałam/em się z klauzulą informacyjną dot. przetwarzania danych osobowych zawartą w regulaminie Plebiscytu „Człowiek Wolności 2018 tygodnika Sieci".

* pole do akceptacji

data . . . . . podpis . . . . . .

Partnerzy plebiscytu ORLEN Bank Polski PZU TAURON

eprasa.pl c32ec8e9ed



Edwarda Kusztala „Przywrócić pamięć”

Zdolność w obu aktywnościach – aktorskiej i pisarskiej – pozwalała mu niezwykle wiarygodnie odtwarzać rzeczywistość

JAN POSPIESZALSKI

„Po co całe życie udawać, skoro naturalnie jesteśmy najpiękniejsi?”.

To linijka z wiersza aktora Edwarda Kusztala, znalezionego już po śmierci w jego notesie. Wiersz zamyka książkę – niedokończoną autobiografię, urwaną, bo właśnie 1 września 2016 r. autor zmarł. Był aktorem związanym z Kielcami, ale publiczność ogólnopolska pamięta go z fantastycznych kreacji filmowych, przede wszystkim z rewelacyjnego debiutu „Koniec naszego świata”, w którym zagrał postać Czarnego. To był rok 1964 – aktor, wtedy student pierwszego roku łódzkiej Filmówki, miał 25 lat. Kazimierz Kutz („Perła w koronie”, 1971) i Antoni Halor („Opis obyczajów”, 1972) obsadzili go potem w roli robotników i był w tych rolach bardzo przekonujący. Świetnie potrafił również zagrać typy spod ciemnej gwiazdy, rzezimieszka czy odrażającego ubeka w filmie Andrzeja Barańskiego („Księstwo”, 2012). Na planie tego filmu doszło do zabawnego zdarzenia. Edward Kusztal, wcielając się w postać funkcjonariusza UB, którego lokalna społeczność postanowiła zlinczować za wycięcie wierzby, na której pojawił się święty obraz, zagrał tak przekonywająco ucieczkę i przerażenie, że przygodni gapie rzucili mu się na ratunek.

Czytając książkę „Przywrócić pamięć”, zastanawiam się nad tym wyjątkowym darem, jaki miał autor – aktor. Ta zdolność w obu aktywnościach – aktorskiej i pisarskiej – pozwalała mu niezwykle wiarygodnie odtwarzać rzeczywistość. Jego role były na wskroś autentyczne. Fotograficzna pamięć i umiejętność wnikliwej obserwacji świata sprawiały, że wcielał się w kreowanych bohaterów bardzo przekonywająco. Ten sam dar obserwowacji świata, z jego detalami i zapachami, kolorami, niuansami, pozwoli mu po latach, gdy będzie pracował nad książką, przywołać ludzi, zrekonstruować zdarzenia, odmalować miejsca, prostym językiem ożywić przeszłość, tak jakbyśmy obserwowali ją na taśmie filmowej.

I choć miejscami książka przypomina kalejdoskop – patchwork luźnych wspomnień, obrazów i dygresji – to chwilę później przeradza się w dość uporządkowany strumień z zachowaniem chronologii. Urokliwa gawęda przenosi nas do powojennych Kielc. Edward Kusztal, jak na startych mapach i fotografiach, pozwala nam się zorientować w topografii miasta, z jego zaułkami, przedmieściami, placami, ogrodami, w których po wojnie odradza się życie, już w realiach wczesnego PRL. Zabiera nas na uroczystości – procesję Bożego Ciała, przywołuje postać bohaterskiego biskupa Czesława Kaczmarka. W scenerię Kielc przełomu lat 40. i 50. wprowadza plejadę barwnych postaci: jego przyjaciół z przytułku dla biednych dzieci i sierot, w którym autor się wychował. Być może ta aktorska umiejętność wcielania się w mieszkańców szemranych przedmieść ma swoje źródła właśnie w tamtych przeżyciach. I choć wiemy, że Edward Kusztal wspomnienia z dzieciństwa napisał wiele lat później, pierwsza część zatytułowana „Dzieckiem być...” stanowi fenomenalny opis świata widzianego oczami dziecka.

„Przywrócić pamięć” nie tylko oddaje uwodzicielski urok dawnych Kielc, to również świetny zapis obserwacji ludzkich typów i postaw w tym dziwnym mikrokosmosie, jakim jest teatr (przepraszam za to sformułowanie) prowincjonalnego miasta. Bo właśnie w części trzeciej napotykamy unikatowe szkice, które ukazują nie tylko ciekawą historię kieleckich teatrów: Teatru Lalki i Aktora „Kubuś” oraz Teatru im. Stefana Żeromskiego. Autor wprowadza nas za kulisy, gdzie podglądamy aktorów. Możemy poznać ich z prywatnej, często nie najbardziej wzniosłej strony. Tu też znajdziemy masę anegdot z życia artystycznej bohemy Kielc.

Jednego w książce nie znajdziemy, a to ważne, bo autorowi nie wypadało o tym pisać. Edward Kusztal był niewątpliwie największą gwiazdą sceny kieleckich teatrów, a jego dorobek stanowi katalog 80 fantastycznych kreacji. W latach PRL w czasie zakłamania i indoktrynacji jego aktorskie życie pozostało wolne od propagandowego zaangażowania. Można było znaleźć azyl w klasyce, uczciwie służyć prawdzie, grając bohaterów Żeromskiego, Mrożka, Fredry, Wyspiańskiego czy Gogola. Paradoksalnie dziś, w wolnej Polsce, widzę wielu twórców i odtwórców na usługach obłędnych ideologii, politycznej poprawności, genderowego kłamstwa i kodziarskiej propagandy. Tęskno mi za tamtym aktorstwem i tamtym teatrem.

eprasa.pl c32ec8e9ed

Sztuka nagrywania



Jerzy Jachowicz

– Roman, wpadnij do mnie do prywatnego lokum. Tego mniejszego, 400-metrowego na Mokotowie. Chcę ci coś pokazać.
– Leszek, nie pasuje mi dziś. Za kilka dni.
– Masz przyjechać zaraz.
– Wolę, jak już będzie ciemno.
– Rozumiem i popieram. Szyfr pamiętasz?
– A jak myślisz?
Kiedy Roman Giertych w zacisznym, przytulnym gabinecie biznesmena usiadł z kawą w ręku w swoim ulubionym fotelu przystosowanym do jego parametrów wzrostu, usłyszał:
– Musimy otworzyć nową sprawę. Korupcję prokuratury. A może nawet prowokację ze strony organów ścigania. I to pośrednio ciebie dotyczy. Gdy w czasie przesłuchania wyszedłeś na dwie–trzy minuty, prokurator dwukrotnie zapytał mnie, czy ty naciskałeś na mnie, żebym oskarżył szefa KNF, argumentując, że warto, bo będzie z tego afera polityczna. Wyobraź sobie, że już po 10 sekundach mojego milczącego zdumienia zasugerował – uważaj, na kartce!: „Czy pana milczenie jest potwierdzeniem? Znakiem zgody?". Ledwie zdążyłem zaprzeczyć, gdy ty wszedłeś z powrotem. Mam to nagrane. Muszę ci się pochwalić, że tym razem byłem mądrzejszy. Miałem cztery nośniki. Wszystkie sprawdzone. Sprawne. Odporne na zagłuszanie. W tym dwa z nich działają pod wodą.
– Boże, cztery?! Gdzie ty je zmieściłeś?
– Tego nie mogę zdradzić. Objęte jest to tajemnicą służbową. W każdym razie dawniej było. I niech tak zostanie. Pomińmy to, w jakich zakamarkach miałem umieszczoną aparaturę nagrywającą. Oto interesujący nas fragment.
Gospodarz nacisnął klawisz odtwarzania. Obydwaj słuchali w skupieniu.
– Leszek, prawdę mówiąc, wątpię, żeby to nagranie mogło być podstawą oskarżenia prokuratury. Przesłuchujący tylko dzieli się z tobą jakimiś zasłyszanymi plotkami. Nawet jeśli próbował ci coś takiego podsunąć, był na tyle sprytny, że nie da się z tego niczego wycisnąć. Przynajmniej masz karteczkę z jego pytaniem?
– Nie mam. Ale mogę potwierdzić na wariografie.
– Wariograf jest wskazówką, nie dowodem.
– Tak? To ja ci powiem. To, co mi mówiłeś na schodach w prokuraturze, też mam nagrane.

CO MNIE BARDZO CIESZY

Książka!



Katarzyna Łaniewska

Książka papierowa z szeleszczącymi stronami, czasem natłuszczonymi od częstego używania – słowem: książka do czytania.
We wczesnym dzieciństwie i mama, i tata opowiadali mi bajki, a może je czytali. Nie mogę odtworzyć tego w pamięci. Pamiętam, były bajki, które zaczynałam sama dukać przy pomocy babci, w czasach wojny i okupacji niemieckiej.
Pierwsza moja książka, którą kojarzę i widzę przed oczami, to podarunek – „W pustyni i w puszczy" Sienkiewicza. Czytałam ją parę razy w różnych latach życia. Zdarzyło mi się, że podczas okupacji, kiedy oszczędzało się światło i mama wcześniej je gasiła w mojej sypialni, wychodziłam na balkon i okutana przy stojącej tam latarni czytałam książkę. To zapamiętałam.
Książki mnie zainteresowały. Najpierw te dla dzieci, potem dla młodzieży. Wybierałam różne. Nawet te „niedozwolone" z biblioteki moich rodziców. Po powstaniu w zrujnowanej Warszawie książki nie były celem kradzieży i ocalały.
Moje lektury były związane ze szkołą i ukierunkowane przez starszych przyjaciół oraz brata. Podkradałam mu książki. Na studiach i w liceum dużo się czytało. Ja czytałam poezję, sztuki teatralne, a czytanie poezji i uczenie się jej na pamięć mi pozostało. Poezja towarzyszy mi do dziś.
Moją wielką przygodą z książką był okres stanu wojennego, kiedy zaangażowałam się w drugi obieg. Jedyne, czego osobiście nie robiłam w wydawnictwie CDN Czesława Bieleckiego, to nie drukowałam. Ale zapach pasty Komfort, odbieranie wydruków z dziupli z różnych miejsc, kompletowanie stron mam w pamięci. Pamiętam żmudne i ręczne składanie książek. Pierwszą wydrukowaną broszurę przez CDN też pamiętam. Odbywało się to w garażo-baraku z kanałem dla samochodów. Tam chowaliśmy maszynę do drukowania. Ja zawiozłam czerwone okładki z grubego kartonu. Tytuł: „Solidarność stanu wojennego". Byliśmy bardzo dumni. Po wpadce, aresztowaniu mojego męża, ktoś inny przejął moje obowiązki, bo ja byłam już spalona – jak to się mówiło. Mam przed oczami maleńkie litery, na których ludzie psuli sobie wzrok, ale czekali na słowa prawdy.
Książka czytana pozostanie ze mną. Siadły mi oczy, ale słucham książek. „Czytam je", choćbym nawet nie wiem jak była zmęczona. Przed położeniem się spać chcę poznać kilka kolejnych stron.

eprasa.pl c32ec8e9ed

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Nagły skok entropii

Chaos, nieobecny na początku rządów PiS, objawił się dość dotkliwie



Ryszard Makowski

Był taki dowcip. Pyta biznesmen biznesmena: „Jak ci idzie?”. „Dobrze!”. „A tak w dwóch słowach?”. „Nie dobrze!”. I pojawia dylemat, bo „niedobrze” jako przysłówek to jedno słowo, ale wtedy żart by nie wyszedł, więc dla potrzeb dowcipu można trochę nagiąć ortografię. Gorzej, że ostatnio widzimy dosyć duże nagięcie w sprawach państwowych. Ofensywa III RP na dobrą zmianę przybrała na sile i sporo osób zaczyna myśleć, że jest dobrze, czyli niedobrze.

Wybory samorządowe niby wygrane. 34 proc. dla PiS, są sejmiki, ale porażka w miastach, często na rzecz malwersantów, niepokoi. Afera KNF, kiedy przedstawiciel dobrej zmiany daje się ograć finansowemu pogrobowcowi PRL, nie wprawia w entuzjazm. Urojone 40 mln rzekomej korzyści korupcyjnej zaczynają więcej znaczyć niż konkretne 500+. Odwetowe zagranie taśmą Grasia, pudło. Temu panu, pseudonim „Cieć”, mało co jest w stanie nadwerężyć reputację. Reforma Sądu Najwyższego wraca bumerangiem, szurnięcie TSUE natchnęło większość sejmową, by się rakiem wycofać z regulacji wieku emerytalnego sędziów, a prezes Gersdorf okazała się niezatapialna. Sejmowe komisje śledcze buksują, w serialu „Na Wspólnej” znienacka pada tekst: „Nigdy nie ufajcie bankierom. Oni pięknie mówią, ale to jest wszystko kłamstwo”. Podprogowo o tym bankierze z rządu? „Urodziny Hitlera” w TVN. Czy partia Teraz! jest Nowoczesna? Prąd ma zdrożeć. Ciemność widzę. Koniec. To znaczy felietonu.

eprasa.pl c32ec8e9ed

***Zawistowski prezentuje:* Prezesura**



Wycinki z przeszłości

W dzisiejszych „Wycinkach...” dwa żarty rysunkowe z ilustrowanego pisma „Światowid” ze stycznia 1926 r. W naszej ocenie – wciąż aktualne.

(mk)

Modny płaszcz damski



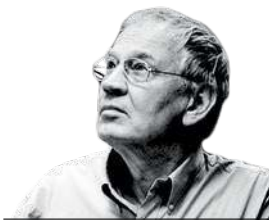
– Żeby też raz licho wzięło to naśladownictwo mód męskich. Znowu się pomyliłem i ubrałem się w płaszcz mej żony…

Niewdzięczne zajęcie



– No, już ten to się w swoim życiu głupstw napisze…
– Więc to dziennikarz?
– Nie, tylko jest stenografem w Sejmie….

Po tamtej, po jakiej jeszcze wojnie...



Leszek Długosz

Bolesław Leśmian (1887–1937)

ŻOŁNIERZ (fragmenty)

Wrócił żołnierz na wiosnę z wojennej wyprawy,
Ale bardzo niemrawy i bardzo koślawy.
Kula go tak schłostała po nogach i bokach,
Że nie mógł iść inaczej, jak tylko w poskokach.

Stał się smutku wesołkiem, skoczkiem swej niedoli,
Śmieszył ludzi tym bólem, co tak skacząc, boli.
Śmieszył skargi hołubcem i żalu wyrwasem
I żmudnego cierpienia nagłym wywijasem.

Zwlókł się do swej chałupy: „Idź precz popod płoty,
Niepotrzebny nam skoczek w polu do roboty!”.
Pobiegł do swego kuma, co w kościele dzwonił,
Lecz ten nie chciał go poznać i kijem postronił.

Podreptał do kochanki, a ta się zaśmiała
Ramionami, biodrami, wszystką mocą ciała!
[...]

Więc poszedł do figury, co stała przy drodze:
„Chryste, na wskroś sosnowy, a zamyśl się srodze!
Nie wiem, czyja cię ręka ciosała wyśmiewna,
Lecz to wiem, że skąpiła urody i drewna.
[...]
Chrystus, słysząc te słowa, zsunął się na ziemię,
Ów, co Boga wyciosał, bity bywał w ciemię!
Obie ręce miał lewe, obie nogi – prawe,
Sosnowymi stopami podziurawił trawę.

„Marna ze mnie sośnina, lecz piechur nie marny,
Przejdę wieczność piechtami, chociażem niezdarny.
Pójdziemy nierozłącznie, bo wspólna nam droga,
Będzie nieco człowieka, będzie nieco Boga.
Podzielimy się męką – podzielnać jest męka! –
Wszak ta sama nas ludzka skoślawiła ręka.
[...]

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl c32ec8e9ed



OD A DO ZYBERTOWICZ

Szyderstwo historii

Wolno dziennikarzowi stosować ohydną figurę retoryczną w bieżącym sporze politycznym?

I co z tego, że Daniel Passent nie jest premierem? Gdy przeczytałam blogową reakcję red. Passenta na socjologiczną, modelową, dobitnie obrazową analizę obecnego sporu politycznego w Polsce, jaką w wywiadzie dla „Wprost" przedstawił wicepremier Piotr Gliński, poczułam niepokojące ukłucie w serce. Jako matka i żona.

Passent nadał swej wypowiedzi tytuł: „Gliński raus!". Na takie zawołanie czuję zły dreszcz, jest on niemal przyklejony do tego niemieckiego, opatrzonego wykrzyknikiem słowa. Pewnie to efekt pamięci przekazywanej przez bliskich, którzy przeżyli wojnę.

Czy Daniel Passent zdaje sobie sprawę, co w istocie chciał zakrzyknąć? Dlaczego po niemiecku?

NIEBEZPIECZNA ASYMETRIA

Jak bumerang wraca asymetria w trudnym dyskursie polsko-żydowskim. Tabu – czego i komu mówić nie wolno. Kto musi przepraszać, a kto jest z tego zwolniony. Rozciągliwe do granic zdrowego rozsądku pojęcie antysemityzmu. Narracje wyższościowe, bardzo niebezpieczne, bo jednym niosące, opartą na złych emocjach, legitymizację potępiania innych.

Jakże znamiennym przykładem jest niedawny esej Anne Applebaum, przedrukowany w „Wyborczej", w którym dziennikarka do rangi moralnego dylematu cywilizacyjnego podniosła problem utraty swoich polskich przyjaciół. Obwiniła za to PiS. Dostrzega nacjonalistyczną siłę nie z tej ziemi, żywioł na miarę faszyzmu; siłę, która synowi dziennikarki zabrała matkę chrzestną. Niesprawiedliwie upraszczam? Ale w warstwie emocjonalnej czy nie o taki przekaz właśnie Applebaum chodzi? Cóż z jej eseju zapamięta amerykański, niemający pojęcia o Polsce, czytelnik, jak nie emocje właśnie...

MONOPOL NA WRAŻLIWOŚĆ

Wróćmy do wzburzonego Passenta, który o Glińskim pisze: „Ten, któremu znikąd nic nie grozi (poza nim samym, bo sam sobie szkodzi), ten, który ma władzę, armię urzędników, miliony do dyspozycji, kierowców, sekretarki, ochronę, stół pełen jadła, a przede wszystkim prawo do życia i bezpieczeństwo, ma czelność porównywać się do ludzi, którzy nie znali dnia ani godziny, aż zginęli w otchłani Holokaustu, a wśród nich ludzie nam najbliżsi, nasi rodzice, bracia, siostry?".

Pomińmy już nadużycie polegające na tym, że Gliński o Holokauście w ogóle nie mówił.

W czasie II wojny Polacy również nie znali dnia ani godziny, ginęli na frontach, w domach, na ulicach, w lasach i obozach. Moja babcia, mająca pod opieką małe dzieci, za każdym razem, gdy wysyłała te starsze, kilkuletnie: Romcia (mego tatę) i Basię (bo we dwójkę było im raźniej) po chleb, przeżywała horror zamartwiania się, czy ukochane dzieci wrócą. Niemcy przecież z byle powodu potrafili strzelać do dzieci na ulicy, a bywało, że samoloty zrzucały bomby na ludność cywilną. Ludzie żyli w strachu i trwodze, dzieci też. Polacy ginęli w tych samych obozach co Żydzi, a dziś w świecie raz po raz mówi się o „polskich obozach".

Czy wojna jest straszną, bolesną traumą tylko dla niektórych? Czy jest bez znaczenia, że w 1939 r. Polacy także byli pozostawieni samym sobie, zdradzeni przez świat, pozbawieni wsparcia? Bardzo boli, gdy ponownie giną skazani na otchłań zakłamania historycznego. Nie udało się Polakom w przekazie dla świata zakotwiczyć wojennych faktów historycznych w wielkich emocjach, które mają nieporównywalnie większą siłę oddziaływania niż gołe fakty i liczby.

Czy jest możliwe pogłębienie dialogu polsko-żydowskiego, skoro posługujemy się (Polacy i Żydzi) aż tak odmiennymi heurystykami emocjonalnymi?

LICYTOWAĆ SIĘ?

Czy mamy się licytować na kaliber metafizyczności bólu? Co warto dostrzec w roku 100-lecia odzyskania Niepodległej? Widzimy, jak na sploty zadawnionych krzywd, niesprawiedliwości, zdrad stanu, nieprzeliczalnych wojennych pożóg stale ciążących naszej, chyba zawsze trudnej do zarządzania, ojczyźnie (przez wieki wielonarodowej) nakładają się współczesne interesy i gry świata globalnego. Może z tego wyrastać pomyślność albo nieszczęścia.

Wolno Passentowi krzyczeć: „Gliński raus!"? Wolno dziennikarzowi stosować tak ohydną figurę retoryczną w bieżącym sporze politycznym?

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | 15/0818/F

eprasa.pl c32ec8e9ed

W PREZENCIE

3 GRUDNIA W TYGODNIKU SIECI



Popularne imieniny

Skrócone kalendarium poprzedniego i następnego miesiąca

Niedziele handlowe

Święta i dni wolne od pracy

PIĘKNY I FUNKCJONALNY

KALENDARZ ŚCIENNY

Partner kalendarza

LOTOS

eprasa.pl c32ec8e9ed



RAZEM NAPĘDZAMY POLSKĘ

TWÓJ WYBÓR WPŁYWA NA ROZWÓJ KRAJU

Ponad 80% produktów sprzedawanych na naszych stacjach paliw pochodzi z Polski. Dzięki temu lokalne przedsiębiorstwa kwitną i tworzą lepszą przyszłość dla nas wszystkich.

ORLEN

eprasa.pl c32ec8e9ed